

RYBIŃSKA: EGOIZM MILENIALSÓW UDERZYŁ W BRYTYJSKĄ RODZINĘ KRÓLEWSKĄ

ROKITA: TUSK I SCHETYNA SĄ ZMĘCZENI

KOŁODZIEJSKI: UNIA I POLSKA. KTO NA KIM ZARABIA

TAJEMNICE WYWIADU AK
W ŚRODKU DODATEK „wSIECI HISTORII"



SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 4 (373) 2020
20–26 stycznia 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

SERIA WYROKÓW LEKCEWAŻĄCYCH KONSTYTUCJĘ I USTAWĘ DEZUBEKIZACYJNĄ. CUDACZNE ARGUMENTY I KPINY Z PRAWA – BYLE TYLKO PRZYWRÓCIĆ WYSOKIE EMERYTURY

UJAWNIAMY

JAK SĘDZIOWIE CHRONIĄ ESBEKÓW

SZOKUJĄCE USTALENIA!

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange™ — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**

„Kasta" gra jak partia

Tzw. kasta, czyli grupa trzymająca władzę w środowisku sędziowskim, już otwarcie gra o władzę nad wymiarem sprawiedliwości, a tym samym nad wszystkimi innymi dziedzinami życia społecznego. Perfekcyjnie wykorzystuje dostępne jej narzędzia: manipuluje konstytucją, ustawami, wyrokami, zwołuje demonstracje, kreuje i podsyca zagraniczną presję. Realizuje precyzyjnie rozpisany scenariusz, koordynuje też działania poszczególnych instytucji. To już jest rasowa polityka, i tylko polityka. Celem jest zwycięstwo nad większością parlamentarną i rządem. Poważny kawałek naszej państwowości ma być wyjęty – już na wieki – spod jakiejkolwiek kontroli. Będzie to w istocie nowy ustrój, choć rzecz jasna, nieformalny.



Autopromocja

Ta batalia zbliża się właśnie do finału. Jeśli partia sędziowska zdoła obronić swoje bezdyskusyjne władztwo nad Sądem Najwyższym – do czego wyraźnie zmierza – nic już nie stanie jej na przeszkodzie. Będzie pozamiatane. Będziemy mogli głosować do woli, a i tak niczego to nie zmieni. Na pewno nie w odniesieniu do spraw naprawdę ważnych.

Batalia o reformę wymiaru sprawiedliwości jest też batalią o suwerenność. Kolejne komunikaty ze strony tej swoistej międzynarodówki mówią jasno: nie pozwolimy wam zreformować tej dziedziny. Nie pozwolimy i już. Jeśli będzie trzeba, podepczemy każdy obyczaj, zignorujemy każdy traktat, ustnie dodamy sobie nowe kompetencje. I będziemy to czynili tak długo, aż zrozumiecie, że nie jesteście ani Niemcami, ani Francją, ani nawet Hiszpanią. Wam wolno mniej, wasza suwerenność jest gorszej jakości. I nie liczcie, że pomogą wam jakieś ustępstwa czy rozmowy.

Z perspektywy obozu naprawy państwa jeden fakt zasługuje na szczególną uwagę: otóż okazuje się, że bitwa toczona wokół sądownictwa nie zbija poparcia dla sił reformatorskich. Wręcz przeciwnie – w ogniu tej batalii notowania prezydenta Andrzeja Dudy wyraźnie rosną. Oczywiście atmosfera silnej konfrontacji niesie z sobą także zjawiska niekorzystne, ale wiemy już, że tą drogą można rządowi narobić kłopotów, można psuć mu opinię, można utrudniać osiąganie innych celów, ale nie można go obalić.

Polacy – ci, którzy w 2015 r. poparli zmianę kursu – twardo stoją za programem naprawy państwa. To z kolei sprawia, że można walczyć dalej. Jak nie tak, to inaczej. Jak nie tędy, to tamtędy. Można i trzeba. Skoro zaszliśmy tak daleko w tym boju, to już nie można się cofnąć, nie można tej sprawy poddać. Byłby to fatalny sygnał. Za chwilę mielibyśmy nad głową stado sępów. Jeśli teraz ustąpimy, jeśli zrezygnujemy, to być może już nigdy, na pewno nie w perspektywie naszego pokolenia, nie dobijemy się do takiego statusu, na jaki zasługujemy.

I skończą się też marzenia o sprawiedliwej, uczciwej Polsce. Dobrze pokazuje tę stawkę nasz okładkowy artykuł autorstwa Marka Pyzy i Marcina Wikły. Okazuje się bowiem, że nawet w sprawie tak oczywistej jak odebranie przywilejów ubekom i esbekom wielu sędziów nie przestrzega jasno napisanej, w pełni legalnej ustawy. Za nic mają wolę parlamentu, za nic dziejową sprawiedliwość. Nic dla nich nie znaczy także prawda historyczna. Jeśli wygrają, tego typu postępowanie stanie się normą, a Polska w istocie przestanie być demokracją.

Jacek Karnowski

SIECI spis treści



22 *Państwo Senat*
Stanisław Janecki



47 Miecz przeznaczenia i sukcesu
Jolanta Gajda-Zadworna



70 Dlaczego zestrzelono samolot?
Konrad Kołodziejski

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
8 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
10 **OCIEPLENIE CZY OZIĘBIENIE?**
Jan Pietrzak
11 **POLSCY RZECZNICY PUTINA**
Bronisław Wildstein
12 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
13 **JESZCZE WIĘCEJ STRAT-UPÓW**
Marta Kaczyńska-Zielińska
14 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
15 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
16 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

18 **TOGA W TOGĘ Z ESBEKAMI**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

22 **PAŃSTWO SENAT**
Stanisław Janecki
26 **TOTALNE STARCIE**
Michał Karnowski
29 **SCHEDA PO SCHETYNIE**
Jan Rokita
32 **JAK PRZEKONAĆ, ŻE PIŁSUDSKI NIE RÓŻNIŁ SIĘ OD MUSSOLINIEGO**
Marek Budzisz
35 **Z DR. PAWŁEM UKIELSKIM**
rozmawia Marcin Fijołek
38 **KTO KOMU PŁACI**
Konrad Kołodziejski
43 **Z JACKIEM BONIECKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

47 **MIECZ PRZEZNACZENIA I SUKCESU**
Jolanta Gajda-Zadworna
50 **POSPIESZALSCY KOLĘDOWALI W BERLINIE**
Wojciech Jabłoński
51 **TAŃCZĄC Z COHENEM**
Adam Ciesielski
52 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
54 **POLECA**
Łukasz Adamski
56 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

wSIECI HISTORII

57 **WIELKI POLAK POZA GRANICAMI KRAJU**
Jan Żaryn
58 **WYWIAD AK W OCENIE SECRET INTELLIGENCE SERVICE**
Mariusz Olczak
61 **POLITYKA I FAUNA**
Ryszard Czarnecki
62 **JESTEŚMY TATARAMI, ALE PRZEDE WSZYSTKIM POLAKAMI**
rozmowa z Dżennetą Bogdanowicz

OPINIE

65 **Z PAWŁEM SOLOCHEM**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski
68 **DWAJ PAPIEŻE: TO NIE FILM, TO JUŻ ŻYCIE**
Grzegorz Górny

ŚWIAT

70 **DLACZEGO ZESTRZELONO SAMOLOT?**
Konrad Kołodziejski
73 **BUNT KRÓLEWSKICH MILENIALSÓW**
Aleksandra Rybińska
75 **Z DAVOREM IVO STIEREM**
rozmawia Goran Andrijanić
77 **NORMALNOŚĆ ZNAJDOWAŁ W POLSCE**
Jakub Augustyn Maciejewski

GOSPODARKA

78 **WYSOKA CENA ZA ODPADY**
debata „Gazety Bankowej”

SPORT

84 **VITAL HEYNEN JAKIEGO NIE ZNACIE**
Maciej Rowiński

KUCHNIA

88 **MOJE SMAKI: HUBERT MATYSIAK**
Jolanta Gajda-Zadworna
89 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

89 **GRA POZORÓW**
Wojciech Reszczyński
91 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki
92 **GRZECHY I BRAWA**
Aleksander Nalaskowski
93 **PARYŻ NIEWART PAŁY**
Wiktor Świetlik
94 **NORWIDOWSKA TRIADA**
Alina Czerniakowska
95 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
96 **EPIDEMIA PARANOI**
Ryszard Makowski
97 **I KIEDY ZIMY SZŁY W KONKURY**
Leszek Długosz
98 **PUŁAPKA POSTĘPU**
Katarzyna Zybertowicz

REKLAMA | 26/0120/F

eprasa.pl fd463336a0


ORLEN
MOC
i DYNAMIKA
Polecam
paliwo
verva
ORLEN
ORLEN



Sygnalista nadaje

Incydent, podczas którego operator TVP uderzył kamerą dyrektor gabinetu marszałka Senatu Małgorzatę Daszczyk, wywołał mocną reakcję ***prof. Grodzkiego***. „Powstrzymajmy tych szaleńców!!!" – wzywał zaraz po zdarzeniu, po czym przestrzegał: „Oni naprawdę chcą doprowadzić do tragedii". I gdy wydawało się, że o sprawie będziemy rozmawiali długo, temat nagle ucichł. Czyżby dlatego, że zdarzenie – niefortunne i zasługujące na przeprosiny – ściągnęło kamery na osobę, która woli pozostać w cieniu?

Marszałek Grodzki próbuje jednocześnie zamknąć sprawę zarzutów korupcyjnych. „Jako wielbiciel »Gwiezdnych wojen« dowiedziałem się, że dziesiąty epizod będzie o tym, że dawno, dawno temu w odległej galaktyce znaleziono zeszyt, w którym dziewczynka napisała, że w wieku pięciu lat Tomek Grodzki wyrwał jej zęba mlecznego, bo o to prosiła. Dała mu dwa złote, a on jej nie dał faktury" – tak kpił z pytania dziennikarza w tej sprawie. Niektórych pacjentów ze Szczecina – tych, którzy wręczali koperty – chyba jednak nie rozbawił.

Sam Grodzki gra bardzo ostro. W Kancelarii Senatu zatrudnił polityków, którzy agresywnie atakują przeciwników politycznych w mediach społecznościowych. Nie pozwolił też wicemarszałkowi Karczewskiemu na zorganizowanie konferencji w tradycyjnym miejscu spotkań z dziennikarzami; senacka opozycja mogła skorzystać z miejsca... blisko ubikacji (ostatecznie przeniosła się piętro wyżej). Cenne memento dla wszystkich, którzy sądzą, że ocaleją po zmianie władzy.

Francuz Patrick Edery opublikował na Twitterze nagranie z drugiej linii warszawskiego metra. Jak zauważył, Francja też kiedyś taka była: „Metro w Warszawie w godzinach szczytu: czysto, cywilizowanie, bezpiecznie i spokojnie. Jak w całej Polsce i Francji… w latach 60. Miłego dnia dla wszystkich paryżan w komunikacji". Doceniajmy, co mamy. To jest coś, o co warto walczyć.

W bazylice Mariackiej w Gdańsku umieszczono portret trumienny Pawła Adamowicza i poświęcone mu epitafium. Sprawa jest więcej niż dyskusyjna, bo były prezydent Gdańska – jak zauważają internauci – owszem, zginął tragicznie, ale także popierał aborcję, złożył podpis pod inicjatywą ustawodawczą w tej sprawie, promował światopogląd LGBT oraz finansował seksualizację dzieci, pomijając już sprawy majątkowe. Można zrozumieć lokalny Kościół, ale warto też przestrzec, że na dłuższą metę to jest droga donikąd.

Paweł Adamowicz został patronem Uniwersyteckiego Liceum Ogólnokształcącego. „Chcemy w ten sposób uczcić wyjątkowego absolwenta i pracownika naszej uczelni, ale też pielęgnować wartości, którym był wierny, czyli idei społecznej służby, patriotyzmu, a także umiłowania naszej małej ojczyzny" – mówił podczas uroczystości prof. dr hab. Jerzy Piotr Gwizdała, rektor Uniwersytetu Gdańskiego. Czy powiedzą młodzieży całą prawdę?

Szymon Hołownia skarży się z kolei na to, że ksiądz nie chciał mu udzielić komunii na warszawskim Solcu. „Sumienie mi nie pozwala. Za poglądy, które pan głosi" – tłumaczył ksiądz. Na co Hołownia: „Ale które? I przecież nie wie ksiądz nic o moim sumieniu, motywacjach". I dalej: „Nie odpuszczam, stoję. Minutę, dwie, trzy. Ksiądz grozi mi publicznie palcem, po czym wzdycha i udziela komunii, kręcąc głową". Fakt, że zamiast sprawę przemyśleć i przemodlić, Hołownia robi aferę, wiele mówi o jego prawdziwym stosunku do Kościoła.

eprasa.pl fd463336a0

Tomasz Machała, redaktor naczelny Wirtualnej Polski – jednego z dwóch najpotężniejszych portali w kraju – „poszedł na urlop” (czytaj: został zmuszony do odejścia) po tym, gdy portal OKO.press zarzucił mu bliską współpracę z Ministerstwem Sprawiedliwości. Zarzuty ma zbadać specjalna komisja. Sprawa jest o tyle groteskowa, że chodzi o człowieka, który zamienił w miarę neutralne medium w wyjątkowo wściekły, antypisowski portal. Wnioski są dwa. Po pierwsze, warto żyć spójnie i integralnie. Po drugie, nie ma dróg na skróty.

Machałę ma kompromitować następująca wypowiedź skierowana do dziennikarzy: „Łączy nas z Ministerstwem Sprawiedliwości wiele biznesowych interesów, które z przyjemnością będę przecinał, jeśli obali to pana Piebiaka, pana Ziobrę, pana Wosia. Ale nie będę demolował [interesów] dlatego, że wisi na tym twoja pensja, twoja pensja i jeszcze pensje 25 innych osób w pionie wydawniczym – dla tematu, ile sushi zamówił Ziobro”. To z kolei wniosek dla całej prawicy: nie kupicie ich lojalności. Gdy wyczują szansę, uderzą.



Tomasz Machała to wychowanek Tomasza Lisa. Drogi obu panów rozeszły się jednak jakiś czas temu. Teraz redaktor Lis nie kryje satysfakcji. „Zawsze mówiłem, że symetryzm to tchórzostwo i oportunizm, które udają obiektywizm. Okazuje się, że czasem to po prostu model biznesowy” – skomentował sprawę, zresztą nietrafnie. Nas martwi, że nikt z bliskich nie powie redaktorowi, że kłopoty zdrowotne to zazwyczaj sygnał, by coś w sobie zmienić.



Sędziowska „kasta” i jej sojusznicy przemaszerowali przez Warszawę w ramach Marszu Tysiąca Tóg. Na imprezie nie mogło zabraknąć prof. Andrzeja Rzeplińskiego. Były prezes Trybunału Konstytucyjnego został zapytany przez reportera portalu tvp.info, czy manifestowanie w togach jest zgodne z prawem. „Jest zgodne z potrzebą. Rozumie pan to?” – odpowiedział Rzepliński. To byłaby świetna preambuła realnej konstytucji III RP: prawem jest to, co jest zgodne z naszą potrzebą.

Olga Tokarczuk powiedziała podczas spotkania w redakcji „Wyborczej”, że przyszedł czas, by wpisać do konstytucji zwierzęta. „W Indiach delfiny zostały uznane za »osoby niebędące ludźmi«. Serce mi się rozpłynęło. Od wielu lat używam określenia »istota ludzka« i »istota nieludzka«”. Dodała, że „hodowla przemysłowa na mięso jest koszmarem”, który na co dzień wypieramy ze świadomości. No tak, wypieramy. Skoro świat może wyprzeć ze swojej świadomości aborcję, to może i to. Świat zawsze coś wypiera.



W sprawie Tokarczuk głos zabrał ***Jerzy Owsiak***: „Minister kultury, człowiek utrzymujący się z naszych pieniędzy, do dziś nie złożył jej żadnych prawdziwych gratulacji. Bo wszystkie te pierdoły, że zaprasza pan do siebie panią Tokarczuk w dogodnym dla niej terminie – te słowa sprawiają, że dla mnie jest pan, panie ministrze, jest pan smarkaczem. Zwykłym podwórkowym smarkaczem”. Nie, panie Jerzy. Minister po prostu nie pęka. To się nazywa podmiotowość. Bo pan tak naprawdę mówi ministrowi: daj się upokorzyć.

W ramach 28. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w gminie Męcinka zaprezentowano... taniec na rurze. Na nagraniu widać pokaz skąpo ubranej kobiety przed zgromadzonymi dziećmi i ich rodzicami. Rzecznik WOŚP, odpowiadając na pytania w tej sprawie, poinformował, że „każdy z organizatorów Finału WOŚP działa we własnym imieniu”. Tak, ale tym razem organizatorzy wyczuli ducha imprezy wyjątkowo dobrze.

Reżyser Władysław Pasikowski w rozmowie z „GW” dosadnie podsumował opozycję. „Pańska gazeta nie powinna odpuszczać edukacji wyborców, bo to oni są jedynym sposobem na zmiany, a nie opozycja polityczna, która jest jeszcze gorsza niż polskie kino, bo nawet za granicą nie ma uznania” – stwierdził. Jedno jednak łączy i polskie kino, i opozycję: obie te sfery bardzo chętnie plują na Polskę, widząc w tym drogę do kariery i uznania.

Oddział opolski Ruchu Narodowego zamieścił w internecie grafikę z następującym komunikatem na tle zdjęcia prezydenta Andrzeja Dudy: „Temu panu już dziękujemy. Byli wyborcy”, oraz z wezwaniem: „Rozczarowanych wyborców zapraszamy do Konfederacji”. Najbardziej zdumiewające jest to, że nie brakuje ludzi, którzy są naprawdę zdziwieni, bo dotąd traktowali narodowców nie jako konkurencję, ale młodzieżówkę PiS. Tak, polityczne wyrobienie prawicy wciąż pozostawia wiele do życzenia.

W kontekście wyścigu prezydenckiego warto też przytoczyć ciekawy scenariusz, który krąży po politycznych kuluarach. Zakłada on, że jeśli ***Małgorzata Kidawa-Błońska*** nadal będzie sobie tak kiepsko radziła, to Platforma może ją wycofać z wyborów, a w zamian poprzeć Władysława Kosiniaka-Kamysza. Niektórzy sugerują, że na taki scenariusz mogą grać również pewne środowiska prawicowe, także te bliskie PiS. Dlaczego? Bo doszłoby wówczas do korzystnej dla nich rekonfiguracji. Bajka? Pewnie tak, ale wiedzieć warto.

Fot. Zuzanna Kruschewska, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl fd463336a0

Rosja

Nowy trik Putina?

Ogłoszona w poprzednią środę przez Władimira Putina zapowiedź głębokiej reformy konstytucyjnej oraz dymisja rządu kierowanego przez Dmitrija Miedwiediewa zostały zinterpretowane przez większość komentatorów rosyjskiego życia politycznego jako przygotowanie do „transferu władzy", który czeka Rosję w 2024 r., gdy upłynie ostatnia kadencja urzędującego prezydenta. Przy czym nie jest jeszcze do końca jasne, jak ów transfer miałby przebiegać.

Sam Putin wytłumaczył potrzebę reform „oczekiwaniami społeczeństwa". I o ile w ostateczności można tak postrzegać dymisję niepopularnego Miedwiediewa (zastąpił go uchodzący za bezbarwnego technokratę Michaił Miszustin – dotychczasowy szef Federalnej Służby Podatkowej), o tyle w przypadku zmian konstytucyjnych mamy do czynienia raczej z dziwną grą pozorów. Projekt ma być wprawdzie przegłosowany w referendum, ale w warunkach rosyjskich trudno oczekiwać rzetelnych wyników.

Zgodnie z propozycjami Putina w Rosji miałaby zostać wzmocniona rola parlamentu. Przede wszystkim to Duma Państwowa, a nie – jak dotąd – prezydent, mają wyznaczać premiera oraz ministrów. Prezydent ma jedynie zatwierdzać przyjęte przez deputowanych kandydatury. Z kolei izba wyższa rosyjskiego parlamentu – Rada Federacji – przejmie od prezydenta prawo wnioskowania o odwołanie sędziów Sądu Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego. Prezydent będzie też musiał konsultować z senatorami kandydatury na szefów prokuratury i struktur siłowych.

Sprecyzowana ma również zostać kwestia liczby kadencji prezydenckich. Otóż, wedle propozycji Putina, nadal mogą być tylko dwie, ale z konstytucji ma zostać usunięte sformułowanie „z rzędu", które w 2012 r. umożliwiło samemu Putinowi powrót na Kreml po czteroletniej przerwie. Dodatkowo ani prezydent, ani urzędnicy państwowi nie będą mogli mieć innego (oprócz rosyjskiego) obywatelstwa ani prawa stałego pobytu w obcym państwie.

Najbardziej zagadkową propozycją Putina jest wzmocnienie roli Rady Państwa, dotąd nieznaczącego ciała doradczego złożonego z gubernatorów pod przewodnictwem prezydenta. Niektórzy twierdzą, że być może Putin widzi się w przyszłości na stanowisku szefa Rady, oczywiście pod warunkiem że nowe przepisy rozdzielą funkcję prezydenta i przewodniczącego Rady.

Niewykluczone jest jednak prostsze rozwiązanie. Być może zmiana konstytucji okaże się dobrym pretekstem do liczenia kadencji prezydenckich od nowa, co pozwoliłoby Putinowi pozostać na Kremlu jeszcze przez co najmniej 12 kolejnych lat. Oddanie części kompetencji parlamentowi nie musi stanowić przy tym wielkiego zagrożenia dla jego władzy, przynajmniej tak długo, jak długo Kreml będzie kontrolował obie izby.

Dlatego też wielu obserwatorów uważa zapowiedź reformy konstytucyjnej za trik. Jak stwierdził Michaił Kasjanow, były premier, a dziś oponent Putina, reforma jest jedynie zasłoną dymną, która ma odwrócić uwagę społeczeństwa od głównego celu prezydenta, którym jest utrzymanie się u władzy.

Konrad Kołodziejski



Fot. Free Wind 2014/Shutterstock.com

Suma wszystkich strachów

Nigeria

Eksperci ds. bezpieczeństwa w Europie coraz częściej zwracają uwagę na Nigerię jako państwo, które może w najbliższej przyszłości przysporzyć wiele kłopotów naszemu kontynentowi. Jest to bowiem kraj, w którym zaobserwować można splot wszystkich poważnych problemów, z jakimi borykają się dziś społeczeństwa Trzeciego Świata.

Nigeria jest obecnie najbardziej zaludnionym państwem Afryki, liczącym ok. 200 mln mieszkańców i mającym jeden z najwyższych współczynników przyrostu naturalnego (2,38) na Czarnym Lądzie. Według szacunków może ona w 2060 r. stać się trzecim najludniejszym (po Indiach i Chinach) krajem na świecie. Państwo nigeryjskie nie jest jednak przygotowane na taki rozwój sytuacji. Dla dziesiątków milionów ludzi nie wystarczy mieszkań,



szkół czy miejsc w szpitalach. Już dziś pustynnienie położonego na południe od Sahary kraju powoduje masową migrację ludności do miast. Rzesze ludzi stłoczone są w podmiejskich slumsach bez nadziei na poprawę losu. A jak wiadomo, duża liczba sfrustrowanych osób na niewielkim terenie to gotowy przepis na wybuch konfliktu.

Niezadowolenie potęgowane jest przez olbrzymie nierówności społeczne. Nigeria to jeden z najbogatszych krajów świata pod względem surowców naturalnych, m.in. ropy naftowej i metali szlachetnych. Bogaci się jednak na tym mała grupa skorumpowanych elit politycznych, podczas gdy reszta cierpi niedostatek.

Na to wszystko nakłada się podział religijny na chrześcijan i muzułmanów, którzy stanowią po połowie ludności kraju. Działalność islamistycznej organizacji Boko Haram, krwawo prześladującej wyznawców Jezusa, sprawia, że napięcie między obu społecznościami stale rośnie. Kombinacja wspomnianych czynników może doprowadzić do otwartego konfliktu, którego rezultatem stanie się fala uchodźców o niespotykanych dotąd rozmiarach.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterranger/Shutterstock.com

eprasa.pl fd463336a0



Malta

Umarł król, niech żyje król

Malta ma nowego premiera. Został nim 42-letni Robert Abela. Zastąpił Josepha Muscata, który podał się do dymisji w związku z nieudolnym śledztwem w sprawie śmierci dziennikarki Daphne Caruany Galizii, która w październiku 2017 r. zginęła w zamachu bombowym. Jak dotąd nie wiadomo, kto zlecił jej zabójstwo. Caruana Galizia pisała m.in. o powiązaniach rządzących elit Malty z azerską mafią, o korupcji i o spółkach zarejestrowanych przez rodzinę byłego premiera w Panamie. W listopadzie na krótko zatrzymano byłego szefa kancelarii Muscata – Keitha Schembriego. Podejrzenia padły także na byłego ministra turystyki Konrada Mizziego, szefa opozycji Adriana Delię oraz na żonę Muscata Michelle Tanti.

Rodzina zamordowanej dziennikarki twierdzi, że Muscat usiłował chronić Schembriego, swojego przyjaciela z dzieciństwa, a rządy na Malcie zostały „przejęte przez zorganizowaną grupę przestępczą". W tej chwili w sprawie zabójstwa dziennikarki postawiono zarzuty trzem mężczyznom. Czwarty, Yorgen Fenech, usiłował uciec z Malty na swoim jachcie. Został zatrzymany. Fenech jest właścicielem zarejestrowanej spółki 17 Black, która przelewała pieniądze m.in. na konta panamskich spółek, w których Schembri miał udziały.

„Malta nie przeżywa żadnej tragedii, ale przechodzi obecnie trudne czasy, z których wyjdzie wzmocniona" – zadeklarował świeżo upieczony premier Abela i obiecał, że będzie „pracował nad wzmocnieniem praworządności i dobrego sprawowania rządów" na Malcie. Rodzina Caruany Galizii nie daje temu jednak wiary. Wybór Abeli na następcę Muscata skomentowała słowami „umarł król, niech żyje król". Abela to prawnik, były kulturysta i milioner (wzbogacił się na handlu nieruchomościami), który w przeszłości ostro atakował rodzinę zamordowanej dziennikarki. Przez lata był doradcą prawnym Muscata. Jego ojciec, George, od 2009 do 2014 r. był prezydentem Malty.

W to, że wraz z nowym premierem coś się zmieni na Malcie, nie wierzy także Unia Europejska. Parlament Europejski domaga się uruchomienia procedury dialogu ws. praworządności z władzami w La Valletcie. Byłby to pierwszy, wstępny krok do uruchomienia procedury z art. 7, która toczy się obecnie przeciwko Polsce i Węgrom. Jak pisze portal „EUobserver", Malta liczy zaledwie 500 tys. mieszkańców, tyle co średniej wielkości miasto w Niemczech. Jej elita polityczna stanowi więc bardzo wąski krąg ludzi, blisko z sobą powiązanych i zależnych od siebie. A cały wymiar sprawiedliwości liczy zaledwie kilkadziesiąt osób. Dlatego – jak uważa „EUobserver" – śledztwo w sprawie śmierci Caruany Galizii tak się ślimaczy.

Aleksandra Rybińska

Fot. Shutterstock

#MeToo – koniec serialu

USA

Całe Hollywood szczyci się dziś ruchem #MeToo, który zaczął się od oskarżenia wszechmocnego producenta Harveya Weinsteina. Właśnie rozpoczął się proces Weinsteina przed Sądem Najwyższym stanu Nowy Jork. Sprawa o gwałt i molestowanie dotyczy sześciu kobiet, choć Weinsteina oskarża 80 kobiet. Grozi mu dożywocie.

Media obiegły niedawno zdjęcia wychudzonego Weinsteina wychodzącego z sądu przy balkoniku. Zapadnięte policzki, obwisły garnitur – nie wyglądał jak wszechmocny rekin filmowy. Według dziennika „The New York Times" Weinstein poszedł na ugodę z ponad 15 kobietami, płacąc im 25 mln dol. Co ciekawe, pieniądze mają iść przez ubezpieczyciela wprost z kont The Weinstein Company, producenckiej firmy, która po wybuchu seksskandalu zbankrutowała. Weinstein nie musiałby nawet na mocy umowy przepraszać za swoje czyny. Ta ugoda nie dotyczy jednak kryminalnej sprawy o gwałt. Jednak znając przebiegłość amerykańskich prawników, Weinstein może i z tego wyjść obronną ręką. Tak jak Kevin Spacey. Drugi najsłynniejszy oskarżony o molestowanie (homoseksualne w tym przypadku) filmowiec został dosłownie wygumkowany z Hollywood. Wycięto go z gotowego filmu tuż przed premierą i nakręcono nowe sceny z innym aktorem. Usunięto go też z serialu „House of Cards", gdzie grał krwiożerczego prezydenta USA. W grudniu umieścił na kanale YouTube filmik, gdzie głosem Underwooda opowiadał o potrzebie przebaczania. Zbiegło się to z dziwnymi wydarzeniami z jego procesów. Najpierw prokuratura z Massachusetts wycofała oskarżenie o molestowanie seksualne 18-latka, a inny oskarżający aktora mężczyzna zmarł. W grudniu zeszłego roku ten sam tragiczny los spotkał Ari Behna, norweskiego pisarza i dramaturga oraz byłego męża księżniczki Norwegii Marty Ludwiki. Spacey miał go rzekomo molestować w 2007 r. Behn popełnił samobójstwo.

Do łask show-biznesu wracają inni oskarżeni o molestowanie. Komik Louis C.K. (miał się masturbować podczas rozmowy telefonicznej z kobietą) powoli odzyskuje pozycję i jest broniony przez innych stand-upperów, takich jak gwiazda komedii Dave Chappelle, który w netflixowym występie pyta: „A nie mogła po prostu odłożyć słuchawki?". Woody Allen został przytulony przez europejskich producentów i tutaj ma kręcić nowe filmy. Czy to koniec #MeToo? Jeżeli staje się obiektem kpin w mainstreamie, to na pewno ruch wejdzie w nową fazę. Każda rewolucje ma przecież swoje fazy.

Łukasz Adamski

eprasa.pl fd463336a0

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Ocieplenie czy oziębienie?



Jan Pietrzak

W latach 70. ubiegłego stulecia pod wpływem histerii Klubu Rzymskiego, który przepowiadał rychłą zagładę ludzkości, napisałem piosenkę: „Marsjanie nie zagrażają Ziemi, Ziemi zagraża człowiek". Byłem może mniej podniecony niż obecnie Greta Tuhnberg, lecz bardziej podatny na mody muzyczne. Krążyło wtedy sporo pieśni o charakterze protestsongów. Stosowną muzykę skomponował Bogusław Klimczuk i utwór zaczął żyć własnym życiem.

Niestety, paskudny zmysł ironii i wredna potrzeba przechytrzenia cenzury spowodowały, że podczas imprez zmieniałem lekko tekst, dodając głoskę „k". Z Marsjan, którzy nie zagrażają Ziemi, robili się Marksjanie, którzy jednak zagrażają. Jakiś ubek to wyczaił i utwór przepadł w pomroce dziejów.

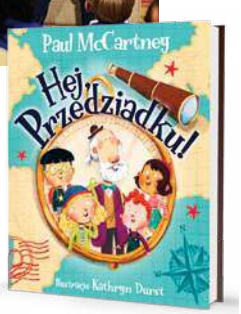
Przypomniała mi o nim zatroskana o los globusa młodziutka Greta. Jedno nas różni radykalnie, poza wiekiem. Ona się denerwuje ociepleniem klimatu, a mnie pół wieku temu raport Klubu Rzymskiego przeraził oziębieniem klimatu. Tu wszędzie miał być Sybir. Dla Polaka to zgroza. „Marksjanie zagrażają Ziemi, proletariatu fantomy, zdumiewające golemy zlepione z gliny i słomy. Niestety, panie panowie – Ziemi zagraża człowiek. Rozłupał atom, podbija niebo, pozna tajniki istnienia, wystrzela ptaki, zatruje glebę, rzeki w rynsztoki zamieni". W innej piosence na skoczną nutę skomponowaną przez Jerzego Wasowskiego wyśpiewywałem liczne zagrożenia: „Zatrujemy Odrę, Wisłę z dopływami, rozdepczemy ostatniego borowika, z nieba spadną, uwędzone w smugach spalin, makolągwy, kormorany i słowiki". W zasadniczo optymistycznej piosence „Za trzydzieści parę lat" jedna zwrotka była skrajnie pesymistyczna. Po jądrowej zagładzie... „pozostanie ciemny ślad na białym murze, cisza nieznana, spokój odwieczny, kilka bakterii w głębi mórz, nie obliczy nikt, że już wiek dwutysięczny".

W późniejszym i groźniejszym czasie stanu wojennego, troszcząc się o przyrodę, podrzucałem też coś ogólniejszego. „Póki żyje chociaż jeden biały orzeł i królestwa swego strzeże z górnych stron, nie powinno nam zabraknąć i nie może serc gorących, głów otwartych, mocnych rąk. Jasne niebo, czysta woda, bujna zieleń, nasz prawdziwy, niewątpliwy wielki skarb! Truć i niszczyć nie pozwólmy polskiej ziemi, ratujmy Polskę, ratujmy nasz kraj". Publiczność doskonale wiedziała, że nie tylko „okoliczności przyrody" nas prześladują. Że truciciele i niszczyciele Polski są obok nas i wśród nas, jak dzisiaj, niestety, niestety.

Jak sir Paul został Przedziadkiem

W 1968 r. napisał i zaśpiewał „Hej, Jude". 51 lat później opublikował książkę „Hey, Grandude!". Ukazała się właśnie po polsku (pod tytułem „Hej, Przedziadku!"). Tuż przed Dniem Babci (21 stycznia) i Dniem Dziadka (22 stycznia). Paul McCartney tak o niej opowiadał podczas spotkań oraz na Facebooku i Instagramie.





Skąd wziął się pomysł na ilustrowaną książkę dla dzieci?

Mam ośmioro wnucząt i każde z nich jest wspaniałe. Pewnego dnia jedno z nich powiedziało do mnie: „Hey, Grandude!". Odrzekłem: „Co tam?" i pomyślałem, że w sumie podoba mi się to przezwisko. Od tamtej pory jestem Grandude (dla polskich czytelników, dzięki Wyd. Tekturka: Przedziadek). Pomyślałem też, że to dobry pomysł na książkę, zacząłem więc pisać różne historyjki, które spodobały się wydawcom.

O czym jest książka?

Główną postacią jest Przedziadek. Ma czworo wnucząt, które uwielbiają wyruszać z nim na spotkanie z przygodą.

Ile lat ma Przedziadek?

77 lat. Ale to dziwne, bo ja też mam tyle.

Kto mógłby zagrać Przedziadka w filmie?

Brad Pitt! Myślę, że byłby idealnym kandydatem, tylko trzeba by go nieco ucharakteryzować.

Książkę zilustrowała Kathryn Durst, a ty wciąż malujesz?

Kathryn jest świetną artystką. Co do mojego malowania... Byłem zajęty nagrywaniem muzyki, wiele koncertowałem, ale myślę, żeby do malowania wrócić. Na razie nagrałem audiobooka, w którym znajduje się fragment, kiedy Przedziadek gra na gitarze, więc jest też nieco muzyki.

Opracowała JGZ

eprasa.pl fd463336a0

BRONISŁAW WILDSTEIN

Polscy rzecznicy Putina



Zaczynają się dwie uroczystości związane z obchodami 75. rocznicy wyzwolenia Auschwitz. Pierwsza, zgodnie z tradycją i historycznym uzasadnieniem, odbywa się w Polsce ze szczególnym uwzględnieniem miejsca dawnego obozu; druga – w izraelskim, poświęconym Holokaustowi, instytucie Yad Vashem finansowana jest przez związanego z Putinem, rosyjskiego oligarchę Wiaczesława Kantora. Przedsięwzięcie to ma instrumentalnie polityczny charakter. Do zabrania na nim głosu zaproszono prezydentów Izraela, Rosji, Niemiec i Francji, ale odmówiono go prezydentowi Polski. Nie sposób postrzegać decyzji tej w oderwaniu od wystąpień Putina, który w grudniu oskarżył Polskę o współudział w Holokauście.

Naturalnie scenariusz uroczystości w Yad Vashem zaplanowany został przed napaściami Putina, co potwierdza tylko fakt, że wystąpienia prezydenta Rosji nigdy nie są przypadkowe czy emocjonalne – to zawsze zimno rozrysowane elementy strategicznego planu. Pisałem już w artykule „Holokaust i polityka polska", że jest to kremlowska próba uczynienia z Polski wspólnika zagłady Żydów, aby w ten sposób zniszczyć jej prestiż. To istotny element działań przeciw krajowi, który stoi na przeszkodzie odbudowy rosyjskiego imperium. Moskiewska propaganda odwołuje się w tej mierze do specyficznej żydowskiej pamięci Holokaustu, którą należy rozumieć, co nie znaczy akceptować; do stanowiących dużą grupę mieszkańców Izraela, indoktrynowanych w szkołach ZSRS imigrantów z tego państwa, i wreszcie interesu Jerozolimy, dla której Rosja może być ważnym, chociaż taktycznym sprzymierzeńcem w krwawym puzzlu Bliskiego Wschodu.

Przy zaproponowanych mu warunkach polski prezydent miał tylko jedno wyjście: bojkot obrażających Polskę ceremonii. Udział w nich byłby przyznaniem racji Putinowskiej propagandzie.

Rozumieją to międzynarodowi obserwatorzy, w tym nie zawsze przychylni naszemu krajowi komentatorzy izraelscy. Poza generalnie kontrolowanymi przez Putina mediami rosyjskimi z największą krytyką Andrzej Duda spotkał się ze strony... polskiej opozycji.

Walka o prawdę historyczną, która w tym wypadku gwarantuje dobre imię narodu, powinna być imperatywem wykraczającym poza interesy partyjne. Powinna być... Jeśli jednak tak się nie dzieje, warto wskazać tych, którzy przekraczają elementarną wspólnotową lojalność. Zajmę się jednym przykładem, ale zachęcam czytelników, aby uzupełniali go we własnym zakresie.

„Prezydent nie pojedzie do Yad Vashem. To zła wiadomość. Obowiązkiem prezydenta jest być tego dnia w Jerozolimie. Światowe Forum Holokaustu to wspomnienie tragicznej historii polskich i europejskich Żydów. Urażona duma jest dla Andrzeja Dudy ważniejsza niż pamięć milionów ofiar" – oto wpis kandydata na prezydenta (!) lewicy Roberta Biedronia.

To, że nie będzie on prezydentem, nie ma w tym momencie większego znaczenia. Kariera w polityce polskiej kogoś, kogo jedynym programem jest orientacja seksualna, wystarczy, aby zadumać się nad zainfekowaniem życia publicznego również w naszym kraju. Nie można mu odmówić marketingowych zdolności, innych nie sposób uświadczyć. Zademonstrował je jako prezydent Słupska, co owocowało radykalnym zadłużeniem miasta. Nawet pedofilia, którą, jeśli chodzi o Kościół katolicki, niezwykle się oburzał, w podległej mu instytucji kwitła w najlepsze. Proceder taki uprawiał miejski nauczyciel tańca w Słupsku, a wprawdzie Biedroń twierdził, że zareagował na wiadomości o tym z całą stanowczością, ale okazało się to nieprawdą.

Kłamstwa i niedotrzymywanie zobowiązań to zresztą specjalność tego osobnika. Startując do PE z listy stworzonej przez siebie (wygląda na to, że w tym celu) Wiosny, zobowiązał się, że po uzyskaniu mandatu zda go, aby zająć się polityką krajową. Mandatu nie zdał, natomiast w PE rozpowszechniał skutecznie kłamstwa na temat projektu ustawy „Stop pedofilii", która zgodnie z jego wyjaśnieniami domagała się drakońskich kar za seksualną edukację. Zrobił to na tyle skutecznie, że Polska została oficjalnie potępiona, chociaż rządowego projektu nie było, a inicjatywa społeczna o tej nazwie zasadniczo różniła się od tego, co opowiadał o niej Biedroń.

Jego wypowiedź na temat polskiego prezydenta jest znamienna. To nie ambicje Dudy uniemożliwiają mu przybycie do Yad Vashem, ale odpowiedzialność za dobre imię naszego kraju, rzecz, która wydaje się zupełnie obca jego krytykowi. Utożsamienie Światowego Forum Holokaustu z pamięcią o tej zbrodni jest więcej niż zwykłym kłamstwem.

Problemem jest to, że w podobnym tonie wypowiedziało się wielu polityków opozycji: Hanna Gronkiewicz-Waltz, Rafał Trzaskowski i inni oraz towarzysząca im dziennikarska klaka. Czy można nazywać ich inaczej niż rzecznikami Putina?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fd463336a0



OGNIEM NA WPROST

Terapia szokowa

Jeszcze w 2012 r. Lisowy portal naTemat.pl pisał, że Szymon Hołownia jest konserwatywnym katolikiem. Są dwa wyjścia. Albo autorka artykułu nie rozumie pojęcia konserwatywny katolik, albo to Hołownia dokonał operacji na własnej świadomości i przeszedł do Kościoła człowieka zwanego księdzem – Kazimierza Sowy oraz drugiego podobnego Wojciecha Lemańskiego. Tylu bzdur, ile wyrzucił z siebie ostatnio w kwestii wiary katolickiej Hołownia, kandydat do fotela prezydenta RP, nie słyszałem już od dawna z ust kogoś, kto uważa siebie za osobę wierzącą. Przypomnijmy kilka złotych myśli niedoszłego dominikanina „ojca Szymona" (zaliczył dwa razy nowicjat). I tak stwierdził: „Zwierzęta, które spotkałem w życiu, będą mnie sądzić na Sądzie Ostatecznym". W tym świnie, które zjadł. Rozumiem, że Nasz Pan dał się ukrzyżować za prosiaka. Jeśli chodzi o małżeństwa jednopłciowe i adopcję przez nie dzieci, to taką ustawę odesłałby jako prezydent do ponownego rozpatrzenia, ale zostawiłby sobie furtkę. Z kolei, jak powiedział w rozmowie z Onetem, gdyby został głową państwa, „usunąłby krzyże z Pałacu Prezydenckiego i nie wziąłby udziału w mszy św. inaugurującej jego prezydenturę". No i się doigrał. Zakonnik karmelitów bosych nie chciał niedawno udzielić mu komunii. „Sumienie mi nie pozwala. Za poglądy, które pan głosi" – miał oświadczyć kapłan. Zapewne kierował się myślą męczennika Kościoła św. Jan Chryzostoma, który mawiał: „Niemała czeka was kara, jeśli pozwolicie wziąć udział w tej uczcie temu, o którym wiecie, że ma grzech na sumieniu. [...] Czy to będzie dowódca, czy prefekt, czy nawet koroną ozdobiony, nie dopuść go, jeśli przystępuje niegodnie". Zakonnik w końcu ustąpił Hołowni, ale ku przestrodze dodam od siebie kandydatowi na najwyższy urząd w państwie jeszcze jedną sentencję św. Jana Chryzostoma: „Dzielenie Kościoła jest złem nie mniejszym niż popadanie w herezję".

Kontynuując wdzięczny temat Hołowni, trafnie scharakteryzował jego wystąpienia doktor nauk humanistycznych w zakresie filozofii i publicysta w jednym – Jerzy Bukowski: „Stek sprzecznych z sobą banałów i truizmów, jakie wypowiada podczas spotkań z potencjalnymi wyborcami kandydat na prezydenta RP Szymon Hołownia powinien przekonać wszystkich Polaków, że jest on wiernym uczniem Włodzimierza Lenina, który twierdził, iż w komunizmie państwem może rządzić kucharka. Różnica polega na tym, że kucharka umie gotować, a Hołownia nie ma najmniejszego pojęcia o polityce". Nic dodać, nic ująć. W dziesiątkę!

Do Gdańska nieoczekiwanie przyjechała Greta Thunberg. Incognito. Mimo to czujni i „elektryczni" na klimaty ekologiczne trójmiejscy dziennikarze dopadli ją w wegańskiej knajpie. „Była cicha i zawstydzona" – jak donoszą. Nie wiedzą też, dlaczego do Polski przyjechała. No właśnie. Przyjechała, a nie przypłynęła kajakiem. Dotarła, pozostawiając za sobą ślad węglowy. Wbrew doktrynie. Jej krótki wypad do Polski miał najprawdopodobniej swoje drugie dno. Wpadła potajemnie, bo chciała wreszcie zjeść normalnie schaboszczaka z purée i kapuchą oraz odetchnąć od rodzimych „uchodźców". Ale wścibscy żurnaliści dopadli ją i popsuli zabawę. Stąd nawrót choroby i objawy depresji. To całe przygnębienie i inne dolegliwości jak na moje oko powoduje u Grety ścisła wegańska dieta oraz za mała ilość wdychanego CO_2. Dlatego następnym razem zaprosiłbym ją nie na żaden klimatyczny szczyt, tylko na paradę parowozów w Wolsztynie, gdzie gęsty dym bucha z 20 startujących maszyn na wysokość trzypiętrowej kamienicy. Potem przegłodziłbym ją i poczęstował dobrze wysmażonym stekiem z małym dodatkiem warzyw. Zaraz wróciłby humor i ochoczo zabrałaby się do nauki. Jak mawiają Anglicy: Grecia, co cię nie zabije, to cię wzmocni!

Dosyć „ciekawie" wyglądał finał WOŚP w gminie Męcinka na Dolnym Śląsku. Nagle przed oczami zgromadzonych przy scenie dzieci ukazała się skąpo ubrana tancerka, która przez kilka minut wykonywała wygibasy na rurze w stylu klubu go-go. Nagranie z tego wydarzenia opublikowano na oficjalnym profilu WOŚP Męcinka. Wideo zostało co prawda usunięte, widać organizatorzy w końcu się zorientowali, że coś jest nie tak, jednak zachowało się w sieci. Niezłe było też uzasadnienie występu. Pokaz możliwości „utalentowanej instruktorki pole dance". A co? Róbta, co chceta! Sie ma!

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fd463336a0

Jeszcze więcej start-upów



Marta Kaczyńska-Zielińska

1 marca wejdą w życie przepisy stanowiące o prostej spółce akcyjnej (PSA), które dostosowują regulacje zawarte w Kodeksie spółek handlowych, a także w innych ustawach do aktualnego tempa rozwoju gospodarczego. Nowa spółka kapitałowa zawierać będzie elementy charakterystyczne zarówno dla spółek z ograniczoną odpowiedzialnością, jak i spółek akcyjnych poszerzone o liczne możliwości mające na celu udogodnienie przedsiębiorcom prowadzenia działalności gospodarczej, a w szczególności obniżenie kosztów na starcie nowego biznesu. Wkład do spółki będzie mogła stanowić także praca lub świadczenie usług, rejestracja podmiotu nastąpić może elektronicznie, a ewentualna likwidacja spółki nie będzie już tak długotrwałym procesem jak w przypadku dotychczas obowiązujących regulacji.

Prosta spółka akcyjna to instrument prawny stworzony przede wszystkim z myślą o planujących tworzyć start-upy oraz wszelkiego rodzaju inne przedsięwzięcia biznesowe. Wyłącznym założycielem PSA nie będzie mogła być jednoosobowa spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Powołanie spółki będzie wymagało zawarcia umowy w formie aktu notarialnego lub w formie elektronicznej przy użyciu wzorca pobranego z portalu S24 i wyłącznie z wkładem pieniężnym. Spółka nabędzie osobowość prawną z chwilą uzyskania wpisu do Krajowego Rejestru Sądowego. W prostej spółce akcyjnej ustawodawca zwolnił akcjonariuszy z wymogów odnoszących się do minimalnego kapitału zakładowego i ograniczył się do ustanowienia obowiązku utworzenia minimalnego kapitału akcyjnego, którego wartość musi wynosić co najmniej 1 zł i nie trzeba jej określać w postanowieniach umowy spółki. Kapitału akcyjnego nie będą mogły stanowić świadczenie pracy lub usług, ale wyłącznie wkłady pieniężne i niepieniężne. Dokonanie przez zarząd wypłaty na rzecz akcjonariuszy będzie uzależnione od pozytywnego wyniku testu wypłacalności, tj. od zweryfikowania, czy spółka ma zdolność spłaty wymagalnych zobowiązań pieniężnych w terminie sześciu miesięcy od dnia dokonania takiej wypłaty. Akcje prostej spółki akcyjnej uprawniające do jednego głosu lub uprzywilejowane będą obejmowane po cenie emisyjnej w zamian za wkłady pieniężne lub niepieniężne. Osoba posiadająca akcje uprzywilejowane założycielskie w miarę wzrostu liczby akcji w spółce będzie uzyskiwać prawo do stosunkowo większej liczby głosów, co zapewni ugruntowanie jej wpływu na działalność PSA.

W świetle regulacji prawnej odnoszącej się do PSA wkład niepieniężny to wszelkie świadczenia mające wartość majątkową, a więc w szczególności także praca akcjonariusza lub świadczenie przez niego usług. Co niezwykle istotne, wkłady akcjonariuszy będą mogły zostać wniesione w całości w ciągu trzech lat od chwili dokonania wpisu do KRS. Kapitał akcyjny będzie musiał być jednak powiększany poprzez wpłaty w wysokości wynoszącej minimum 8 proc. zysku za dany rok obrotowy, jeżeli nie osiągnął 5 proc. sumy zobowiązań spółki wynikającej z zatwierdzonego sprawozdania finansowego za ostatni rok obrotowy. Rejestr akcjonariuszy zawierający listę niepodzielnych akcji inkorporujących ich prawa będzie prowadzony wyłącznie w formie elektronicznej, także w technologii blockchain.

Proste spółki akcyjne nie będą mogły uzyskiwać statusu spółki publicznej, czyli pozostaną wyłączone z notowań na giełdzie. Uchwały w PSA będą mogły być podejmowane na piśmie albo przy wykorzystaniu środków komunikacji elektronicznej. Walne zgromadzenie akcjonariuszy będzie można zwoływać poza terytorium Polski. Obecność notariusza nie będzie zawsze konieczna. Organem spółki będzie mógł być zarząd lub rada dyrektorów o uprawnieniach zarządczych (dyrektorzy wykonawczy) i nadzorczych (dyrektorzy niewykonawczy). Istotnym novum jest wprowadzenie możliwości rozwiązania spółki bez likwidacji następującego poprzez przejęcie majątku spółki oraz wszelkich praw i obowiązków przez akcjonariusza z obowiązkiem zaspokojenia wierzycieli i pozostałych akcjonariuszy.

Panu

prof. Justynowi Piskorskiemu

sędziemu Trybunału Konstytucyjnego

wyrazy współczucia

z powodu śmierci

MATKI

ZOFII PISKORSKIEJ

składa

Prezes Trybunału Konstytucyjnego

Julia Przyłębska

wraz z sędziami i pracownikami Trybunału

35/0120/F

eprasa.pl fd463336a0

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Na rurze

Podczas 28. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy dzieci mogły obejrzeć taniec na rurze. Rzecz dzieje się w gminie Męcinka. Warto dodać, że tancerka była dość skąpo ubrana, a kilka dni wcześniej wrocławski sąd uznał taniec na rurze za „usługę erotyczną". Rzecznik WOŚP poinformował, że „każdy z organizatorów finału WOŚP działa we własnym imieniu". Pytanie tylko, czy hasło „róbta, co chceta" małe dzieci powinny interpretować tak dosłownie.



3

– to już trzeci Charytatywny Bal u Dziennikarzy na Foksal. Impreza odbędzie się 8 lutego, a motyw przewodni zabawy to dwór i chata polska.

423

– tyle tysięcy cudzoziemców posiadało na początku tego roku ważne zezwolenia na pobyt w Polsce.

50

– o tyle tysięcy wzrosła w 2019 r. liczba osób z ważnym pozwoleniem na pobyt w Polsce.

Aborcja dla nieletnich?

Senat stanowy z Massachusetts w USA będzie głosował nad projektem ustawy znoszącej ograniczenia w dostępie do aborcji dla nastolatek. Pomysł nowelizacji prawa złożony przez Partię Demokratyczną ma zezwolić małoletnim na usunięcie ciąży bez zgody rodziców. Nowelizacja umożliwiłaby także aborcję powyżej 24. tygodnia ciąży. „Róbta, co chceta" dotarło już za ocean.



Opiekunka poszukiwana



Rodzice 18-latki z Kanady, która przyleciała na studia do brytyjskiego Leeds, szukają dla niej opiekunki, Nastolatka studiuje prawo i, jak twierdzą jej bliscy, potrzebuje opiekunki. „Ma kierowcę, który może wozić zakupy spożywcze i jeździć po nią, ale potrzebuje kogoś, kto upewni się, że dobrze się odżywia i żyje bez stresu związanego z praniem i sprzątaniem, ponieważ jej harmonogram nauki jest bardzo intensywny" – informuje ogłoszenie opublikowane w serwisie Indeed. Rodzicom zależy na tym, by opiekunka pilnowała ich dorosłą córkę, żeby ta jadła trzy zdrowe posiłki dziennie, a jej lodówka była pełna wartościowych przekąsek oraz soków. Gorzej jeśli dziewczyna będzie potrzebowała opiekunki także na sali sądowej po skończeniu studiów. Może wówczas mieć problem ze znalezieniem klientów.

eprasa.pl fd463336a0

Na słodko



Niewykluczone, że organizatorzy tańca na rurze z Męcinka zainspirowali się historią z Omska. W tym syberyjskim mieście w upominkach świątecznych dla dzieci znajdowały się zawierające wódkę cukierki z portretem prezydenta Władimira Putina. O sprawie informowało m.in. Radio Swoboda. Producent wyjaśniał, że w tych dość drogich słodyczach postarał się oddać zasadnicze cechy głowy państwa. Słodycze o nazwie „Prezydent" mają czekoladową polewę i są owinięte w czerwono-złote papierki. Widnieje na nich portret Putina. W Omsku najwyraźniej dbają o podtrzymanie narodowych tradycji.

Jestem totalnie spełnioną osobą, ale cały czas chcę się bić. Ja już dzisiaj nie muszę się bić o siebie. Ja chcę się bić o was, chcę się bić o Polskę" – tak zachwalała swoje walory Joanna Mucha, ubiegająca się o fotel przewodniczącego PO. Waleczna sztuka!

Przykurcz



Szwedzki były minister rolnictwa Eskil Erlandsson został uniewinniony od zarzutów molestowania seksualnego trzech kobiet, które naraził na „niepożądane dotykanie". Polityk tłumaczył się chorobą objawiającą się utratą kontroli nad ruchami ręki, która w jego przypadku lądowała na udach siedzących obok posłanek. Ta choroba nazywa się przykurczem (dłoni) Dupuytrena. Nosi też nazwę choroby wikingów. Szwedzki sąd uznał linię obrony ministra. Następnym razem koleżanki ministra w sytuacji molestowania powinny tłuc go po gębie. Oko za oko, a przykurcz za przykurcz.

Fot. Andrzej Wiktor, PATRICK TRÄGÅRDH, Shutterstock, YouTube

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Niemiecka duma



Dominik Zdort

„Lecz jak czułbyś się w tym domu czystym, oczywistym/ Gdyby w kuchni ktoś przy dziecku mówił po niemiecku?" – śpiewał Andrzej Rosiewicz. Chętnie posługujemy się tego typu stereotypami, niezależnie od tego, jak bywają nieprzyjemne, to starają się one wskazać coś tak nieuchwytnego, jak narodowy charakter – zestaw cech wykształconych za przyczyną wielosetletnich wspólnych doświadczeń, a może także podobnych genów.

Owe cechy dostrzegamy, wsłuchując się w deklaracje przedstawicieli elit, ale też odnajdujemy w tym, co niewypowiedziane – choćby w sposobie uprawiania polityki. W przypadku wspomnianych już Niemców: to nieustanne próby dominacji nad sąsiadami i traktowanie ich z wyższością (nawet jeśli – jak w przypadku Francji – jest to wyższość podszyta kompleksami).

Warto szukać cech narodowych także w źródłach mniej oczywistych. Przed dziewięciu laty pewien niemiecki pisarz wydał podróżniczą książkę o USA. Wynika z niej – z historycznych dygresji – że ze strony Europejczyków rdzennych mieszkańców czekały rzeczy wyłącznie złe. No, chyba że... tymi Europejczykami byli Niemcy. Tylko niemieccy badacze i arystokraci potrafili wczuć się w niedolę Indian i uwierzyć, że czerwonoskórzy mają duszę taką samą jak białoskórzy. Dzięki temu – jak utrzymuje autor – to właśnie w Niemczech mogła powstać powieść o braterskiej przyjaźni niemieckiego podróżnika Old Shatterhanda z wodzem Apaczów, „Czerwonym Dżentelmenem" Winnetou...

Do białych Amerykanów, tych współczesnych, niemiecki pisarz odnosi się z rezerwą. Nawet jeśli pojawia się wobec któregoś z nich cień sympatii czy zrozumienia, to zaraz zostaje przykryty swego rodzaju pobłażliwością. Nawet jeśli dostrzeże u nich odrobinę bezinteresowności, to zaraz opowiada o nich jak o naiwnych skautach w krótkich spodenkach.

Są jednak chwile, gdy na wierzch wychodzi jego niemiecka duma w czystej postaci. Tak jest, gdy w jednej z restauracji w Sioux City odnajduje na ścianach zdjęcia z amerykańskimi lotnikami z II wojny światowej. Przystojni Amerykanie pozują z pięknymi dziewczynami na tle swoich błyszczących maszyn... Tego już dla niemieckiego podróżnika za wiele, strony jego książki zaczynają drżeć z oburzenia. Jak oni mogą!

Dumny Niemiec z niesmakiem opuszcza lokal. Bez śladu refleksji na temat tego, kto wywołał tę wojnę i jakich metod podczas jej trwania używał.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

egnas.pl fd463336a0

RZECZY POSPOLITE

Kanał Grandę



Tomasz Łysiak

Marszałek Senatu sprowadził był sobie Komisję Wenecką do Polski, by ta sprawdziła procedury i generalnie legalną legalność naszej legislacji wedle swojego uznania, a potem doniosła, gdzie trzeba, tudzież ustosunkowała się i wyrażała. Miła ta zabawa, aczkolwiek będąca w sensie wymiaru inicjatywą raczej grodzką niż państwową, miała i potem dalsze reperkusje publiczne w trakcie obrad europarlamentarnych. Tam jedni nas pomawiali, a inni bronili (z miłym i mocnym francuskim akcentem tejże obrony), a i sami nie daliśmy sobie w kaszę dmuchać.

Postuluję jednak, by w ramach retorsji i w celu ukazania absurdu, jakim są de facto nieoficjalne wizyty Komisji Weneckiej, wysłać do Wenecji Komisję Warszawską.

Komisja ta winna się udać do miasta św. Marka i rozpocząć ogólną inspekcję stanu przygotowań i zabezpieczeń związanych z możliwymi zalaniami i powodziami. Pretekstem byłoby nasze głębokie zaniepokojenie stanem tej mającej tak dawne tradycje republiki. Gdzie podziały się miliardy euro tłoczone w system zabezpieczeń przeciwpowodziowych? Czemu inspektorzy zwlekali z uruchomieniem tak drogiego systemu, który właściwie był gotów do użytku? Dlaczego pozwolono, by niszczały skarby nie tylko kultury włoskiej, lecz i europejskiej?

Komisja Warszawska winna sobie więc polecieć do Wenecji, a potem pływać gondolami, fotografować i szykować raporty. Przypuszczam, że znalazłoby się wielu wściekłych na władze miasta wenecjan, którzy zaczęliby przyjmować ją z pompą i honorami, być może ugościli w jednej z wielu knajp, a potem nawet ogłosili, iż Komisja Warszawska zabezpiecza to, czego oni nie są w stanie zrobić, gdyż nie są akurat u władzy. A miasta żal. No żal.

I wtedy, drodzy państwo, gdyby już „Corriere del Veneto" o tym napisał i w RAI by się pojawiły materiały – wściekłyby się być może i same władze Wenecji i wydały komunikat o treści: „Nikt tu oficjalnie żadnej Komisji Warszawskiej nie zapraszał. Widzicie Canal Grande? To płyńcie stąd!". A wtedy nasi, z szelmowskim uśmiechem Pawła mówiącego do Gawła: „Wolnoć, Tomku, w swoim domku", rzekliby: „Gdybyś w swych kanałach, wenecjaninie, siedział, nigdy by się o tobie Polak nie dowiedział". A potem fru do Brukseli i wysmarować skargę na kanalarzy. Kretyńskie? Owszem. A pobyt Komisji Weneckiej u nas to nie?

Wstrząs mózgu



Piotr Cywiński

Cóż za spektakl w jednym akcie. Reporter TVP Info zahaczył na korytarzu sędzię Małgorzatę Gersdorf: „Czy potępia pani władze Francji za pacyfikację protestów? Mówię o tym, co wydarzyło się w Sądzie Apelacyjnym w Paryżu. Przedstawiciele zawodów prawniczych byli wypychani z budynku..." Na to pani Gersdorf: „Nie widziałam". No to on: „Nie widziała pani?". Na to ona: „Choruję już dwa tygodnie". Na to on, bez krztyny zrozumienia dla jej cierpienia: „Nie ogląda pani telewizji?". Na to ona, krótko: „Nie!". Kurtyna!

Cóż za bezczelność! Dobrze, że nie dźgnął, ten reporter, tej pani sędzi, tym mikrofonem, który podtykał jej pod ust korale. Żadnego szacunku dla kobiety pracującej, żadnego zrozumienia dla jej choroby, wszak to widać od dawna, że choruje. A telewizji nie ogląda, bo nie ma świeczki.

Inny operator tejże reżimowej TVP Info spowodował uraz innej pani, też Małgorzacie, ale Daszczyk, dyrektorce gabinetu marszałka Senatu pana Tomasza Grodzkiego. Walnął ją, ten operator, tępym narzędziem w ciemię, kamerą dokładnie, tak dotkliwie, że: „Tomografia głowy, objawy wstrząśnienia mózgu, szok. Mogło się skończyć bardziej tragicznie. Powstrzymajmy tych szaleńców!!!", zdiagnozował natychmiast stan pani Daszczyk pan marszałek na Twitterze. Lekarz, profesor, to wie... Tym samym wykazał, że miał w aucie tomograf lub ma go w oczach, że pani Daszczyk ma mózg, ale – na szczęście – nie pękła jej czaszka, bo mógł jej wypłynąć, ten mózg.

Cóż za wspaniałomyślność pana lekarza-profesora-marszałka Grodzkiego, który nie wziął za tę diagnozę ani grosza, a mógł, bo poza terenem szpitala, i nie zażądał nawet zwrotu kosztów za czyszczenie garnituru i wnętrza pojazdu, w którym obadał panią Daszczyk, bo przecież wiadomo, że wstrząśnieniu mózgu towarzyszą wymioty i utrata przytomności. Dobrze, że nie stracił jej pan marszałek, a i Senat RP, który też zakomunikował na Twitterze: „Skandaliczne zachowanie ekipy TVP Info (...) Małgorzata Daszczyk została uderzona w głowę kamerą. Obecnie przebywa w szpitalu. Złożyliśmy wniosek o odebranie akredytacji prasowych dla ekipy biorącej udział w zdarzeniu".

Wiem, szanowny panie marszałku profesorze Tomaszu Grodzki, że ma pan mnóstwo spraw na głowie, listy, wyjazdy, przyjmowanie różnojęzycznych gości, całych komisji nawet, ale dla naszego dobra narodowego, stanu sędziowskiego, zwracam się z prośbą o tomografię głowy pani Małgorzaty Gersdorf, choćby w aucie, może i tamten reporter, wtedy, tym mikrofonem..., że pana zacytuję: „mogło się skończyć bardziej tragicznie. Powstrzymajmy tych szaleńców!!!"...

eprasa.pl fd463336a0



Przed siedmioma laty, 17 stycznia 2013 r. odeszła

ŚP

Jadwiga Kaczyńska

moja i mojego Brata Lecha Mama.
31 grudnia 2019 r. minęła 93. rocznica Jej urodzin.

Była mądrą, dobrą Kobietą, troskliwą Matką, niosła ze sobą i przekazywała innym piękną tradycję polskiej inteligencji, patriotyzmu, uczciwości, zaangażowania w sprawy innych, otwartości wobec ludzi bez względu na ich życiową pozycję, głębokiego przywiązania do rodziny i Kościoła.

Była dla swoich najbliższych, dla mojego Brata i dla mnie, nauczycielem i podporą. Pozostała nią mimo bardzo ciężkiej choroby także w ostatnim okresie życia, po smoleńskiej tragedii. Pozostawiła po sobie najlepszą pamięć i niemożliwą do zapełnienia pustkę.

Msza Święta w siódmą rocznicę Jej śmierci została odprawiona 17 stycznia 2020 r. o godz. 19:00 w Bazylice Świętego Krzyża w Warszawie.

Syn Jarosław

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

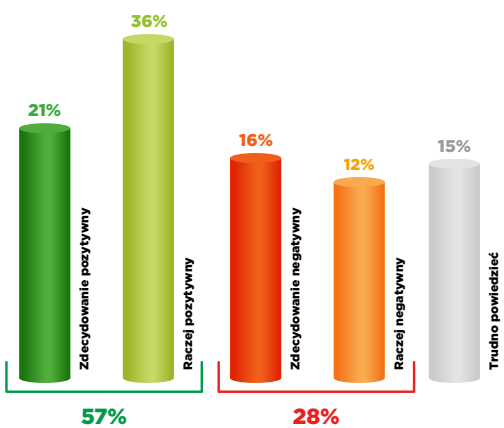
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR x3, M. CZUTKO, JOSEPH P. CZARNECKI/EASTNEWS, PAP, ROBYNCHARNLEY/SHUTTERSTOCK.COM

nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Jaki jest Pani/Pana stosunek do muzyki disco polo?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1003.

Zakres czasowy badania 27 września–2 października 2019 r.

eprasa.pl fd463336a0



Toga w togę z esbekami

Trudno zrozumieć decyzje sądów, które lekceważąc konstytucję i ustawę dezubekizacyjną, przywracają wysokie emerytury byłym esbekom. Sędziowie sięgają po cudaczne argumenty, niemalże kpiąc z obowiązującego w Polsce prawa. Czy mogą oburzać stwierdzenia, że komuna trzyma się w sądach mocno?



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

W Senacie ma zostać niebawem przedstawiony projekt klubu Lewicy zmieniający tzw. ustawę dezubekizacyjną z 2016 r. Dzięki niej byli pracownicy służb specjalnych i mundurowych PRL otrzymują niższe emerytury za okres „służby na rzecz totalitarnego państwa".

Prawo odbierające funkcjonariuszom aparatu Polski Ludowej nienależne przywileje nie podoba się politykom SLD, którzy bronią dawnych esbeków niezależnie od tego, jak bardzo byli zaangażowani w komunistyczny system. Podnoszą argumenty o „równości wobec prawa" i potrzebie „gwarancji należytego zabezpieczenia społecznego". Przypomnijmy jednak, że nikt nie pozbawia byłych funkcjonariuszy służb PRL środków do życia, ich świadczenia są jedynie obniżane – z sum nierzadko pięciocyfrowych do ok. 2 tys. zł. Emerytury i renty byłych funkcjonariuszy MO czy SB nie mogą przekraczać średniego świadczenia wypłacanego przez ZUS.

Ustawa Lewicy zapewne nie przejdzie, ale może wcale nie będzie konieczna, by chronić interesy ludzi opływających dziś w dostatki dzięki pracy dla totalitarnego aparatu.

Okazuje się bowiem, że sądy ustawą z 2016 r. niespecjalnie się przejmują. Jest wiele przypadków wydawania wyroków cofających obniżenie emerytur, a będących w rażącej sprzeczności z ustawą zaopatrzeniową.

W sądach na terenie całego kraju toczy się już blisko 600 spraw wszczętych po odwołaniach złożonych przez osoby objęte ustawą. A to dopiero początek, bo na wyznaczenie rozpraw czeka ponad 20 tys. kolejnych przypadków.

Do końca ub.r. w sądach okręgowych zapadło 21 wyroków oddalających odwołanie, za to aż 110 przywracających wysokie świadczenia. Często w sposób, który każe zapytać o to, czym naprawdę kierował się sędzia. Oto kilka sposobów służących w majestacie prawa temu, by ominąć ustawę i przywrócić byłym esbekom wysokie emerytury i renty.

BO MEDIA ŹLE MÓWIĄ

Jak wiadomo, według polskiej konstytucji o zgodności z nią ustaw orzeka Trybunał Konstytucyjny i nikt inny (w sprawie ustawy dezubekizacyjnej skierowano do TK pytania, ale na werdykt nadal czekamy). Jednak sędziowie nie zawsze się tym przejmują i samodzielnie stwierdzają, że nowe przepisy są niezgodne z ustawą zasadniczą.

Stosują też wiele innych kuriozalnych stwierdzeń. Jak Marek Przysucha z sądu w Częstochowie, który w uzasadnieniu do wyroku napisał: „Ustawa wprowadziła pozasądową zbiorową odpowiedzialność wobec osób uznanych za danych przeciwników politycznych aktualnej większości parlamentarnej". A więc rzekomo chodzi nie o obniżenie świadczeń funkcjonariuszom aparatu represji państwa komunistycznego, lecz jakimś „przeciwnikom" obecnego obozu rządzącego. Z esbeków robi się niemalże opozycję pozaparlamentarną, którą należy w sposób szczególny chronić. Sędzia Przysucha dodał, że ustawa jest sprzeczna z zasadami podstawowymi UE, więc jego obowiązkiem jest ustawę... pominąć.

Na wspomnianego sędziego powołuje się w swoim wyroku Danuta Poniatowska z sądu w Suwałkach. Wprost pisze, że „w znacznej mierze" oparła się na ustaleniach i wywodach kolegi z Częstochowy, a od siebie dodaje wątpliwości w sprawie nowych przepisów, które mają być niezgodne „z zasadą godności jednostki, zasadą rządów prawa (wina zbiorowa), zasadą równości, zasadą proporcjonalności (ustawę wydano 27 lat od transformacji ustrojowej) (...)". Zwłaszcza ten ostatni argument zdumiewa. Wynika z niego, że jest już po prostu za późno na rozliczenia z komunizmem.

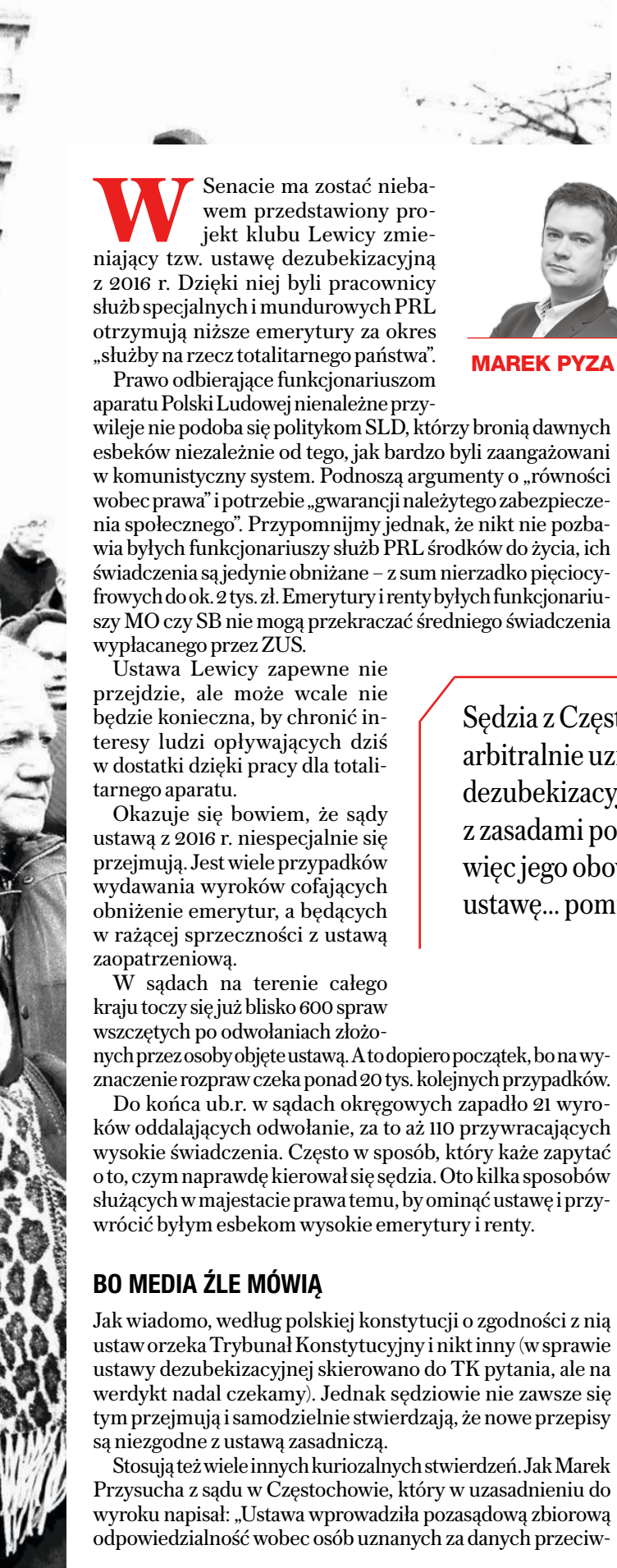
> Sędzia z Częstochowy arbitralnie uznał, że ustawa dezubekizacyjna jest sprzeczna z zasadami podstawowymi UE, więc jego obowiązkiem jest ustawę... pominąć

Jeszcze bardziej karkołomne uzasadnienia tworzy sędzia Grażyna Łazowska z Gliwic, która pochyliła się nad rodzinami funkcjonariuszy objętymi rentami inwalidzkimi po zmarłych bliskich: „Sama ustawa określana powszechnie jest jako »ustawa dezubekizacyjna«, w środkach masowego przekazu przekazywana jest informacja, że dotyczy ubeków, esbeków, co ma zdecydowanie pejoratywny wydźwięk. W konsekwencji adresaci art. 24a policyjnej ustawy emerytalnej są postrzegani i przedstawiani jako żony, mężowie czy dzieci »ubeków«, co narusza ich godność i poniża". Okazuje się więc, po pierwsze, że dzieci ubeków nie wolno nazywać dziećmi ubeków. A po drugie, że o stosowaniu bądź niestosowaniu ustawy decyduje sposób opowiadania o niej przez media.

Sędziowie często twierdzą, że ustawa zaopatrzeniowa narusza zasadę praw nabytych. Tyle że tę kwestię już dawno rozstrzygnął Trybunał Konstytucyjny. Zajmował się nią wielokrotnie, np. w 1999 r. Stwierdził wówczas: „Zasada ochrony praw nabytych nie ma charakteru absolutnego i nie wyklucza stanowienia regulacji mniej korzystnych dla jednostki. Trybunał Konstytucyjny wielokrotnie podkreślał, że odstąpienie od zasady ochrony praw nabytych jest dopuszczalne w szczególnych okolicznościach, gdy przemawia za tym inna zasada prawnokonstytucyjna".

BO GŁOSOWALI W KOLUMNOWEJ

Kolejny zdumiewający argument: sądy nie stosują ustawy, bo ta... została uchwalona w niewłaściwym trybie. „Wiadomo, że nad rządowym projektem ustawy w dniu 16.12.2016 r. głosowanie odbyło się poprzez podniesienie ręki i obliczenie głosów



Fot. Piotr Molecki/East News

prasa.pl fd463336a0

przez sekretarzy, a liczne wątpliwości, w tym dotyczące kworum, nie zostały dotychczas usunięte" – napisała Ewa Wyrwas-Wystrychowska z Sądu Okręgowego w Katowicach.

W wielu przypadkach sędziowie udają, że nie doczytali w ustawie, czym była „służba na rzecz totalitarnego państwa", a przecież posłowie zapisali w art. 13b cały katalog instytucji, formacji, jednostek wewnętrznych w urzędach aparatu represji, w których praca oznaczała ową służbę. Ten przepis zajmuje aż cztery i pół strony, jest bardzo precyzyjny. Jednak sędziowie – jak Elżbieta Selwa z sądu w Rzeszowie – pomijają go i sięgają do ustawy lustracyjnej z 2006 r. (nie ma ona z dezubekizacyjną nic wspólnego). Robią to po to, by skorzystać z zawartej tam definicji „służby na rzecz totalitarnego państwa" jako „aktywnego zwalczania opozycji" i dowodzenia, że w danym przypadku takie zwalczanie się nie odbywało. Tyle że to znów jest poza ustawą dezubekizacyjną i sądy nie powinny w ten sposób wywodzić.

Paweł Siwek z Wrocławia to kolejny sędzia, który zabawił się w Trybunał Konstytucyjny. Poza stwierdzeniem niezgodności z konstytucją przepisów ustawy zaopatrzeniowej w uzasadnieniu wyroku przywracającego wyższą rentę poczynił też taki niezrozumiały passus: „Obniżanie i tak niezbyt wysokiego świadczenia 83-letniej osobie, niepracującej w formacjach służących na rzecz totalitarnego państwa tylko dlatego, że mąż (ówcześnie kawaler) przepracował 14 dni w takiej formacji, byłoby nieludzkie i nielicujące z demokratycznym państwem prawnym, jakim jest Rzeczpospolita Polska". Ten ludzki argument i miękkie serce sędziego Siwka można by nawet zrozumieć. Ale odwróćmy ten problem i zapytajmy w takim razie: dlaczego owa 83-letnia osoba ma mieć wyższe świadczenia niż jej rówieśniczka tylko dlatego, że małżonek dwa tygodnie przepracował w milicji? Co jest bardziej niesprawiedliwe?

Tego typu uzasadnień wyroków mamy już ponad 100, czyli większość z zakończonych spraw w pierwszej instancji. Przed nami jeszcze oczywiście apelacje, ale przede wszystkim rozpoznanie pozostałych złożonych odwołań – zrobiło to 22,5 tys. osób! Jest to więc dopiero początek maratonu sądowych batalii o ubeckie przywileje.

Sprawa wróci zapewne już w nadchodzącej kampanii wyborczej, bo dla lewej strony sceny politycznej jest jednym z priorytetów.

Z LUDŹMI TRZEBA SIĘ LICZYĆ

Konsekwentną narracją polityków Lewicy jest mowa o skrzywdzonych byłych funkcjonariuszach służb mundurowych. Często na ten temat publicznie wypowiada się poseł Andrzej Rozenek. Jego wpis na Twitterze z 1 grudnia 2019 r.: „Nie zapominamy o emerytach mundurowych. Lewica zawsze będzie bronić praw nabytych i sprzeciwiać się odpowiedzialności zbiorowej!", należy do najłagodniejszych. Często powtarzał, że „PiS ma krew na rękach", gdy sypał liczbami zawałów, udarów i samobójstw (liczonych podobno w dziesiątkach), które rzekomo spowodowała ustawa.

Prawdą jest, że obniżające emerytury przepisy są szerokie i objęły ponad 38 tys. osób, ale już sporym nadużyciem jest twierdzenie, że to zamyka sprawę i bezduszna władza jest głucha na tłumaczenia. W dokumentach, do których dotarliśmy, znajdujemy przypadki dowodzące, że nikt nikogo nie traktuje masowo, a każdy przypadek może być rozpatrywany indywidualnie i istnieje możliwość wyłączenia spod ustawy niekoniecznie na drodze sądowej. Wystarczy uczciwe uzasadnienie w piśmie do szefa MSWiA. Chodzi o to, by dowieść, że „służba dla totalitarnego państwa" przed 31 lipca 1990 r. była krótkotrwała i nie wiązała się ze stosowaniem represji wobec opozycji, oraz że po 12 września 1989 r. obowiązki i zadania w resorcie wypełniało się rzetelnie (jak dotychczas minister cofnął decyzję w 37 przypadkach).

> W wielu przypadkach sędziowie udają, że nie doczytali w ustawie, czym była „służba na rzecz totalitarnego państwa". Ten przepis zajmuje aż cztery i pół strony, jest bardzo precyzyjny

Wnioskujący imają się różnych form. W jednym z takich pism, którego autorką jest pani M., pracownica z 27-letnim stażem w milicji, a potem w policji we Wrocławiu, odnajdujemy nawet nawiązanie do słów Jarosława Kaczyńskiego ze spotkania w Trzciance: „Z ludźmi trzeba się liczyć". Kobieta rozpoczyna od tej sentencji, a dalej odnajdujemy jej historię z 1968 r.: „(...) przyjęła się do służby w Milicji Obywatelskiej z myślą o wykonywaniu pracy biurowej. Wbrew swoim oczekiwaniom została skierowana do pracy w Wydziale »B« KWMO we Wrocławiu na stanowisko wywiadowcy. Już po dwóch miesiącach ww. stwierdziła, że charakter wykonywanej pracy jej nie odpowiada i (...) napisała raport z prośbą o zwolnienie, motywując go całkowitym brakiem zainteresowania wykonywanymi obowiązkami służbowymi. Pani M. zaznacza, że oczekując na zwolnienie, odmówiła nawet przychodzenia do pracy". Dwa miesiące później została przeniesiona na stanowisko referenta w dziale kwatermistrzowskim wrocławskiej komendy MO.

Po złożeniu wniosku o ponowne rozpatrzenie sprawy w MSWiA uznano, że rzeczywiście praca, którą można by zakwalifikować jako „służbę dla totalitarnego państwa", była krótkotrwała (obliczono, że miesiące spędzone w wydziale „B" stanowiły zaledwie 1,5 proc. całego okresu pełnienia służby), a po 1989 r. kobieta wywiązywała się ze swych obowiązków bez zastrzeżeń. Oba te warunki są spełnione, pani M. zostanie zatem wyłączona z działania art. 15c ustawy zaopatrzeniowej, który mówi o obniżeniu emerytury. Ta weryfikacja przebiegła pomyślnie już na poziomie korespondencji z szefem MSWiA, bez konieczności rozpraw sądowych.

Podobny finał ma sprawa pani B., choć ta „służbę dla totalitarnego państwa" pełniła dłużej, bo przez rok, 2 miesiące i 25 dni w latach 1988–1989. Po weryfikacji i sięgnięciu do źródeł w Instytucie Pamięci Narodowej potwierdzono, że kobieta pracowała w Służbie Bezpieczeństwa, ale na stanowisku

eprasa.pl fd463336a0

maszynistki. Później natomiast, już po 1989 r., przez wiele lat służyła z sukcesami (wielokrotnie ją nagradzano) w Centralnym Biurze Śledczym Policji, gdzie zwalczała przestępczość zorganizowaną w jednym z największych polskich miast.

NIE DLA KAŻDEGO

Pism do ministra spraw wewnętrznych, w których byli funkcjonariusze proszą o ponowne rozpatrzenie sprawy i przywrócenie emerytur pobieranych przed wprowadzeniem ustawy, jest sporo. Znaczna część ich autorów nie może jednak liczyć na pozytywną decyzję, nawet jeśli w wolnej Polsce czasem zachowywali się bardzo przyzwoicie. Publicznie o swojej krzywdzie wielokrotnie mówił Krzysztof Olkowicz, w latach 2015–2017 zastępca rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara. O Olkowiczu naprawdę głośno było nieco wcześniej, gdy we wrześniu 2013 r., pracując w Służbie Więziennej, wpłacił część grzywny za niepełnosprawnego Arkadiusza K. przebywającego w koszalińskim areszcie za kradzież wafelka o wartości 99 gr. Formalnie przepisy tego zabraniały, więzień nie był bowiem osobą mu bliską. Sąd uznał zatem winę Olkowicza, ale – zapewne ceniąc wielkoduszność – nie nałożył na niego kary.

Krzysztof Olkowicz ma jednak w życiorysie także mniej chlubną kartę. Był funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa. W wydanym w październiku 2015 r. oświadczeniu stwierdził: „Przez okres pracy w kontrwywiadzie nigdy nie dopuściłem się czynów, które można by uznać za niegodne. Naturalnie ten okres pracy nie jest dla mnie powodem do dumy, uważam jednak, że okres ponad 32-letniej pracy zawodowej nie może być przekreślony przez fakt, że wcześniej przez 16 miesięcy pracowałem w strukturach Milicji Obywatelskiej". Według obliczeń MSWiA okres „służby dla państwa totalitarnego" w jego przypadku wyniósł dokładnie rok, 4 miesiące i 15 dni, to 4 proc. okresu całej służby. Może i niewiele, ale nie to jest tutaj kluczowe.

> Z esbeków robi się niemalże opozycję pozaparlamentarną, którą należy w sposób szczególny w sądach chronić

Sięgnijmy do kalendarium. Był środek stanu wojennego, podczas którego internowano ponad 10 tys. działaczy związanych z Solidarnością. Życie straciło 40 osób, w tym 9 górników z kopalni Wujek podczas pacyfikacji strajku. 1 maja 1982 r. w wielu miastach Polski obok komunistycznych pochodów z okazji Święta Pracy odbyły się opozycyjne kontrmanifestacje. Jak pisał w „Kronice komunizmu" dzisiejszy prezes IPN dr Jarosław Szarek, „władza, a także przywódcy podziemnej Solidarności, zostali zaskoczeni skalą i determinacją manifestujących". Stąd brutalne tłumienie wystąpień przez reżim i przywrócenie w miastach godziny policyjnej.

Tego samego 1 maja 1982 r. gen. Wojciech Jaruzelski wzywał do podjęcia „wielkiego wysiłku". „Trzeba walki ze złem, z jątrzącą, burzącą ład społeczny działalnością wroga. (...) W dniu pierwszomajowego święta potwierdzamy z całą mocą: interes ojczyzny, ludzi pracy, polskiej klasy robotniczej był i jest jeden – socjalizm. Będziemy go budować, będziemy go bronić. (...) Wysoko nieśmy czerwone sztandary".

Właśnie 1 maja 1982 r. Krzysztof Olkowicz zgłosił się do pracy w Milicji Obywatelskiej. Piął się po szczeblach inspektorskich Wydziału II SB KWMO w Elblągu. Ustawa dezubekizacyjna obniżyła jego ponad 10-tysięczną emeryturę do 2 tys. zł. Wnioski o ponowne rozpatrzenie sprawy odrzucono.

III RP DLA UBEKÓW

Sam Adam Bodnar broni nie tylko swojego byłego współpracownika, ale wszystkich objętych ustawą. Jego argumentacja pokrywa się z przywoływanymi wyżej uzasadnieniami sądów. Możemy ją znaleźć na stronach RPO. Jest tam też znamienna publikacja z 12 listopada o decyzji katowickiego sądu przywracającej emeryturę byłemu milicjantowi. Utrzymana w publicystycznym tonie informacja opatrzona jest zdjęciem z manifestacji (poza Polską), na której większość uczestników dumnie kroczy z czerwonymi flagami z sierpami i młotami. To dobra ilustracja do postawy Rzecznika Praw Obywatelskich.

Warto jeszcze raz rozprawić się z kilkoma mitami. Powtórzmy więc – nikt nikomu nie zabrał emerytury ani renty, a jedynie obniżył do nie większej niż średnia wypłacana przez ZUS (to 2,2 tys. zł emerytury, 1,6 tys. zł renty z tytułu niezdolności do pracy i 1,8 tys. zł renty rodzinnej). Najwyższą emeryturę obniżono aż o 18 tys. zł. Nie jest prawdą, że to rodzaj politycznej zemsty na niewinnych tymczasowych pracownikach biurowych służb PRL. Według danych MSWiA 38 proc. z 38 tys. osób objętych dekomunizacją pełniło „służbę na rzecz totalitarnego państwa" przez więcej niż 10 lat. Od 5 do10 lat – 32 proc., od 3 do 5 lat – 13 proc., od roku do 3 lat – 12 proc., a tylko 5 proc. poniżej roku. I jeszcze jedna statystyka – przez pierwsze półtora roku obowiązywania ustawy, budżet państwa zaoszczędził prawie 1,2 mld zł.

Polskie państwo podchodziło do ukracania esbeckich przywilejów kilkakrotnie. Jako pierwszy próbował rząd Jana Olszewskiego w 1992 r., ale ustawę zawetował prezydent Lech Wałęsa, Sejm jego weta nie odrzucił. Pięć lat później w obronie esbeków skorzystał z weta Aleksander Kwaśniewski. W 2009 r. częściową dezubekizację wprowadziła większość PO-PSL (z poparciem PiS i prezydenta Lecha Kaczyńskiego). I wreszcie w 2016 r. ustawa zaopatrzeniowa rządu Beaty Szydło doprowadziła nas do stanu dzisiejszego.

Jak się okazuje, to nie koniec walki o przywrócenie należnych proporcji w uposażeniach ofiar i katów. Bo są jeszcze sądy, wciąż funkcjonujące w patologicznym systemie pozwalającym im na wydawanie wyroków zarówno wbrew społecznej sprawiedliwości, jak i obowiązującym przepisom. Również po to, by wciąż było to możliwe, maszerują właściciele tóg, a ich parlamentarni sojusznicy sięgają po wszelkie metody – w Polsce i za granicą – by taki stan rzeczy zachować.

eprasa.pl fd463336a0

Państwo Senat



eprasa.pl fd463336a0



STANISŁAW JANECKI

Izba wyższa parlamentu pod kierownictwem marszałka Grodzkiego zamienia się w alternatywny rząd

14 stycznia 2020 r. to pod wieloma względami data przełomowa w historii Polski po 1989 r. Najważniejsze jest to, że wtedy rozpoczęło działalność nowe państwo zlokalizowane na terenie Warszawy. To państwo już wcześniej nawiązywało kontakty dyplomatyczne, ale 14 stycznia częściowo zyskało międzynarodowe uznanie. Tak jak to się działo z wieloma państwami powstającymi po rozpadzie ZSRS czy Jugosławii. Nowe państwo legitymizowali m.in. prezes Federalnego Sądu Administracyjnego Niemiec Klaus Rennert, prezes Izby Adwokackiej w Amsterdamie Evert-Jan Henrichs, prezes flamandzkiego stowarzyszenia adwokatury Edward Janssens, francuscy prawnicy prof. Laurent Pech z Middlesex University w Londynie czy sędzia Nils Monsarrat. Powstanie nowego państwa w sercu Warszawy byłoby tylko groteską, gdyby nie to, że kontrolowany przez opozycję Senat całkiem serio zaczyna się bawić w samodzielne państwo, a przynajmniej we władzę równoległą bądź alternatywną. I ta zabawa wcale nie jest śmieszna czy wesoła, skoro formalnie chodzi o konstytucyjny organ państwa polskiego. Nie jest to śmieszne także z tego powodu, że dochodzi do niedopuszczalnej ingerencji zagranicy w proces ustawodawczy w Polsce.

BRATNIA POMOC

Formalnie we wtorek 14 stycznia 2020 r. doszło w Senacie do prawie czterogodzinnej „debaty" nad nowelizacją ustaw sądowych. Nie organizowała tej „debaty" jednak żadna senacka komisja, lecz Parlamentarny Zespół Obrony Praworządności, przedstawiciele różnych stowarzyszeń, instytucji, organizacji znanych z ulicznych demonstracji i protestów oraz zagraniczni „eksperci". Prezydium zespołu reprezentowali poseł PO (KO) Piotr Zientarski (przewodniczący) oraz senator Gabriela Morawska-Stanecka z lewicy, poseł Marek Biernacki z PSL-Koalicji Polskiej, poseł Kamila Gasiuk-Pihowicz z PO (KO) i senator Krzysztof Brejza z PO (KO) – jako wiceprzewodniczący. Głos zabierali I prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf, prezes Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku Andrzej Rzepliński, a wspierali ich reprezentanci stowarzyszeń sędziowskich Iustitia i Themis, stowarzyszenia prokuratorów Lex Super Omnia, Naczelnej Rady Adwokackiej, inicjatywy Wolne Sądy, Komitetu Obrony Sprawiedliwości, Sieci Obywatelskiej Watchdog, Komitetu Obrony Demokracji oraz Biura Rzecznika Praw Obywatelskich. Jako eksperci z zagranicy wystąpili wspomniani już Klaus Rennert, Laurent Pech, Jan Henrichs, Edward Janssens czy Nils Monsarrat. Żeby zagraniczni goście nie czuli się wyobcowani, marszałek Tomasz Grodzki prowadził „debatę" po angielsku. Zagraniczni goście mieli udowodnić, że choćby w prawodawstwie ich państw były przepisy zakazujące sędziom uczestnictwa w politycznych debatach czy manifestacjach, to albo są one nieegzekwowane, albo znaczą co innego, niż jest zapisane w przepisach, bądź nic nie znaczą. Zagraniczni „eksperci" zastrzegali przy tym, że w żadnym razie nie oceniają polskiej ustawy, nie radzą, jak Polska ma kształtować swoje wewnętrzne prawo, a tylko wskazywali na to, że przyjęcie ustawy w sejmowym kształcie „stworzy dystans między Unią Europejską a Polską". Czyli mówiąc wprost: jeśli przyjmiecie ustawę w kształcie zaproponowanym przez posłów, wykluczacie się z Unii Europejskiej.

Przedstawienie pod nazwą „debata Parlamentarnego Zespołu Obrony Praworządności" zorganizowano po to, by ukryć ingerencję w proces legislacyjny w Polsce nie tylko przedstawicieli mniej lub bardziej upolitycznionych stowarzyszeń oraz organizacji zaangażowanych w antyrządowe zadymy i protesty, ale przede wszystkim ingerencję w ten proces czynnika zagranicznego, co zasadniczo podważa suwerenność stanowienia w Polsce prawa. Zagraniczni goście mieli oczywiście tego świadomość, stąd ich zapewnienia, że nie doradzają ani nie oceniają, tylko informują o „dystansie między Unią Europejską a Polską". Wszystko to były tylko niewinne merytoryczne konsultacje, żeby uniknąć wejścia w życie wadliwej ustawy. Rzecz jest jednak o tyle precedensowa, że podobne rzeczy działy się w polskim Sejmie w XVIII w., gdy przedstawiciele obcych państw, najczęściej ambasadorowie, bezpośrednio ingerowali w proces legislacyjny, nawet na sali sejmowej, wręcz potrafili zwoływać posiedzenia i przeprowadzać je wedle swego planu – jak w wypadku sejmu niemego 1 lutego 1717 r. czy sejmu grodzieńskiego obradującego od 17 czerwca do 23 listopada 1793 r.

To, co się działo w Senacie 14 stycznia 2020 r., nie jest więc tylko rozszerzoną debatą z udziałem czynnika europejskiego (uzasadnianego członkostwem Polski w Unii Europejskiej), ale bardzo groźnym precedensem wyzbywania się suwerenności w procesie legislacyjnym. Konia z rzędem temu, kto znajdzie podobne przykłady ingerencji w proces legislacyjny i ograniczania suwerenności w jakimkolwiek innym państwie Unii Europejskiej. Dlatego 14 stycznia 2020 r. można traktować jako datę powstania swego rodzaju nowego państwa – jakkolwiek kabaretowo czy groteskowo by to wyglądało. Ani kabaretowe, ani groteskowe nie są

Fot. East News/Piotr Molęcki

eprasa.pl fd463336a0

natomiast konsekwencje działań Senatu kontrolowanego przez opozycję i kierowanego przez marszałka Tomasza Grodzkiego.

PAŃSTWO W PAŃSTWIE

Senackie państwo w państwie tylko pozornie jest atrapą, gdyż mimo wszystko i formalnie jest konstytucyjnym organem państwa polskiego. Senat już jest, a będzie bez porównania bardziej wykorzystywany do przekonywania Zachodu i Wschodu, że w Polsce faktycznie panuje dwuwładza. Nie w tej skali i w równie dramatycznych okolicznościach, ale będzie to rozgrywane na wzór prezydenckiej dwuwładzy w Wenezueli. Z tego punktu widzenia innego wymiaru nabierają wizyty zagranicznych ambasadorów u marszałka Grodzkiego, szczególnie ta rosyjskiego ambasadora Siergieja Andriejewa 19 grudnia 2019 r., a więc w tym samym dniu, w którym prezydent Władimir Putin zainicjował festiwal swoich historycznych kłamstw na temat Polski. Marszałek Grodzki o tym nie wiedział, ale ambasador Andriejew wiedział, więc szkoda, że polski polityk nie wziął pod uwagę ostrzeżeń polskiego MSZ. Ale z drugiej strony, dlaczego miałby te ostrzeżenia uwzględniać, skoro tworzył już w tym czasie coś w rodzaju alternatywnego ośrodka władzy. Nowego znaczenia nabierają też zagraniczne wizyty marszałka Grodzkiego, szczególnie jego pobyt w Komisji Europejskiej i rozmowy z jej wiceprzewodniczącą Věrą Jourovą, odpowiedzialną za praworządność, oraz z komisarzem Didierem Reyndersem. A całości dopełnia zaproszenie do Polski przez marszałka Grodzkiego Komisji Weneckiej. To wszystko sprawia, że inaczej niż na zwykłe wizyty i przyjęcia gości można patrzeć na zapowiadane spotkania marszałka Senatu z przewodniczącym niemieckiego Bundesratu i premierem Brandenburgii Dietmarem Woidkem (22 stycznia 2020 r.), z przewodniczącym Senatu Australii Scottem Ryanem (27 stycznia 2020 r.), a także na jego wizytę w Japonii (17–23 lutego 2020 r.), gdzie przyjmie go m.in. przewodnicząca Izby Radców (wyższej izby parlamentu Japonii) Akiko Santō. Inaczej trzeba też patrzeć na rutynowe wcześniej noworoczne spotkanie Tomasza Grodzkiego z korpusem dyplomatycznym (28 stycznia 2020 r.).

W najbliższych tygodniach i miesiącach można się spodziewać, że nie zważając na konstytucyjne prerogatywy Senatu i jego marszałka, ta izba będzie występowała na zewnątrz Polski jako alternatywny ośrodek polskiej władzy. I jest praktycznie pewne, szczególnie po „debacie" 14 stycznia 2020 r., że będzie to podchwytywane przez międzynarodowe organizacje i niektóre państwa, a także przez instytucje i organy Unii Europejskiej. Zwracając się do Senatu oraz mogąc liczyć na pełną współpracę jego marszałka oraz senackiej większości, międzynarodowe instytucje, organizacje oraz rządy państw zyskają nie tylko nową płaszczyznę nacisku na Polskę, lecz także bardzo wygodne uzasadnienie ingerencji w polskie sprawy. Konstytucyjny organ władzy będzie mógł ich „zapraszać" do rozstrzygania różnych sporów i spraw, przede wszystkim dotyczących kolejnych ustaw. Senat może się więc w krótkim czasie stać tym, czym w informatyce jest tzw. spyware (oprogramowanie szpiegujące), w dodatku formalnie wszystko będzie się działo lege artis. W efekcie, tak jak niektórzy sędziowie, w tym z Sądu Najwyższego oraz Naczelnego Sądu Administracyjnego, swoimi decyzjami czy pytaniami prawnymi doprowadzają do faktycznej anarchii w wymiarze sprawiedliwości, tak Senat działający jak państwo w państwie może doprowadzić do anarchii w odniesieniu do ustroju i funkcjonowania państwa.

> Mogąc liczyć na pełną współpracę marszałka Grodzkiego oraz senackiej większości, międzynarodowe instytucje oraz rządy państw zyskają nową płaszczyznę nacisku na Polskę, ale też uzasadnienie ingerencji w polskie sprawy

Można to oczywiście bagatelizować, powołując się na to, że Senat nie jest w stanie zablokować żadnej ustawy, ale jest w stanie z każdej zrobić międzynarodowy cyrk, skandal, zadymę, angażując w to Komisję Europejską, europarlament, Trybunał Sprawiedliwości UE, Komisję Wenecką, Radę Europy, a nawet różne agendy ONZ. Nie mając formalnych możliwości anarchizowania ustroju Polski, Senat może to faktycznie robić, w jakimś sensie paraliżując Sejm oraz utrudniając działanie władzy wykonawczej. I robiąc to wszystko, może korzystać z publicznych pieniędzy oraz sporej części aparatu państwa, wywołując w urzędnikach problem podwójnej lojalności.

NIEODROBIONA LEKCJA HISTORII

Marszałek Grodzki jest zbyt niedoświadczonym politykiem, żeby samemu wymyślić dla Senatu i realizować plan państwa w państwie. Ale skoro dla krajowej opozycji oraz dla wielu sił z zewnątrz jest to kluczowe miejsce, najważniejszy ośrodek formalnej władzy, może liczyć na wszystkie mózgi i siły antypisu z Polski i zagranicy. Tym bardziej że zyskają one przyczółek w konstytucyjnym organie polskiego państwa. Nie byłoby dziwne, gdyby w tej sytuacji tacy ludzie jak George Soros już zacierali ręce i przygotowywali programy „pomocy" polskiej demokracji (obok tych, które już funkcjonują poprzez organizacje pozarządowe). Na razie mamy tylko trochę operetkowe gesty, jak dekoracyjny akt powołania (z 17 grudnia 2019 r.) prof. Marka Chmaja na „przewodniczącego Zespołu Doradców do spraw kontroli konstytucyjności prawa przy Marszałku Senatu X Kaden-

41/1219/F

eprasa.pl fd463336a0

cji", ale to dopiero początek. Takie zespoły i doradcy mogą się mnożyć, a ich szefowie będą się stawali swego rodzaju ministrami gabinetu cieni w Senacie jako alternatywnym rządzie. Nawet jeśli to na razie wygląda groteskowo, skutki działania takiego ciała mogą być całkiem realne i realnie negatywnie wpływać na polską politykę zarówno w kraju, jak i za granicą. Dla opozycji i jej międzynarodowych opiekunów oraz sponsorów byłoby bardzo wygodnie, gdyby Senat szybko zaczął pełnić funkcję państwa w państwie, a nawet był alternatywnym państwem. Od opozycyjnych polityków, a szczególnie od marszałka Senatu, można by oczekiwać, że nie włączą się w żadne działania nie tylko tworzące alternatywny ośrodek władzy, lecz przede wszystkim mogące być platformą ingerowania w polskie sprawy, destabilizacji Polski oraz wystawiania państwa na ataki z zagranicy.

Walką o władzę da się wiele usprawiedliwić, ale granicą powinien być interes państwa. Tymczasem międzynarodowa ekspansja marszałka Grodzkiego oraz takie inicjatywy jak „debata" Parlamentarnego Zespołu Obrony Praworządności dowodzą, że liczy się tylko interes opozycji. Choć i to jest wątpliwe, bo senatorowie mogą posłużyć tylko jako wykonawcy decyzji i planów kogoś znacznie potężniejszego. Na krótką metę uczynienie z Senatu państwa w państwie może się opozycji opłacać, tyle że raz zdobyte przyczółki wpływów przez tych, którzy mogą to bezwzględnie wykorzystać, nie zostaną oddane i będą zmorą dla każdej władzy. W polityce nie ma bowiem sentymentów i wykorzystuje się każdą okazję, żeby zdobyć przewagę i ją umocnić. Marszałek Grodzki, zapatrzony we własną wielkość i swój geniusz, może nie zauważyć, kiedy polski Senat nie tylko jemu wymknie się z rąk, lecz faktycznie przestanie być organem polskiego państwa. Groteskowe początki tego projektu wcale nie przesądzają, że nie zrealizuje się najczarniejszy scenariusz. Tym bardziej że w przeszłości wielokrotnie już tak bywało, szczególnie w XVIII w.

> Marszałek Grodzki jest zbyt niedoświadczonym politykiem, żeby samemu wymyślić dla Senatu i realizować plan państwa w państwie. Może w tej sprawie liczyć na wszystkie mózgi i siły anty-PiS z Polski i zagranicy

REKLAMA



puls Newsweek Planet Prezentmarzeń Cinemaan.pl teletorium Militaria.pl onet

eprasa.pl fd463336a0

Totalne starcie



Polityczna stawka wyborów prezydenckich jest ogromna. Wynik rozstrzygnie o przyszłości Polski nawet na dekadę. Prawica może wygrać, ale tylko pod warunkiem, że w kampanii zbuduje ruch społeczny, który zrównoważy przewagę strukturalną obozu III RP. Trzeba z całą mocą przywołać ducha pierwszej Solidarności



MICHAŁ KARNOWSKI

Z dwóch kluczowych cech kampanii prezydenckich w Polsce jedna przemawia na rzecz reelekcji Andrzeja Dudy, druga niesie największe niebezpieczeństwo. Pierwsza to walory osobiste polityka, ważniejsze niż w jakichkolwiek innych wyborach. Wybierając w głosowaniu powszechnym głowę państwa, akceptujemy bądź odrzucamy bowiem kandydata w sposób dużo bardziej intymny niż w przypadku elekcji parlamentarnej, samorządowej, europejskiej. Mniej w tym akcie szyldu partyjnego, więcej spojrzenia w oczy człowieka. Relacja z kandydatem na prezydenta, a później prezydentem jest wyjątkowo bezpośrednia, mniej niż zwykle związana pętami wcześniejszych wyborów, partyjnych sympatii, nawet przekonań ideologicznych.

OSOBISTE ATUTY

To dlatego właśnie w wyborach prezydenckich najłatwiej wyskoczyć, zabłysnąć nowym postaciom, często w codziennej polityce uważanym za niepoważne albo obiektywnie niezdolne do zbudowania i utrzymania formacji politycznej. Z tego samego powodu Aleksander Kwaśniewski, mimo obiektywnych słabości jego prezydentury, umoczenia jej w całym postkomunistycznym bagnie, potrafił niestety pozyskiwać także część wyborców o konserwatywnych poglądach. Ale z takich samych przyczyn kosmicznie zarozumiały i odrealniony Bronisław Komorowski, mający wsparcie monopolistycznego wówczas systemu medialnego, przegrał z Andrzejem Dudą pięć lat temu. Wyborcy spojrzeli obu w oczy i dostrzegli coś, czego nawet wielką kampanią propagandową ówcześnie rządzący nie potrafili rozmyć. Oczywiście nie byłoby to zwycięstwo możliwe bez dobrej już wtedy kondycji całego obozu Jarosława Kaczyńskiego.

Dziś, na kilka miesięcy przed bojem o ponowny wybór, prezydent Andrzej Duda ten błysk, tę zdolność pozyskiwania ludzi, sprawiania, by człowieka lubili, nadal może uważać za swój wielki atut. Dowodzą tego także spotkania z wyborcami, w tym ostatnia seria styczniowych wizyt (Kumelsk, Kolno, Lututów, Drożki, Namysłów) – to jest ten sam klimat, co w roku 2015. Ten sam luz i zdolność dobrej, autentycznej reakcji na spotkane sytuacje. Takie, jak przybicie piątki z dziewczynką, która podchodzi do prezydenta. Co ważne, spotkania te są organizowane konsekwentnie, a na mapie Polski, którą Andrzej Duda ma w swoim gabinecie, z zaznaczonymi

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fd463336a0



Fot. Jakub Szymczuk/KPRP

odwiedzonymi (już w trakcie kadencji) powiatami, zostało bardzo niewiele miejsca, może kilka punktów. To będzie procentowało.

NIEZMARNOWANE LATA

Pracuje na rzecz Andrzeja Dudy także dorobek obozu Zjednoczonej Prawicy. Programy prorodzinne i społeczne, wypracowany przez premiera Mateusza Morawieckiego dobry stan finansów państwa, niewielkie bezrobocie, wzrost płac, reformy państwa, wzmocnienie armii – to są mocne i kluczowe karty prezydenta w dyskusji wyborczej. Jako współautor tego dorobku może swobodnie stawać do debaty o stanie Polski. Widać też, że gdyby prezydent posłuchał tych doradców, którzy podszeptywali mu radykalne zwiększanie i tak naturalnie istniejącego w przypadku prezydenta dystansu wobec macierzystej formacji, zostałby na lodzie. Środowiska opozycyjne, ich media, są tak bowiem zabetonowane w totalności, że żaden z licznych gestów Andrzeja Dudy (od wet sądowych przez otwartość na spotkania z każdym) nie został doceniony.

Koncepcja prezydentury apolitycznej to zresztą tak naprawdę pomysł na prezydenturę pustą, konserwującą system III RP, blokującą jakiekolwiek konsekwentne projekty reformatorskie. Nie da się przecież zmienić państwa bez poparcia prezydenta i nie ma szans, by zrobić to bez wystąpienia napięć. Zwłaszcza wtedy, kiedy podejmuje się starcie z uwłaszczonymi na państwie kastami, eliminuje mafie vatowskie, kończy z przemytem na gigantyczną skalę. Obóz Jarosława Kaczyńskiego presje związane z podjęciem wysiłku naprawy Polski wytrzymał, nie zawiódł także prezydent. Chociaż kilkakrotnie wystąpił zdecydowanie w roli korygującej kurs.

PLAN OPOZYCJI

W kampanii prezydenckiej opozycja będzie grała na zwiększenie i wyolbrzymienie wspomnianej presji, wynikającej z podjęcia reform. Plan jest prosty: opisać polską rzeczywistość w sposób skrajnie nieprawdziwy, zagonić wszystkich spoza twardego kręgu PiS do własnej zagrody, zaostrzyć język i przekształcić wybory w wielki, emocjonalny plebiscyt. Licząc, że dzięki narysowanemu tak grubą linią wspólnemu mianownikowi kandydat opozycji dostanie chociaż o ten jeden głos więcej. I to jest właśnie ta wspomniana przeze mnie na początku tekstu druga cecha wyborów prezydenckich, najbardziej ryzykowna dla Andrzeja Dudy.

Kalkulacje sztabowców obozu obrony III RP są tu proste i już realizowane: skoro na antypis padło w wyborach do parlamentu więcej głosów niż na prawicę, skoro ordynacja większościowa dała zwycięstwo (minimalne, ale jednak) opozycji w Senacie, to wystarczy powtórzyć ten zabieg. Stąd mnożenie kandydatów na prezydenta – stawka w pierwszej turze ma być tak silna, że Andrzej Duda nie ma szans na wygraną, a w drugiej turze kandydat opozycji zbiera poparcie wszystkich poza Dudą i wygrywa wybory. Po to właśnie Lewica pcha się z kandydaturą zużytego już politycznie Roberta Biedronia, dlatego znalazły się duże pieniądze na kandydaturę Szymona Hołowni. Nie chodzi o to, by wygrać, celem jest zbudowanie zasobów, które następnie przerzuci się na ostatecznego kandydata opozycji – zapewne Małgorzatę Kidawę-Błońską.

SPOKOJNIE SIĘ NIE DA

Warto o tym scenariuszu pamiętać, gdy słyszy się podszepty na prawicy, by i tę kampanię poprowadzić, unikając frontalnego starcia, zabiegając o poparcie poszczególnych środowisk opozycyjnych. Niestety, jest to niemożliwe. Media komercyjne czujnie pilnują, żeby nikt nie wychylił się o krok, a jeśli ktoś próbuje, natychmiast jest przywoływany do porządku. Przede wszystkim jednak marzenia sztabowców prawicy o kampanii opartej na merytorycznej debacie nie spełnią się nigdy, bo druga

eprasa.pl fd463336a0

strona zawsze będzie miała możliwość wywołania ostrego sporu emocjonalnego i zawsze z niej skorzysta. Im bardziej jest słaba na polach programowym i jakości rządów poszczególnych ekip, tym chętniej to uczyni.

Ciekawego porównania dostarczają tu dwie ostatnie kampanie. Zarówno wybory do Parlamentu Europejskiego (maj 2019 r.), jak i do Sejmu i Senatu (październik 2019 r.) były planowane przez prawicę jako możliwie wychłodzone, odarte ze sporu ideowego. W pierwszym przypadku wściekła ofensywa antykościelna została odrzucona serią przemówień prezesa Jarosława Kaczyńskiego, zdecydowano się na obronę wartości i w finale otrzymaliśmy wybuchowe zderzenie na polu stosunku do wiary, Kościoła, polskości i ogromny triumf Zjednoczonej Prawicy. W drugim tego nie zrobiono, różnice nie były nazywane tak jednoznacznie i wynik, choć wciąż dobry, był poniżej oczekiwań.

GDZIE JEST WIĘKSZOŚĆ

Analizom opozycji mówiącym o przewadze antypisu w głosowaniu powszechnym warto przedstawić inne wyliczenia. Jest bowiem prawdą, że patrząc przez pryzmat szyldów partyjnych, 13 października na przeciwników Zjednoczonej Prawicy padło 10 mln 215 tys. głosów, a na PiS 8 mln 51 tys. Jeśli jednak spojrzymy na to przez pryzmat podziału ideowego i podsumujemy wyniki formacji przynajmniej hasłowo głoszących szacunek dla wartości chrześcijańskich, tradycji, wiary, czyli dodamy wyniki PiS, PSL i Konfederacji, to otrzymamy 10 mln 900 tys. głosów. Uważam, że to jest właśnie – w ustawieniu podziału wedle stosunku do najważniejszych wartości – klucz do reelekcji prezydenta Dudy. Sporu ideowego nie należy zatem się bać, ale zdecydowanie, choć bez szaleństwa, uczynić go dominującą, obok stanu państwa, osią kampanii. Nie jest to zresztą żadne odkrycie: w wyborach większościowych zawsze szuka się takich mianowników, które dają wynik powyżej 50 proc. A głosujących Polaków szanujących tradycję i Kościół, chcących silnej Polski, nielubiących korupcji, zadowolonych z ostatniego pięciolecia jest więcej. Powtarzam: jeśli prawica zaniecha wykreślenia osi sporu, zrobi to opozycja, oczywiście po swojemu.

WYNIK BĘDZIE O WŁOS

Nikt nie może mieć też złudzeń, że opozycja zaniecha mobilizacji społecznej. Wszystkie zasoby zostaną rzucone przeciw Andrzejowi Dudzie, i to niezależnie od tego, jak słaby kandydat wyłoni się z opozycyjnego chaosu. Sondaże pokazują, że bez względu na to, kto stanie przeciw urzędującemu prezydentowi w II turze, wynik rozstrzygnie się o włos. Dla aktywu i wyborców opozycji, czujących się upokorzonymi rządami Zjednoczonej Prawicy, każdy prezydent będzie lepszy od obecnego. Każdy też niesie kluczową dla opozycji obietnicę: zemstę na pisowcach za to, że śmieli odebrać władzę ludziom czującym się właścicielami Polski od 1944 r. i – co więcej – że rządzą zaskakująco sprawnie. Dlatego już dziś trzeba ruszać z organizowaniem ruchu społecznego, który zrównoważy przewagi strukturalne, medialne, biznesowe i zagraniczne obozu opozycyjnego. Ruchu, który dotrze do każdego, który ominie media, który wyrwie z domu uśpionych wyborców.

> Kalkulacje sztabowców obozu obrony III RP są proste i już realizowane: mnożenie kandydatów na prezydenta. Nie chodzi o to, by wygrać, celem jest zbudowanie zasobów, które następnie przerzuci się na ostatecznego kandydata opozycji – zapewne Kidawę-Błońską

W tym sensie, z tego punktu widzenia, o kampanii trzeba myśleć tak, jakby się było w opozycji. Poza pluralistyczną telewizją publiczną największe ośrodki medialne, miliardowe potęgi, zagrają we wspólnej antydudowej orkiestrze. Dlatego potrzebne jest odwołanie się do innych środków. To kierownictwo Zjednoczonej Prawicy musi znaleźć formułę takiego ruchu i powinno użyć do jego wsparcia wszystkich zasobów. Warto się tu odwołać do ducha pierwszej Solidarności, bo pamięć o tamtym zrywie, kody kulturowe zawarte w jego przesłaniu wciąż są najsilniejszym spoiwem środowisk propolskich i proreformatorskich. Jeśli zadanie to nie zostanie podjęte, to pomimo ogromnego poparcia dla rządów prawicy tego jednego głosu w kluczowym dniu wyborów prezydenckich może zabraknąć.

NA CZELE ZMIAN

Ofensywa powinna też zawierać silne elementy programowe. Trzeba przestać się oglądać za siebie, na nowo odczytać najważniejsze potrzeby społeczne (ochrona zdrowia wydaje się tu na pierwszym planie, obok reformy sądownictwa) i stanąć na czele zmiany. Tak, tak – nawet urzędujący obóz musi iść z ofertą zmiany. Inaczej powstaje wrażenie martwoty i pychy władzy, czyli mamy przypadek Bronisława Komorowskiego.

W takim rozdaniu uważam, że jest nawet pewna szansa na wygraną Andrzeja Dudy w pierwszej turze. Ale to się tylko może zdarzyć. Trzeba zakładać drugą turę i trzeba walczyć o większość, która jest, istnieje, musi zostać jednak zmobilizowana. Tych wyborów nie da się przejść spokojnie, będą one zwarciem totalnym, bo naprzeciwko stoi wciąż totalna opozycja. Stawką jest przyszłość Polski nawet na dekadę. Z jednej strony kontynuacja dobrego czasu dla Polski, z drugiej – cofnięcie do epoki balcerowiczowskiego darwinizmu i fala represji dławiąca wolność słowa, wprowadzająca reedukację Polaków w stylu współczesnej skrajnej lewicy.

eprasa.pl fd463336a0



Fot. Andrzej Wiktor

Scheda po Schetynie

Najpierw uchylenie się Tuska od walki o prezydenturę, teraz rezygnacja Schetyny ze zmagań o dalsze przywództwo partyjne. Wygląda na to, że obaj protagoniści PO są zmęczeni i za żadną cenę nie chcą już podejmować ryzyka porażki wyborczej



JAN ROKITA

Ani Tusk – gdyby rzucił wyzwanie prezydentowi Dudzie, ani Schetyna – gdyby nie przestraszył się licznych i agresywnych wrogów wewnątrz partii, nie byli bez szans na sukces. Chodzi tylko o to, że w punkcie startu, gdy trzeba było podejmować decyzje, ich szanse były trochę mniejsze niźli ich przeciwników. Ale ani jednemu, ani drugiemu nie chce się już po prostu walczyć. Dzisiejsza polska polityka, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, wymaga zaś żarliwości, wigoru i samozaparcia, jeśli chce się w niej wygrywać. Unik Tuska i dymisja Schetyny to dwie decyzje, które choć podjęte w całkiem różnych okolicznościach, są w jakiejś mierze do siebie podobne. I obie łącznie otwierają teraz Platformę na zaciętą frakcyjną i personalną rywalizację wewnętrzną. Bodaj po raz pierwszy w swych dziejach partia z konieczności musi się stać strukturą demokratyczną, czyli taką, w której walka o władzę jest otwarta, a nie skrywana w mało czytelnych intrygach personalnych, do perfekcji doprowadzonych za przywództwa Tuska. Paradoksalnie ta niespodziewana demokratyzacja PO może się okazać znakiem słabości organizmu, tak bardzo nawykłego przecież do panujących w nim dotąd stosunków wodzowskich.

Schetyna odchodzi w atmosferze dla siebie jak najgorszej. Postponowany

eprasa.pl fd463336a0

przez członków własnej partii, niedarujących mu tego, iż przez cztery lata zarządzał nią wedle dyskrecjonalnego modelu stworzonego niegdyś przez Tuska. Sławetne „piąte piętro" w siedzibie PO, na którym roznosić się miał dym z cygar, stało się groteskowym, acz obecnym niemal w każdym antyschetynowym tekście, symbolem owego modelu władzy, który przez lata rządów Tuska działał bezproblemowo, jednak naśladowany przez Schetynę zaciął się i zaczął budzić złość i zazdrość partyjnych baronów. Można jednak wątpić, czy Schetyna był w ogóle w stanie zbudować jakiś inny model przywództwa. Raz dlatego, że w partii od jej powstania nie mógł widzieć ani nauczyć się czegokolwiek innego. Dwa, bo gdy przejmował PO w 2016 r., czynił to wbrew woli Tuska, a w konsekwencji od pierwszej chwili otoczony był siecią wrogich intryg i planowanych politycznych zamachów. „Piąte piętro" z Tyszkiewiczem, Witczakiem i Borysem to była jego forteca, w której nie tylko mógł się czuć bezpiecznie, lecz gdzie mógł planować także własne kroki odwetowe wobec snutych wokół niego intryg i spisków. W takich warunkach trudno było w istocie żądać od Schetyny jakiegoś innego, bardziej otwartego stylu sprawowania władzy w partii.

Na dodatek niemal przez cały czas swego szefowania PO Schetyna miał przeciw sobie główne opozycyjne media, roznamiętnionych politycznie intelektualistów oraz kluczowych opozycyjnych „mediantów" (by użyć terminu prof. Rutkowskiego), czyli aktorki, literatów, gwiazdki telewizyjne etc. Z tej strony jedyną chwilę względnego oddechu dostał na krótko przed ubiegłorocznymi wyborami, gdy antypisowscy „medianci" doszli do wniosku, iż atakując nadmiernie lidera opozycji, wysługiwaliby się w istocie obozowi władzy. „Gazeta Wyborcza" pisała, iż „nie jest w stanie pojąć, jak partia, która ma w swoim gronie ludzi myślących i troszczących się o demokrację, może pozwolić sobie na tolerowanie takiego przywódcy". Niemal natychmiast po objęciu przezeń władzy w PO intelektualiści i eksperci w TVN ogłosili Schetynę „liderem technicznym", co miało sugerować, że już za moment będzie on musiał oddać władzę przywódcy „prawdziwemu", który wyłoni się z wielkiego, mającego być kopią dawnej Solidarności, antypisowskiego „ruchu obywatelskiego". Z dzisiejszej perspektywy warto więc pamiętać, że Schetynie przyszło kierować partią w czasie, gdy przygniatająca większość związanych z opozycją liderów opinii (z byłym przewodniczącym Tuskiem włącznie) postawiła na faktyczną likwidację Platformy, która miała się organizacyjnie rozpuścić w jakimś lewicowym ruchu społecznym, sterowanym przez media i celebrytów. „Wrak PO musi pójść na żyletki" – pisała swego „Gazeta Wyborcza". Kompromitacja przywództwa Schetyny była w tym ruchu swoistym zbiorowym zapotrzebowaniem.

> W dzisiejszej sytuacji nie ma większego znaczenia, kto na przełomie stycznia i lutego przejmie schedę po Schetynie. A ściślej mówiąc: nie ma to znaczenia dla pozycji i dalszych losów Platformy, choć zapewne może być kwestią politycznego życia i śmierci dla całego szeregu partyjnych baronów i aktywistów

Schetyna postawił się temu trendowi i wygrał. Z perspektywy partyjnego interesu PO zasługa Schetyny jest zaiste trudna do przecenienia. Można z dużą dozą prawdopodobieństwa stawiać dziś hipotezę, że gdyby nie Schetyna, Platforma jako suwerenny byt polityczny dzisiaj już by nie istniała. Schetyna jest bowiem partyjniakiem z krwi i kości, nawykłym nawet do „brudnej politycznej roboty", jeśli jej celem ma być wzmocnienie albo ratowanie partii. Tego rodzaju mentalność bywa często w polityce państwowej szkodliwa, gdyż „dla dobra partii" jest w stanie usprawiedliwiać polityczny cynizm i najbardziej karkołomne wolty ideowe. Kiedy więc trzeba było obronić suwerenność PO przed naporem lewicowego KOD, „czarnych parasolek" czy „Wyborczej" – Schetyna występował jako „chadek" i „konserwatysta", i to na łamach ostro prawicowych mediów. A kiedy ten wróg został już jako tako zneutralizowany, wyrzucał z partii antyaborcyjnych „klerykałów", licząc na szersze rozpostarcie w ten sposób lewego skrzydła potrzebnego PO przed wyborami. To właśnie ta partyjniacka natura Schetyny kazała mu wieść bezpardonową batalię w celu rozbicia KOD i Nowoczesnej, po to, by resztki po tych groźnych dla PO bytach następnie zasymilować i poddać władztwu partyjnemu. Dziś w Platformie niewielu chce pamiętać, że gdy Schetyna obejmował władzę w partii, to KOD panował na ulicach, a Ryszard Petru kazał się tytułować mianem „lidera opozycji".

Dramat Schetyny polega na tym, że ceną za jego strategię ratowania suwerenności partii musiała się stać rola kozła ofiarnego po porażce wyborczej 2019 r. Najprawdopodobniej z rozpędzonym PiS przegrałby w ubiegłym roku każdy, nawet najszerzej skonstruowany blok centrolewicowy. Ale paradoksalnie i pechowo dla Schetyny okazało się, że jednolity blok senacki zyskał w wyniku wyborów jednomandatową przewagę, co natychmiast stało się koronnym argumentem dla antyschetynowców powtarzających: „A nie mówiliśmy, że jednością można zwyciężyć?" Niemal z dnia na dzień nagonka na Schetynę rozpętała się od nowa i jak grzyby po deszczu zaczęli się pokazywać kandydaci do wzięcia po nim schedy. W nawykłej dotąd do wodzostwa partii nagle zaczęło jednocześnie „rozkwitać sto kwiatów", i to całkiem jawnie, na oczach nieco zdumionej, bo nieprzywykłej do tego publiczności. Ów nagły rozkwit

9/0120/F

eprasa.pl fd463336a0

demokracji partyjnej stał się jednak pretekstem do kolejnych oskarżeń wobec Schetyny, iż trzymając się władzy, paraliżuje platformerską kampanię prezydencką, która miast ruszyć z kopyta, pogrąża się w wewnętrznej rywalizacji o przywództwo. Schetyna najpierw próbował zyskać trochę czasu, tak by negatywnym namiętnościom, naturalnym po wyborczej porażce, dać nieco ostygnąć do czasu wyborów kierownictwa partyjnego, a przy okazji choć trochę odsunąć w czasie start partyjnej kampanii przed wyborami prezydenckimi. Obu tym celom miały posłużyć prawybory kandydata do prezydentury. Ale wygrana Kidawy-Błońskiej jeszcze bardziej osłabiła Schetynę, gdyż kandydatka nieoczekiwanie publicznie opowiedziała się za odejściem szefa partii.

W dzisiejszej sytuacji nie ma większego znaczenia, kto na przełomie stycznia i lutego przejmie schedę po Schetynie. A ściślej mówiąc: nie ma to znaczenia dla pozycji i dalszych losów PO, choć zapewne może być kwestią politycznego życia i śmierci dla całego szeregu partyjnych baronów i aktywistów. Budka, szukający pomocy Tuska, ma nieco słabsze predyspozycje do dalszej obrony egzystencji i suwerenności PO, niźli sprzymierzony ze Schetyną Siemoniak, choćby z racji tego, iż ten ostatni jest typowym „dzieckiem partii", które nigdy nie poznało innego życia, jak żywot partyjnego aparatczyka. Podobnie jak dla Schetyny partia jest więc dla Siemoniaka nie tylko politycznym, lecz i egzystencjalnym punktem odniesienia; można zatem przypuszczać, że skłonny jest bronić jej przed zlaniem się czy rozpłynięciem bardziej niźli Budka. Ale prawdę mówiąc, obaj główni kandydaci (spośród sześciu stających w szranki) to figury przeciętne, które raczej będą miotane dalszym biegiem politycznych zdarzeń, niźli będą twardo wcielać jakąś partyjną strategię, jak czynił to Schetyna. Nawiasem mówiąc, Siemoniak jest świadom owego niebezpieczeństwa „zewnątrzsterowności" PO, co pokazuje jego świeży wywiad, w którym przyznaje, iż zmiana partyjnego przywództwa jest wymuszona przez „oczekiwania zewnętrzne" wobec partii.

Obojętne, kto wygra obecną rywalizację, i tak jest skazany na fatalny początek swoich rządów, jakim będzie prawdopodobna prezydencka porażka Kidawy-Błońskiej. A następnie na wyczekiwanie jakiegoś cięższego kryzysu w obozie rządzącym, bez którego PO nie będzie mieć szans na przejęcie inicjatywy politycznej w kraju. Jeśli taki kryzys PiS nie będzie następować, a czas oczekiwania nań będzie się wydłużać, zarówno Budka, jak i Siemoniak będą musieli się skonfrontować z nawrotem znanej argumentacji o zbędności PO, wedle której (jak pisała „Wyborcza") „wrak PO musi pójść na żyletki" po to, by dać miejsce jakiemuś nowemu centrolewowi, zdolnemu do pokonania PiS. Dla każdego przyszłego szefa Platformy wtedy właśnie nadejdzie godzina próby.

REKLAMA



KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

kasastefczyka.pl
801 600 100 (koszt wg taryfy operatora)

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł.

Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Konto oznacza rachunek płatniczy. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

eprasa.pl fd463336a0

Jak przekonać, że Piłsudski nie różnił się od Mussoliniego

Opowieść o historii staje się dziś jednym z narzędzi uprawiania polityki i osiągania zamierzonych celów politycznych. Stąd nagłe zainteresowanie prezydenta Putina rozważaniami historycznymi, do czego wcześniej nie przejawiał skłonności



MAREK BUDZISZ

Rosyjskojęzyczne wydanie serwisu Euronews przeprowadziło wśród swych czytelników ankietę. Zadano pytanie: czy ich zdaniem pakt Ribbentrop–Mołotow był sojuszem Hitlera i Stalina, czy też „wymuszonym krokiem". 64,6 proc. biorących udział w głosowaniu uznało, że należy mówić o sojuszu Hitlera i Stalina. W podobnej ankiecie (przeprowadził ją również ten portal), w której zadano pytanie, czy w historycznym sporze o zmowę ZSRR z Hitlerem i genezę II wojny światowej rację ma Polska czy Rosja, 58 proc. z ponad 20 tys. odpowiadających uznało, że racja stoi po stronie władz Polski.

Radio Svoboda, zaraz po tym jak Władimir Putin zaczął ogłaszać swoje historyczne rewelacje na temat „polskiego antysemityzmu", opisało reakcję rosyjskiego internetu. Była ona, delikatnie całą sprawę ujmując, prześmiewcza – zarówno jeśli idzie o historyczne kompetencje rosyjskiego prezydenta, jak i treść obwieszczanych przez niego „odkryć". Jeden z internautów napisał ironicznie: „Polska rozpoczęła II wojnę światową, rozdzielając się na dwie części – dla Niemiec i dla braci Słowian". Inny trzeźwo zauważył, że to, co mówi dziś Putin, wcześniej głosili Stalin i Hitler.

CZEMU SŁUŻY NARRACJA KREMLA

Te reakcje Rosjan, w niemałej części uodpornionych już na hurapatriotyczną propagandę putinowskiego reżimu, świadczą, że lansowana od miesiąca przez Kreml nowa wersja najnowszej historii ma w samej Rosji umiarkowaną siłę perswazji. Do podobnych wniosków dochodzą historycy zaproszeni przez redakcję opiniotwórczego rosyjskiego periodyku „Rossija v globalnej politykie", którzy zastanawiają się, jak poprawić rosyjską opowieść o historii II wojny światowej, tak by stała się bardziej przekonująca. Chodzi oczywiście o siłę perswazji rosyjskich argumentów na europejskim, a nawet światowym rynku idei, o możliwość poprawy wizerunku Federacji Rosyjskiej, pokazania, że historyczne przesłanie Władimira Putina jest nie tylko słuszne, lecz również aktualne i – w obecnej sytuacji politycznej – ważne. Bo przecież nikt nie ma złudzeń – nie mają ich też zaproszeni do dyskusji intelektualiści – że enuncjacje Putina nie są świadectwem jego historycznej pasji, ale służą uprawianej obecnie polityce i mają pomóc Moskwie osiągnąć dziś określone cele.

Z naszej perspektywy to, co mówią zgromadzeni w tej debacie historycy, może być o tyle istotne, że daje obraz, jak może zmieniać się w najbliższym czasie narracja Kremla, jakie wątki mogą się w niej pojawić, na co jeszcze powinniśmy się przygotować i gdzie sami Rosjanie upatrują jej słabości. Oczywiście jeśli putinowscy propagandyści przyjmą propozycje zaproszonych do debaty naukowców i dość toporną wersję najnowszej historii Europy, zastąpią niezmienioną co do treści, ale mądrzejszą jej odmianą.

Periodyk, który zorganizował dyskusję rosyjskich historyków, jest wydawany przez wpływowe środowisko Klubu Wałdajskiego, powołanego przed laty przez Putina think tanku, który dziś jest jednym z najważniejszych w Rosji intelektualnych ośrodków kształtujących linię polityki zagranicznej Moskwy. Można zatem przypuszczać, że to, co mówią historycy zaproszeni przez redakcję, jest powtarzane w kremlowskich gabinetach, kiedy uczestnicy dyskusji proszeni są o opinię, w jaki sposób można poprawić putinowską narrację.

Uczestniczący w debacie Aleksiej Miller, profesor Europejskiego Uniwersytetu w Petersburgu, jeden z pionierów rosyjskich studiów nad polityką imperialną Rosji carów, jest zdania, że w Europie właśnie odbywa się zmiana dyskursu na temat II wojny światowej, a co za tym idzie, zmiana polityki pamięci. W jego opinii dominujący dotychczas model opowieści, który sprowadzał się do upamiętniania Holokaustu, ustępuje, głównie za sprawą zyskującej coraz większe znaczenie na kontynencie, również polityczne, Europie Wschodniej, dyskursowi, w którym główną rolę zaczyna odgrywać podkreślanie traumy związanej z działaniem dwóch totalitaryzmów: hitlerowskiego i sowieckiego. Druga fundamentalna zmiana, z którą Rosja musi się liczyć, to przekształcenie polityki pamięci

eprasa.pl fd463336a0

w kolejny obszar sporu, w którym realizowane są bieżące cele polityczne.

To spostrzeżenie jest w istocie kluczowe dla zrozumienia istoty rosyjskiej ofensywy narracyjnej i nagłego zainteresowania Putina rozważaniami historycznymi, do czego wcześniej nie przejawiał skłonności. Opowieść o historii staje się dziś jednym z narzędzi uprawiania polityki i osiągania zarysowanych celów politycznych czy wręcz geostrategicznych. Jest nim osłabienie emancypującej się politycznie Europy Środkowej, odebranie jej przedstawicielom moralnego tytułu do występowania w imieniu ofiar totalitarnych reżimów, zohydzenie i zdyskredytowanie w oczach „starej" Europy, bo to prowadzi do osłabienia wewnątrzeuropejskiej solidarności opartej na sympatii i przekonaniu o podzielaniu wspólnych wartości.

Miller świadomie odwołuje się do tzw. teorii podwójnego Holokaustu popularnej w części środowisk naukowych Izraela. Jej zwolennicy uznają pogląd Davida Katza, jednego z autorów tej teorii, w myśl którego podkreślanie przez narody Europy Środkowej okropieństw komunizmu prowadzi nie tylko do umniejszania znaczenia Holokaustu, ale jest wręcz ukrytą formą antysemityzmu, jako że wielu Żydów było funkcjonariuszami partii komunistycznej i aparatu bezpieczeństwa. Zdaniem rosyjskiego naukowca ci, którzy mówią o wyjątkowości Holokaustu, to pierwsza grupa potencjalnych zwolenników narracji Moskwy w rozpoczynającej się „bitwie o historię".

Inny z uczestników tej debaty, profesor Uniwersytetu Moskiewskiego Jegor Gajdar, mówi wprost, że tym, co może połączyć europejskich biurokratów i rosyjskich politycznych technologów, jest niechęć do Polski, zarówno tej współczesnej sprawiającej problem swoją nadmiernie suwerenną polityką w kwestii dyslokacji migrantów, polityki klimatycznej czy podkreślaniem wagi rosyjskiego zagrożenia, jak i historycznej mało sympatycznej, bo konserwatywnej i katolickiej, co z kolei może razić europejskie środowiska lewicowe i liberalne.

Dyskusja, o której piszę, jest ciekawa przede wszystkim z tego powodu, że jej uczestnicy formułują rady pod adresem Kremla. Ich istotą jest takie przeformułowanie moskiewskiego przekazu, aby walka z Polską – bo to jest i będzie jej głównym celem – była skuteczniejsza. Co zatem proponują rosyjscy historycy?

JAK OSŁABIĆ POLSKĘ

Przede wszystkim Rosja, ich zdaniem, powinna zakwestionować pogląd, że II wojna światowa rozpoczęła się w Europie 1 września 1939 r. Jej początek w tej wersji to konflikt w Azji, między Chinami a Japonią, który wybuchł dwa lata wcześniej, a pakt Ribbentrop–Mołotow został zawarty nie po to, by podzielić się łupami w Europie Środkowej, ale po to, by ZSRR mógł zacząć wojnę z Japonią. W tym sensie Stalin, o którym Moskwa powinna mówić wyłącznie jako o partnerze Churchilla i Roosevelta w Wielkiej Koalicji, wyprzedził jej powstanie.

Państwa w Europie Środkowej, małe dyktatury w istocie, nie były w niczym lepsze niż Niemcy hitlerowskie. Czym Piłsudski różnił się od Mussoliniego? Taką linię argumentacji proponuje jeden z uczestników debaty.

Wypowiadający się w dyskusji profesorowie najbardziej renomowanych rosyjskich uniwersytetów proponują nie bronić Stalina i jego polityki. Tej debaty nie możemy wygrać, mówią zgodnym tonem. Moskwa raczej winna podkreślać wyrzeczenia zwykłych Rosjan, ich cierpienie, ofiarność i śmierć.



Tego rodzaju przekaz będzie znacznie chętniej akceptowany w Europie i trudniejszy do zakwestionowania.

W miejsce planowanego w Berlinie pomnika upamiętniającego polskie ofiary III Rzeszy należy zaproponować pomnik ofiar wszystkich ludów Wschodu, pozbawiając w ten sposób Polskę nie tylko własnego upamiętnienia, lecz również możliwości podkreślania szczególnego rozmiaru cierpień obywateli II Rzeczypospolitej w czasie II wojny. Przy okazji uda się też przemycić przekaz o niewdzięczności Polaków. Najpierw wobec ZSRR, który wyzwolił ich kraj, a obecnie wobec Europy, z którą Warszawa nie chciała się solidaryzować w kwestii emigrantów.

Ten mało sympatyczny obraz Polaków, egoistycznych samolubów uważających się za lepszych, a przy tym hipokrytów, bo niestosujących w codziennym życiu dekalogu swojego Kościoła, obecny jest już w rosyjskiej propagandzie. Rosja nie może, argumentują, popełnić grzechu dążenia do monopolu pamięci. W tym sensie kluczowe dla siły jej przekazu powinno być po pierwsze, podkreślanie ofiar wszystkich narodów ZSRR, po wtóre, wsparcie jej polityki przez obecnych przywódców państw wywodzących się ze Związku Sowieckiego. To dlatego Putin poruszył te kwestie w czasie petersburskiego spotkania liderów Wspólnoty Niezależnych Państw i dlatego Moskwa z niepokojem przyjmuje niedawne wypowiedzi prezydenta Łukaszenki, który mówił, że dla Białorusinów tzw. wielka wojna ojczyźniana to nie była „nasza" wojna.

Dmitrij Jefremienko z Rosyjskiej Akademii Nauk proponuje, aby Rosja w swej narracji na temat genezy, przebiegu i skutków II wojny światowej odwołała się do nadal silnych w państwach południa Europy sentymentów komunistycznych i próbowała odbudować narrację z czasów Frontu Ludowego, o wspólnej walce „sił postępu" z europejskim faszyzmem o różnych znakach, walce toczonej na wielu frontach, od Guerniki do Stalingradu.

Aleksandr Łomanow z Instytutu im. Primakowa Rosyjskiej Akademii Nauk oczekuje wzmocnienia siły rosyjskiego przekazu na temat zbawczej dla świata roli sowieckiego oręża przez włączenie Pekinu do wspólnej na ten temat opowieści. To kolejny, po Izraelu, środowiskach żydowskich, europejskiej lewicy i brukselskiej biurokracji, potencjalny sojusznik. Tym łatwiejszy, że niemający odpowiednio silnego adwersarza, bo Japonia niewiele może na obronę swojej polityki powiedzieć, a na dodatek w sposób podobny do rosyjskiego, czyli administracyjnie, sterujący swą historyczną narracją. Mamy w tym wypadku do czynienia z propozycją zbudowania sojuszu wielu sił wspólnie opowiadających określoną (korzystną dla nich) historię II wojny światowej. Ta uwspólniona narracja siłą rzeczy będzie się opierała na uznaniu częściowych racji jej uczestników. Siła i wielowątkowość tego przekazu mają po pierwsze, zagłuszyć to, co mówią przedstawiciele narodów środkowej Europy, a po drugie, prowadzić do zbudowania prostej dychotomii obozu postępu, który zwyciężył w II wojnie światowej i doprowadził do powstania ONZ oraz obozu przegranych, odpowiedzialnych za wojenną hekatombę. Nie ma wątpliwości, do którego z nich byłaby przypisana Polska.

> W Europie następuje właśnie zmiana opowieści dotyczącej II wojny światowej. Tematyka Holokaustu ustępuje miejsca podkreślaniu traumy związanej z działaniem dwóch totalitaryzmów: hitlerowskiego i sowieckiego. To efekt rosnącego znaczenia państw Europy Środkowej. Taka zmiana bardzo nie odpowiada Rosji

STALINIZM NIE DO OBRONY

A jak sobie poradzić z dziedzictwem stalinizmu, zastanawiają się właściwie wszyscy uczestniczący w debacie rosyjscy historycy? Przy czym nie chodzi o rozliczenie zbrodni reżimu, ale zgodny pogląd, że w gruncie rzeczy stalinizm jest w Europie nie do obrony, a narracja zbudowana na wychwalaniu Józefa Wissarionowicza z góry skazana na przegraną. Mówmy, argumentuje Aleksander Filipow z Wyższej Szkoły Gospodarki, że stalinizm to był eksces, złośliwy nowotwór światowego odchylenia lewicy i humanizmu, do którego zaliczała się Rosja Sowiecka i do którego dziś także aspiruje Moskwa.

Propozycja ta, której towarzyszą zgodne apele o większą elastyczność i mniejszą monumentalność narracji, jest w gruncie rzeczy wezwaniem części rosyjskich intelektualistów utożsamiających się z władzą do porzucenia jednostronnego przekazu na temat charakteru putinizmu. Już nie wyłącznie ostoi europejskich sił konserwatywnych, lecz również systemu odwołującego się do „światłego" dziedzictwa europejskiej lewicy. Jest też apelem o większy profesjonalizm rosyjskiej opowieści o historii, nadaniu jej twarzy zwykłego Rosjanina zmagającego się z Hitlerem, ale też cierpiącego w wyniku stalinowskich represji. Wreszcie jest wezwaniem do budowy szerokiego frontu, łączącego najróżniejsze środowiska, w tym i społeczne, rosyjskie i zachodnioeuropejskie, często nieutożsamiane z władzami, a może nawet wręcz opozycyjne.

* * *

Innymi słowy, różni nadawcy, różne komunikaty historyczne, ale wspólne przesłanie podkreślające rolę ZSRR i Rosji w zdławieniu europejskiego antysemityzmu. A wszystko po to, by przekonać świat, że Polska chciała zguby swych żydowskich obywateli, a Rosja ich ratunku. I nawet jeśli komunizm był ekscesem i złem, to kraje takie jak Polska na nic lepszego nie zasługiwały, a w gruncie rzeczy na podległości wobec rosyjskiego hegemona zyskiwały. O czym być może warto pomyśleć w przyszłości.

eprasa.pl fd463336a0

Kłamstwa Putina nie mają podatnego gruntu

W tak długotrwałych procesach jak pamięć zbiorowa nie należy oczekiwać szybkich zysków czy przemian – mówi ***dr Paweł Ukielski***, przewodniczący komisji rewizyjnej Platformy Europejskiej Pamięci i Sumienia, wicedyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Po co Putin to robi? Po co oskarża Polskę o udział w wywołaniu II wojny światowej?

Paweł Ukielski: Przekaz Putina jest nastawiony głównie na odbiorcę wewnętrznego w Rosji, a nie w Europie.

W dobie globalnej wioski trudno, by jego manipulacje pozostały tylko w Rosji. Rezonują, są powielane, wołają o reakcję.

Może to zabrzmieć paradoksalnie, ale uważam, że ostatnie działania rosyjskie: agresywne i brutalne w sferze pamięci, mimo wielkiej machiny propagandowej są kontrproduktywne i nie mają żyznej gleby także na zachodzie Europy. Słowa Putina powodują, że temat staje się nośny, wypowiadają się kolejni politycy, historycy, intelektualiści i do szerszych rzesz społeczeństw na Zachodzie dociera prawdziwy obraz przyczyn wybuchu II wojny światowej. Skoro Putin swoimi wypowiedziami zdenerwował nawet bardzo prorosyjskiego prezydenta Czech – Miloša Zemana...



To może my w Polsce jesteśmy przewrażliwieni na głos Putina?

Na pewno należy reagować spokojnie i bez nerwów, ale konsekwentnie – i to nie tylko wtedy, gdy padną jakieś skandaliczne słowa. Nic nie jest tu dane raz na zawsze – jak z wolnością. Pytanie kluczowe dotyczy narzędzi: jak reagować, by było to najbardziej skuteczne? Co robić, także według własnej agendy, na co dzień? Jak budować te narracje, by nasz przekaz przebijał się jak najmocniej?

Zaraz dopytam o tę codzienność, ale zostańmy na przełomie roku 2019 i 2020. Mamy takie, a nie inne wypowiedzi Putina. Reagować? Machnąć ręką? Wściekać się?

Należy pamiętać, że tego typu wypowiedzi – zwłaszcza tak mocne jak Putina – mają swój cel. Trzeba się nad tym zastanowić, rozważyć możliwe scenariusze i podjąć adekwatne działania. Akurat w przypadku ostatnich słów polska reakcja była dobra: mocne oświadczenie MSZ, a później premiera Morawieckiego, ale bez krzyku. Pracuję od lat w zakresie polityki historycznej z partnerami z innych państw Europy i mogę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że nie chodzi o to, kto teraz głośniej krzyknie o manipulacjach i kłamstwach rosyjskiego prezydenta.

To co robić?

I tu wracamy do codzienności i pracy organicznej. Jestem zwolennikiem spokojnego i nienerwowego budowania pozycji, poprzez wciąganie do tego innych koalicjantów z całej Europy, stąd zresztą pomysł na Platformę Europejskiej

eprasa.pl fd463336a0

Pamięci i Sumienia, której członkiem-założycielem jest Muzeum Powstania Warszawskiego. To instytucja ważna z polskiego punktu widzenia – wzmacnia to, co chcemy powiedzieć w zakresie historii, a jednocześnie nie jest to tylko polski głos. W skład Platformy wchodzi ponad 60 instytucji zajmujących się pamięcią, dokumentowaniem i popularyzacją historii z 20 państw. Często na Zachodzie można się spotkać z nastawieniem: „Oho, znowu Polakom coś nie pasuje z historią". My w PEPiS mówimy w zasadzie to, co Warszawa, a jednocześnie trudno zepchnąć tę instytucję do szufladki z naklejką „polskie machanie szabelką".

Putin swoje werbalne ataki rozpoczął po wrześniowej rezolucji w Parlamencie Europejskim.

Tak. Rezolucja dotyczyła pamięci historycznej i była właściwie kontynuacją poprzednich dokumentów, które przyjmowano nawet 10 lat temu. To zresztą w zasadzie nic nowego: interpretacja II wojny światowej i jej początku wynikającego z paktu Ribbentrop–Mołotow została uznana już jakiś czas temu. Mało tego, 23 sierpnia został dniem pamięci o ofiarach totalitaryzmów, a w dokumentach oficjalnych mamy zapis dotyczący również totalitaryzmu komunistycznego, nie tylko stalinowskiego, jak chce mówić część opinii publicznej na Zachodzie. Nasze doświadczenie i presja przebijają się i przynoszą rezultaty w pamięci europejskiej, choć oczywiście wiele środowisk zachodnich wciąż ignoruje tę datę. Także dlatego wydarzenia, które stara się rehabilitować Putin, zostały uznane za zbrodniczy totalitaryzm i stąd te kłamstwa rosyjskiego prezydenta są na rynku europejskim przeciwskuteczne.

Czy aby na pewno? Znamy przecież różnice w podejściu do historii – także II wojny światowej i okresu komunizmu – w państwach UE.

Jeśli chodzi o podstawowy poziom oceny komunizmu czy wydarzenia historyczne, to nie ma kontrowersji, choć oczywiście na Zachodzie dużo bardziej popularne niż u nas są tezy, że komunizm nie był zły jako idea, ale jako wykonanie. Szczególnie widoczne jest to w zachodnich środowiskach akademickich, które nie tylko mają tendencję do rehabilitacji ideologii, lecz także nieraz sprzeciwiają się aktywnej polityce upamiętniania jej ofiar. Mieliśmy jakiś czas temu do czynienia z odsłonięciem pomnika Marksa ofiarowanego przez Chińczyków. Wszystko działo się w Niemczech, w Trewirze, przy udziale unijnych oficjeli. Mamy też przykład oceny komunizmu w brukselskim Domu Historii Europejskiej, gdzie jest on przedstawiony dość łagodnie. Z drugiej strony wystawa o Powstaniu Warszawskim przygotowana przez nasze muzeum przez pięć lat była pokazywana w Niemczech, we współpracy z wieloma niemieckimi instytucjami, obejrzało ją grubo ponad pół miliona osób. A pokazywaliśmy na niej zbrodnie obu reżimów totalitarnych. Cały czas przed nami dużo pracy, ale na Zachodzie i w całej UE przebija się prawda i możemy liczyć na elementarny konsens. Jeszcze 15 lat temu zestawienie dwóch totalitaryzmów było na Zachodzie herezją, dziś pojawia się w oficjalnych unijnych dokumentach.

Może to tylko myślenie życzeniowe?

Nie, są też konkrety. Jednym z dowodów niech będzie tzw. apel Bukowskiego, który został podpisany głównie przez intelektualistów zachodnich. Czytamy w nim, że o zbrodniach komunizmu należy nie tylko mówić i pamiętać o nich, lecz nawet doprowadzić do formalnego i prawnego ukarania sprawców totalitaryzmu komunistycznego.

Norymberga dla komuny.

Tak. Jest taki pomysł. I tutaj jest też pole do działania takich instytucji jak nasza Platforma Pamięci – jesteśmy naturalnym partnerem, mamy projekt Justice 2.0., w którym pracujemy nad mechanizmem osądzenia sprawców zbrodni komunistycznych, od lat zbierając materiały dotyczące zabójstw na granicach państw. Mamy potencjał i doświadczenie, by odgrywać kluczową rolę w „Norymberdze dla zbrodniarzy komunistycznych".

Efekty?

Na przykład śledztwo wobec ostatnich żyjących władz partyjnych w Czechosłowacji – na ławę oskarżonych trafili Miloš Jakeš i Lubomír Štrougal. To panowie w wieku 95+, ale czeska prokuratura zdecydowała się wszcząć przeciw nim śledztwo.

Tak, ale czym innym jest zainteresowanie prokuratury danego kraju, a czym innym jakiś trybunał ponadnarodowy, Norymberga.

Możliwości jest kilka. Najlepszą drogą byłaby umowa międzynarodowa powołująca taki trybunał. Obawiam się jednak, że determinacji i woli politycznej tutaj może zabraknąć. Druga ścieżka zakłada, że zbrodnie przeciwko ludzkości – a za takie uznajemy totalitarne, w tym komunistyczne – mają uniwersalną jurysdykcję. W teorii każde państwo, które ma wiedzę o popełnieniu takich zbrodni, powinno ścigać tych, którzy jej dokonali. Na podstawie tego uniwersalizmu prawnego w Holandii udało się osądzić zbrodniarzy z Afryki czy Afganistanu. Jest wreszcie trzecia możliwość, czyli sąd symboliczny, do którego można byłoby przygotować rzetelne materiały, mieć pełny entourage sądowy, a jednocześnie później efekty jego prac potraktować jako nową czarną księgę komunizmu. Minęło 20 lat od jej pierwszej wersji, badania posunęły się naprzód, wiedza jest szersza, warto byłoby się do tego przymierzyć.

Brzmi dobrze, ale później mamy konkret i Szwedzi nie chcą nam wydać nawet Stefana Michnika.

I dlatego nie twierdzę, że wszystkie te kroki, które opisałem, są łatwe i proste. Nawet po II wojnie światowej, gdy Niemcy były państwem pokonanym i wiele rzeczy można było wymusić, Norymberga dotyczyła wąskiej grupy osób. Nie ma sensu się oszukiwać, że nagle po 30 latach skażemy wszystkich zbrodniarzy komunistycznych, choć oczywiście należy dołożyć wszelkich starań, by ukarać tych, którzy jeszcze żyją. Skoro można ścigać zbrodniarzy nazistowskich 80 lat po popełnieniu przestępstw, to nie należy ustawać w wysiłkach, by podobnie było w przypadku zbrodni totalitaryzmu komunistycznego. Warto

eprasa.pl fd463336a0



Fot. Andrzej Wiktor

też zauważyć, że z polskiej perspektywy mamy poczucie niedoskonałego ścigania sprawców, ale w Polsce i tak zrobiono najwięcej spośród wszystkich państw postkomunistycznych. To także zresztą dodatkowe utrudnienie do stworzenia umowy międzynarodowej i powołania trybunału – poszczególne kraje musiałyby się zrzec części kompetencji i przyznać do porażki własnego wymiaru sprawiedliwości.

Powie ktoś – mamy historyków, publicystów, po co nam jeszcze angażować prawników, sędziów i prokuratorów. Ludzie, których chcecie osądzić, mają po 85, 90 lat. Biologia jest nieubłagana.

To nurty równoległe, z żadnego z nich nie należy rezygnować. System prawny reaguje nie tylko po to, by kogoś ukarać, lecz także wypełniać poczucie sprawiedliwości. A zbrodniarze zasługują na karę – nawet jeśli będzie to kara niewspółmierna do popełnionych czynów czy wręcz symboliczna. Nie da się tego zrobić na masową skalę, ale każdy symboliczny wyrok przywraca poczucie sprawiedliwości. Dla przykładu – wyrok skazujący Kiszczaka był bardzo ważny, pokazujący, że te zbrodnie się nie przedawniły i że on zasługuje na karę. Nawet jeśli to wyrok niski i w zawieszeniu, to jest to ważny element przywracający elementarne poczucie sprawiedliwości.

Wróćmy jeszcze do polskiej perspektywy myślenia o II wojnie, komunizmie. My byśmy chcieli raz na zawsze przekonać Zachód, wszystko wykrzyczeć, wyłożyć kawę na ławę. A tu idzie nam ciężko, Putin jest zapraszany do Jerozolimy, a my w zasadzie jeśli nie pokrzywdzeni, to sfrustrowani.

W tak długotrwałych procesach jak pamięć zbiorowa nie należy oczekiwać szybkich zysków czy przemian. Co więcej, zbyt radykalne oczekiwanie może być kontrproduktywne: jeżeli będziemy zbyt głośno krzyczeć, to reakcją naszych partnerów może być machnięcie ręką. Jeżeli oczekujemy, że wszyscy naraz, w jednym momencie, zaczną mówić o historii z polskiej perspektywy, to reakcje nie będą zbyt dobre, a nam zostanie frustracja, że się nie udało.

I nawet jeśli za polską historię wziąłby się Hollywood, a Mel Gibson nakręcił polską wersję „Przełęczy ocalonych”?

To mit, że jedna superprodukcja hollywoodzka załatwi wszystko. Żeby było jasne – świetni, niech Gibson czy Spielberg kręcą taki film, ale warunków jest przynajmniej kilka: po pierwsze, film musi być sukcesem, co nie jest oczywiste, bo Hollywood oprócz hitów kręci też kiepskie filmy. Po drugie, produkcja musi być oparta na bardzo dobrym scenariuszu, co do którego i tak będzie mnóstwo zarzutów czy wątpliwości. A nawet jeśli to wszystko się uda i produkcja stanie się kasowym hitem z rekordową oglądalnością, to wciąż trafimy tylko do pewnego odsetka opinii publicznej. Na gruncie polityki historycznej i tożsamości rewolucje są w zasadzie niemożliwe. Tylko długofalowe zmienianie stereotypów i wypracowywanie pozytywnych skojarzeń może przynieść efekt. Wiem, że to brzmi pesymistycznie, ale takie są realia: w tej sferze nie ma nic z dnia na dzień. Trzeba zakasać rękawy i codziennie robić swoje.

eprasa.pl fd463336a0

Kto komu płaci

Nasz region nie tylko pochłania dużą część unijnych funduszy, lecz również generuje bardzo pokaźne zyski dla reszty Europy. Gdyby ich nie było, nikt pewnie nie wyciągałby nas dziś z takim zapałem z łap „populistów". Prędzej zostalibyśmy zapewne wypchnięci razem z „populistami" poza granice Unii



KONRAD KOŁODZIEJSKI



„Zrealizowano z funduszy Unii Europejskiej" – charakterystyczne tabliczki z napisem tej treści i unijną flagą widział chyba każdy. Wiszą na ścianach w biurach i urzędach, w szkolnych pracowniach komputerowych, stoją przy nowych drogach i dworcach kolejowych, a także obok wyremontowanych zabytków. Można się na nie natknąć właściwie wszędzie. Unia dba o swój wizerunek. Przekazując pieniądze, chce, aby każdy mieszkaniec Europy – zwłaszcza z ubogiego Wschodu – pamiętał, komu zawdzięcza lepsze życie.

Polska, która wchodząc do Unii w 2004 r., była słabo rozwiniętymi peryferiami Europy, automatycznie stała się beneficjentem wielu wspólnotowych programów pomocowych i wyrównawczych. Środki pochodzące ze wspólnego budżetu UE szły na projekty infrastrukturalne, na ochronę środowiska oraz dóbr kultury, na rozwój nauki, a także na restrukturyzację i modernizację gospodarki. Jak wynika z wyliczeń Ministerstwa Finansów, w ciągu 15 lat członkostwa otrzymaliśmy w ramach różnych programów ponad 163 mld euro, z tego najwięcej – 103 mld na politykę spójności oraz 55 mld na politykę rolną. W tym samym czasie Polska do budżetu unijnego wpłaciła 53 mld euro. Rachunek wydaje się więc oczywisty, Polska na członkostwie w Unii zyskuje. I to mocno. Tak też uważa duża część Polaków.

W podobny sposób myśli również wielu mieszkańców „starej Unii", których kraje – najzamożniejsze w Europie – w odróżnieniu od Polski więcej wpłacają do wspólnego budżetu, niż z niego wyjmują. Przy czym nie nastraja ich to zbyt entuzjastycznie. Są bowiem przekonani, że finansują ze swoich podatków zacofany, a przy tym krnąbrny kraj, który nie tylko odstaje od liberalnych standardów i nie potrafi okazać wdzięczności swoim dobroczyńcom, lecz jeszcze zamiast „sko-

eprasa.pl fd463336a0

rzystać z okazji, aby siedzieć cicho", ośmiela się ich krytykować i wysuwać żądania.

Echa tego myślenia są najbardziej widoczne w niechętnej Polsce polityce francuskiego prezydenta Emmanuela Macrona. Widać je także w pomyśle powiązania funduszy unijnych z tzw. przestrzeganiem praworządności w państwach naszego regionu. Mówi się całkiem otwarcie, że nie będzie się dłużej finansować państw, które nie respektują unijnych zasad i nie podporządkowują się wytycznym płynącym z Brukseli.

Ta protekcjonalna strategia służy jednak nie tyle (a na pewno nie tylko) zasadom, ile raczej zagwarantowaniu interesów unijnego establishmentu w naszej części Europy. W politycznym wymiarze idzie o to, aby w takich krajach jak Polska powróciły do władzy bliskie Brukseli formacje liberalne. Unia już od dawna jest zaangażowana w polski spór polityczny, straszenie Polaków odebraniem im funduszy, jeśli nie będą głosować tak, jak trzeba, to kolejny wymiar tego zaangażowania.

Jednak unijna ingerencja ma również wymiar ekonomiczny. Bo nasz region nie tylko pochłania dużą część unijnych funduszy, lecz również generuje bardzo pokaźne zyski dla reszty Europy. Gdyby ich nie było, nikt dziś pewnie nie wyciągałby nas z takim zapałem z łap „populistów". Prędzej już zostalibyśmy wypchnięci wraz z „populistami" poza granice Unii.

GŁÓD KAPITAŁU

Unia Europejska nie przyjmowała nowych członków z altruistycznych pobudek. Układ był dość prosty, nowe państwa członkowskie otrzymują pomoc finansową, aby nadrobić wieloletnie opóźnienia i podwyższyć poziom życia, a w zamian otwierają swoje gospodarki dla unijnego kapitału. Teoretycznie układ był całkiem uczciwy, bo otwarcie rynków działało w obie strony, tzn. kapitał pochodzący z nowych krajów członkowskich także mógł inwestować i zarabiać w całej Unii. Jednak nie inwestował ani nie zarabiał, bo go po prostu nie było. Już na starcie nastąpiła więc ogromna nierównowaga, która spowodowała, że Europa Środkowo-Wschodnia stała się niemal dziewiczym polem eksploracji dla silnego, pozbawionego realnej konkurencji, zachodniego kapitału.

Oczywiście integracja europejska przyniosła państwom naszego regionu wiele dobrego. W wymiarze społecznym otrzymaliśmy możliwość swobodnego poruszania się, podejmowania (choć po okresie ochronnym i nie bez trudności) pracy na obszarze Unii Europejskiej. Nastąpił szybki rozwój cywilizacyjny, a obecność silnego zagranicznego kapitału była jednym z decydujących czynników, które doprowadziły do upadku postkomunistycznej gospodarki i ograniczenia związanych z nią patologii.

Jednocześnie jednak ogromna różnica potencjałów dzieląca państwa dawnej Unii i nowych członków z naszego regionu wywołała poważne problemy. Gwałtowna ekspansja zagranicznego kapitału doprowadziła do upadku wielu rodzimych przedsiębiorstw i głębokiego uzależnienia gospodarki od bogatszych kuzynów z Zachodu. Rynki poszerzonej Unii stały się otwarte dla silnej konkurencji unijnej, a nasz przemysł przekształcony w montownię obcych produktów lub w warsztaty dostarczające części



eprasa.pl fd463336a0

dla europejskich koncernów. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji głównym atutem nowych państw stała się tania siła robocza, co jedynie utrwalało strukturalną przepaść kapitałową między Wschodem a Zachodem.

Według danych publikowanych przez Credit Suisse średni majątek przypadający na jedną dorosłą osobę wynosił w 2016 r. w Polsce 24 tys. dol. (Czechy – 48 tys., Węgry – 33 tys.), podczas gdy w pogrążonej w kryzysie Grecji – 103 tys. dol. Wielka Brytania mogła się poszczycić 288 tys. dol., a przykładowo Szwecja – 227 tys. Te dane pokazują, jak gigantyczne są różnice majątkowe pomiędzy społeczeństwami europejskimi i jak słaba – w związku z tym – jest realna pozycja Europy Środkowo-Wschodniej wewnątrz Unii.

Przez blisko 30 lat od upadku komunizmu nie zdołaliśmy zgromadzić wystarczającego kapitału w kraju. To zadanie na całe dekady. Państwa zachodnie akumulowały kapitał przez stulecia, wschodnim tygrysom, takim jak Korea Południowa, zajęło to wprawdzie kilkadziesiąt lat, ale ceną tego sukcesu były lata brutalnej dyktatury oraz ogromne nierówności.

Nie oznacza to oczywiście, że nie powstały w ostatnim ćwierćwieczu w Polsce żadne prosperujące firmy. Jednak firmy te, po wspięciu się do wyższej ligi, zwykle musiały stawić czoła wielokrotnie potężniejszym konkurentom. Bo gdy w końcu rozwinęły one szeroko skrzydła, to na pewnym etapie ich rynkowej ekspansji zwykle się okazywało, że brakuje im paliwa (kapitału) na dalszy lot. I pozostawała im smutna alternatywa: albo upaść, albo znaleźć brakujące środki za granicą.

Mamy tu do czynienia z błędnym kołem, bo z braku solidnego krajowego kapitału polska gospodarka ciągle nie jest w stanie przekroczyć bariery rozwojowej i podjąć realnej walki konkurencyjnej z bogatszymi państwami. W tych warunkach obcy kapitał bez problemów wykorzystuje naszą strukturalną słabość.

SKOLONIZOWANY WSCHÓD

Dwa lata temu słynny francuski ekonomista Thomas Piketty opublikował dane, z których wynika, że wartość zysków i innych dochodów z własności wyprowadzanych przez zachodni kapitał z Polski, Czech, Węgier i Słowacji jest wyższa niż środki, które te państwa otrzymują z Unii Europejskiej. Piketty twierdzi, że w latach 2010–2016 średnia roczna wartość transferów z Unii do Polski była równa 2,7 proc. naszego PKB. Z kolei wartość środków idących w przeciwną stronę wyniosła aż 4,7 proc. polskiego PKB. Oznacza to, że różnica między tym, co dostajemy z Unii w ramach programów pomocowych, a tym, co oddajemy w postaci zysków z zainwestowanego tu kapitału, wynosi 2 proc. PKB. Jeśli tak podliczymy bilans, to nagle się okaże, że Polska więcej traci, niż zyskuje.

> Piketty dosadnie stwierdził, że unijny kapitał, przejmując kontrolę nad ponad połową aktywów firm w naszym regionie, po prostu skolonizował wschód Europy i, wykorzystując niskie płace, czerpie stąd zyski

W jeszcze gorszej sytuacji są – zdaniem Piketty'ego – Czesi, którzy co roku tracą na rzecz Unii 5 proc. swojego PKB, oraz Węgrzy ze stratą 3,2 proc. Słowacja wypada w tym zestawieniu najlepiej, oddając Unii mniej niż 2 proc. PKB.

Piketty podsumował swoje ustalenia dosadnie, twierdząc, że unijny kapitał, przejmując kontrolę nad ponad połową aktywów firm, po prostu skolonizował wschód Europy i wykorzystując niskie płace, czerpie stąd pokaźne zyski, znacznie przewyższające pomoc, jaką państwa naszego regionu otrzymują z Brukseli. Nie da się więc dłużej twierdzić, że te państwa są beneficjentami Unii.

Wyliczenia Piketty'ego wywołały sporo szumu. Niekryjącego się ze swoimi lewicowymi przekonaniami ekonomistę próbowano ośmieszyć, wypominając mu jego fascynację Marksem. Choć przedstawione przez niego dane nie uwzględniały całej złożoności przepływów finansowych między Unią a Europą Środkowo-Wschodnią, to trudno było odtąd twierdzić, że problemu nie ma.

Wielka zasługa Piketty'ego polegała na tym, że wykorzystując swój autorytet, powiedział głośno to, o czym w naszej części Europy mówiono jedynie szeptem, aby nie sprowokować oskarżeń o populizm czy eurosceptycyzm. Wpisało się to zresztą w szerszą dyskusję na temat rosnącego rozczarowania Unią we wschodniej Europie, w której zabrali głos m.in. Ivan Krastev i Stephen Holmes.

Ośmieliło to polityków naszego regionu. I to z bardzo różnych obozów politycznych. Na problem zarysowany przez Piketty'ego zwracał uwagę premier Mateusz Morawiecki, a całkiem niedawno do tematu wróciła liberalna eurodeputowana z Rumunii Clotilde Armand. „Historyjka, którą bogate kraje zachodnioeuropejskie opowiadają same sobie, brzmi ładnie: To oni są szczodrymi wujkami, którzy pomagają biedniejszym wschodnim krewniakom, ci zaś z kolei wiszą na unijnych dotacjach i dobrej woli tak zwanych unijnych płatników netto" – pisze eurodeputowana w swoim artykule opublikowanym na początku grudnia na portalu Politico. „Jednak szerszy, makroekonomiczny obraz pokazuje całkowicie inną rzeczywistość, bo wbrew obiegowemu przekonaniu większość pieniędzy w Europie płynie ze Wschodu na Zachód, a nie odwrotnie".

Armand opisuje dalej ojczystą Rumunię, gdzie handel został zdominowany przez francuskie sieci Carrefour i Auchan. Opowiada, jak co miesiąc płaci rachunki za telefon, gaz i wodę francuskim koncernom. I że wszystkie

eprasa.pl fd463336a0

te rachunki przechodzą przez konto francuskiego banku.

Być może specyfiką rumuńskiej gospodarki jest – jak wynika z przytoczonego artykułu – monopol francuskiego kapitału, ale poza tym nie różni się ona tak bardzo od innych krajów naszego regionu. Pustka kapitałowa zostaje wypełniona przez obce korporacje, które wyprowadzają sporą część utargu za granicę. W Polsce odbywa się to za pomocą różnych sztuczek: od opłat franczyzowych, poprzez najrozmaitsze kursy, szkolenia i usługi wykonywane przez spółkę matkę dla spółki córki w Polsce. Ponad dwa lata temu Mateusz Morawiecki (wówczas jeszcze wicepremier) oceniał, że co roku wypływa w ten sposób za naszą granicę 90 mld zł. To bardzo dużo.

Sceptycy wskazują wprawdzie – i jest w tym trochę racji – że to nie transfer zysków jest problemem, bo właściciele firm powinni mieć tutaj swobodę, lecz zbyt niskie opodatkowanie obcego kapitału w państwach Europy Środkowo-Wschodniej. Jednak rządy niechętnie nakładają wysokie podatki na zachodnie koncerny, obawiając się odpływu inwestycji. Bywa też, jak w przypadku podatku od hipermarketów w Polsce, że podejmowane próby opodatkowania natrafiają na opór Komisji Europejskiej.

INWESTYCJA W PRZYSZŁOŚĆ

Czy to oznacza, że przez 15 lat polskiego członkostwa w Unii Europejskiej traciliśmy pieniądze? Niezupełnie. Nie ulega bowiem wątpliwości, że bez pośrednictwa zachodniego kapitału polska gospodarka nie byłaby w stanie samodzielnie wejść na unijne rynki. Po prostu żadna krajowa firma nie ma wystarczających środków na to, aby samemu podjąć długotrwałą, kosztowną walkę konkurencyjną w Europie. A zatem do ogólnego bilansu należy dorzucić zysk w postaci zwiększenia dochodów z eksportu i związanych z tym miejsc pracy.

Warto też wziąć pod uwagę, że obcy kapitał włączył naszą gospodarkę do europejskiego krwiobiegu. Zostaliśmy w ten sposób trwale powiązani z Europą, co – pomimo ekonomicznych kosztów integracji – przekłada się bardzo korzystnie na naszą sytuację geopolityczną.

Nie oznacza to oczywiście, że powinniśmy się pogodzić z obecną „kolonialną" strukturą kapitałową polskiej gospodarki. W tej chwili jedynym liczącym się źródłem kapitału w Polsce jest państwo. Realnie tylko ono może więc zadbać o akumulację i zainwestowanie zgromadzonych środków w przedsięwzięcia przynoszące zysk i poprawiające naszą konkurencyjność na rynkach światowych. Czyli przede wszystkim w nowoczesne technologie i w poprawę wydajności pracy. Celem jest ucieczka z pułapki niskich kosztów i budowa w przyszłości silnej gospodarki opartej na rodzimym kapitale.

To bardzo trudny, ambitny plan. I zarazem chyba niemożliwy do zrealizowania bez dostępu do europejskich rynków. Warto o tym pamiętać.



Krzysztofowi Feusette

wyrazy szczerego współczucia

z powodu śmierci

MAMY

składają koleżanki i koledzy z tygodnika „Sieci",

„Gazety Bankowej" i portali wPolityce.pl

oraz wGospodarce.pl



Panu

Olgierdowi Cieślikowi

Prezesowi Zarządu Totalizatora Sportowego Sp. z o.o.

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i żalu

z powodu śmierci

MAMY

składają

Zarząd i pracownicy Grupy Medialnej Fratria

eprasa.pl fd463336a0

Sztafeta szkół ze wsparciem MEN

W biegu Tropem Wilczym nie chodzi o wynik. To okazja, by odwdzięczyć się bohaterom za wolność, którą przynieśli Polsce

Fundacja Wolność i Demokracja, która jest organizatorem projektu Tropem Wilczym – Bieg Pamięci Żołnierzy Wyklętych, zaprasza do konkursu szkoły podstawowe i ponadpodstawowe. Chodzi o to, by poza wsparciem symbolicznym i oddaniem hołdu polskim bohaterom zainicjować realną pomoc dla nich. Liczymy na zaangażowanie dyrektorów, nauczycieli, uczniów i oczywiście aktywnych rodziców.

Pomoc może dotyczyć bieżących potrzeb, np. remontu mieszkania, zakupu leków czy opału, mebli. A może dobrym pomysłem byłoby zabranie bohatera, którego znacie, na ciekawą wycieczkę lub pomoc w zorganizowaniu mu rehabilitacji. Ludzie, którzy wywalczyli nam wolność, to często osoby skromne, które mimo ogromnych potrzeb nie wymagają od nikogo pomocy. Dlatego inicjatywa powinna wyjść od nas. Niech wiedzą, że o nich pamiętamy.

Kolejna kategoria konkursowa dotyczy stworzenia trwałego śladu historii Niezłomnych albo opieki nad istniejącym już upamiętnieniem. Liczymy na waszą kreatywność, pamięć można okazać, nie tylko wznosząc okazały pomnik, może to być np. tablica pamiątkowa w szkole lub choćby kącik pamięci albo gablota z pamiątkami. Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych to także dobry moment, by jako imprezę towarzyszącą biegowi Tropem Wilczym zorganizować prelekcję, spotkanie ze świadkami historii, koncert lub wystawę. Macie na to pomysł?

Projekty konkursowe można składać do 31 stycznia tego roku. Zwycięskie pomysły będą sfinansowane przez organizatora. Projekt wpiera minister edukacji narodowej. Wszystkie szkoły zgłaszające się do konkursu dostaną atrakcyjne pakiety edukacyjne (książki, komiksy, koszulki i inne atrakcyjne pamiątki), wszystkie też są zaproszone do udziału w biegu na symbolicznym dystansie 1963 m podczas biegu Tropem Wilczym w Warszawie 1 marca 2020 r.

Szczegóły konkursu na stronie: tropemwilczym.org oraz Facebooku.

WUj

REKLAMA



12/0120/F

eprasa.pl fd463336a0



Mazowsze nie jest dziełem jednego sezonu

Ludzie, którzy śpiewają, muszą także tańczyć, ci, którzy tańczą, muszą umieć śpiewać. To ewenement na skalę światową. Mazowsze jest na scenie cały czas w ruchu, musi być dynamicznie

Z Jackiem Bonieckim, dyrektorem Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze", rozmawia Dorota Łosiewicz

W tym roku w listopadzie mija 70 lat od pierwszego występu Mazowsza na scenie. Jak zmienił się zespół przez ten czas?

Jacek Boniecki: Tak jak zmienia się świat. Na zespole odcisnęły się zmiany gospodarcze i kulturowe. My też musimy nadążać za nowoczesnością. Im więcej lat mijało od wojny, tym łatwiej było działać w normalnych warunkach, budować, rozwijać się, iść do przodu. Szybko stawało się jasne, że w takich dziedzinach jak kultura trzeba nadrobić gigantyczne straty. Trzeba było myśleć o odnowieniu tożsamości, o pozytywnym spojrzeniu na losy kraju. Mazowsze od momentu powstania także buduje swoją tożsamość. Z jednej strony zespół czerpie wzorce ze sztuki ludowej, lecz jednocześnie musi je modyfikować i przekładać folklor na dostępny język, na język zrozumiały dla tych, którzy gorzej znają polską historię i kulturę, by umożliwić im poznanie jej przez naszą artystyczną ekspresję, przez nasze stylizacje. Nasze występy muszą być tak przygotowane, by nadawały się do prezentacji na największych scenach świata, nawet tam gdzie kultura polska w ogóle nie jest znana.

Nie boicie się więc słowa „nowoczesność"?

Nie. Na tyle, na ile to możliwe, staramy się mówić współczesnym językiem, zrozumiałym dla dzisiejszego odbiorcy, choć poruszamy sprawy, które dotyczą historii, kultury, cech narodowych. Przecież Mazowsze to nie tylko folklor, ale i tańce narodowe. Nie tylko wieś, lecz także miasta. Doświadczeni twórcy coraz nowocześniej patrzyli na ludowe tworzywo i starali się je przearanżować na dzieło artystyczne. Język tańca z czasem się komplikował, podobnie jak język muzyczny. Pamiętajmy, że Tadeusz Sygietyński nie był muzykiem ludowym ani kompozytorem muzyki ludowej. Tworzył swoje dzieła, czerpiąc z motywów, cech i linii melodycznej charakterystycznych dla muzyki ludowej. Tak jak Fryderyk Szopen część swojej twórczości czerpał z motywów ludowych.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fd463336a0



A co pozostało niezmienne w Mazowszu?

Rdzeń. Wychodzimy od obrzędów, muzyki, od charakterystycznych cech tańców, wynikających z tożsamości i historii. Strojów także nie zmieniliśmy od początku istnienia zespołu. Pamiętajmy, że Mira Zimińska-Sygietyńska przejeżdżała regiony w poszukiwaniu odpowiedniego ubioru. Stroje były modyfikowane na potrzeby sceny, ale w niezmienionej formie są używane do dziś. Dodaliśmy oczywiście nowe regiony. Zmienia się sposób pokazywania, poszukujemy nowych form.

Na czym polega fenomen Mazowsza? Dlaczego sale pękają w szwach na waszych występach?

Myślę, że kluczem do sukcesu jest przystępność. Zachowanie świeżości i prostoty obyczajów ludowych i ich melodyki, a z drugiej strony przystępnie opracowana sztuka ludowa dla osób, które jej nie znają, które są jednocześnie konsumentami kultury wysokiej, np. dzieł symfonicznych czy operowych. Takie osoby także znajdą dla siebie coś cennego w naszym repertuarze. Te proste melodie, rytmy i tańce są poddane artystycznej obróbce, tak by zaspokoić także najbardziej wyrafinowane gusty. Dzieło artystyczne nie poddaje się łatwo gustom ani zmianom czasu. Dziś równie łatwo przyswajamy muzykę Bacha, Mozarta czy Beethovena, bo to dzieła artystyczne, wykraczające poza epokę. Z Mazowszem jest podobnie. Na pierwszy rzut oka ludowość może się kojarzyć z czasami minionymi, ale ponieważ to jest podane w sposób artystyczny, jest łatwo przyswajalne. Fenomen polega na wykraczaniu poza czasy, o których mówimy.

Nie okopujecie się wyłącznie w obszarze muzyki ludowej. W repertuarze pojawiają się utwory operowo-filharmoniczne – przykładowo Mozartowskie „Requiem" czy „Msza koronacyjna". A to prowokuje pytania, czy Mazowsze ma stać jedynie na straży folklorystycznego dziedzictwa, czy poszerzać repertuar?

Nie możemy stać w miejscu. Musimy poszukiwać nowych form wyrazu. Dlatego sięgamy też po formy teatralne. Cały czas pozostajemy jednak blisko rdzenia. W 2019 roku, „moniuszkowskim", na kanwie muzyki Moniuszki i jego związku z poezją Adama Mickiewicza stworzyliśmy widowisko „Pielgrzym", zupełnie nowy spektakl zawierający wątki ludowe i narodowe. Gramy w okresie okołoświątecznym „Betlejem Polskie" Lucjana Rydla, a także mamy w repertuarze operę „Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale". Dla naszych młodszych widzów przygotowaliśmy spektakle edukacyjne „Magiczna podróż" oraz „Fantazja polska", a dla młodzieży – „Romanca à la kujawiak".

Wróćmy jeszcze do wątku strojów. Ile waży najcięższy?

17 kg. To damski strój kocierzewski. Niezła zbroja. Tancerki nie tylko w tym chodzą, ale i tańczą. A partner musi jeszcze unieść tancerkę do góry. Co więcej: ten strój nie może ważyć mniej. Kostium utkany tradycyjną techniką układa się na scenie zupełnie inaczej niż lżejszy, uszyty nowoczesną metodą. Na naszej scenie wciąż występują oryginalne kostiumy sprzed 70 lat. Musimy myśleć o ich wymianie, problem jest jednak z technologią tkania, która była kiedyś. Nie da się uszyć czegoś takiego w Chinach. Dlatego mamy pewien problem z doborem repertuaru z nowych regionów. Mamy pomysły, ale niezwykle mało osób para się tkaniem takich materiałów. Wyprodukowanie czegoś takiego jest niezwykle kosztowne.

Występowaliście na Woodstocku wraz z zespołem Gooral, w teledysku z Cleo. Czy to jest pomysł na dotarcie do młodzieży?

Takie występy są incydentalne. Sztuka ludowa przenika dziś do jazzu, do muzyki pop, do hip-hopu. Włączamy się w ten nurt, ale nie chcemy, by stało się to naszą główną działalnością.

Fot. Archiwum PZLPiT „Mazowsze"

eprasa.pl fd463336a0



Jest to jednak jakiś sposób na dotarcie do szerszej publiczności, która nie zainteresowałaby się działalnością Mazowsza. Te występy, o których pani wspomniała, spotkały się ze sporym zainteresowaniem ze strony młodych ludzi, mieliśmy bardzo pozytywny odzew. Filharmonie też czasem dokonują pewnych eksperymentów z muzyką klasyczną, by ją popularyzować. Jeśli to jest zrobione profesjonalnie, ze smakiem, staje się wówczas środkiem do pozyskania nowej publiczności.

Jakie trzeba mieć predyspozycje, walory, by dostać się do Mazowsza?

Te walory nakreśliła ponad 70 lat temu sama Mira Zimińska-Sygietyńska. Ona od najmłodszych lat była związana ze sceną. Scena ją kochała. To nie jest cecha wszystkich artystów, tylko tych wyjątkowych. Ona porzuciła swoją karierę sceniczną, by jednocześnie przelać sceniczne doświadczenia na zespół. Jej wymagania były wysokie. Szukała cech, które powinien mieć wybitny artysta. Niezwykle dbała o szczegóły: w zachowaniu, w wyglądzie. Szukała wysokiej dyscypliny artystycznej. Osób urodziwych, które zachwycałyby widzów. Zespół miał uosabiać doskonałość w każdym wymiarze. Dlatego niełatwo było się dostać do Mazowsza wówczas niełatwo jest też dzisiaj. Pewnie nieco zmieniły się wymagania, poszukujemy trochę innego rodzaju śpiewu, ale trzymamy się kierunku wyznaczonego przez Mirę Zimińską, by nie stracić wyjątkowości Mazowsza.

Jak później przetrwać w Mazowszu?

Na początku jest na pewno bardzo trudno. Ludzie, którzy śpiewają, muszą także tańczyć, ci, którzy tańczą, muszą umieć śpiewać. To ewenement na skalę światową. Mazowsze jest na scenie cały czas w ruchu, musi być dynamicznie. Musi być, po pierwsze, energia, a po drugie, w ruchu stroje istnieją w pełni, barwy się przenikają, uzupełniają, tworzą niepowtarzalny klimat. Artyści, którzy zaczynają pracę w zespole, przez pierwsze miesiące mają do opanowania bardzo dużo utworów. Żeby się utrzymać, trzeba być cały czas w formie. Nie można występować bez przekonania, bez świeżości. Potrzebna jest wielka dyscyplina artystyczna i świadomość tego, co się robi.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 23 grudnia 2019 r. zmarł w Przemyślu

ŚP

MJR JERZY TOMASZ KOSTIUK

urodzony 14 kwietnia 1923 r. we Lwowie.
W kwietniu 1940 r. zesłany przez NKWD do Kazachstanu.

Od marca 1942 r. żołnierz 10. Pułku Artylerii Lekkiej
w składzie 10. Dywizji Piechoty Polskich Sił Zbrojnych formowanych w ZSRR.
Od maja 1942 r. służył w Iranie, a następnie Iraku, Palestynie oraz Egipcie
w 3. Karpackim Pułku Artylerii Lekkiej 3. Dywizji Strzelców Karpackich.

Od lutego 1944 r. uczestniczył w kampanii włoskiej.
Walczył w składzie 2. Korpusu Polskiego m.in. pod Monte Cassino oraz Ankoną.
21 lipca 1944 r. ciężko ranny.
W lipcu 1945 r. ukończył we Włoszech Szkołę Podchorążych Artylerii w Materze.
W grudniu 1947 r. powrócił do Polski.

Uhonorowany Krzyżem Monte Cassino,
Krzyżem Czynu Bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie,
Medalem „Pro Patria"
oraz innymi odznaczeniami polskimi i brytyjskimi.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

30/0120/F

eprasa.pl fd463336a0

Jak długo występował na scenie rekordzista?

Wciąż występuje. To tancerz baletu. W tym roku kończy 58 lat, na scenie występuje od 36. To ewenement na skalę światową. Takie przypadki zdarzały się chyba tylko w rosyjskim balecie.

To opłacalne zajęcie?

Kiedyś było pewnie bardziej opłacalne niż dziś. Dawniej artyści nie tylko mogli jeździć i zwiedzać świat, ale i rzeczywiście dobrze zarabiali, choćby ze względu na przysługujące im diety podczas podróży zagranicznych. Dziś jest inaczej, ale wciąż ludzie chcą tu pracować. Zadaniem dyrektora jest zdobywanie środków na to, by gigantyczny wysiłek artystyczny był odpowiednio doceniony.

Ale chyba od chwili, gdy resort kultury jest organem współprowadzącym, łatwiej o finansowanie?

Na pewno. O tzw. współprowadzenie staraliśmy się choćby po to, by ożywić działalność koncertową poza granicami województwa, bo Mazowsze jest instytucją samorządową. Ministerstwo było naturalnym partnerem, który nie patrzy lokalnie, tylko globalnie. I ta pomoc była kluczowa. Mamy wysokie koszty, których nie są w stanie zrównoważyć wpływy. To pozwoliło ożywić działalność. Teraz chcielibyśmy zainteresować ministerstwo naszymi podróżami zagranicznymi, których dziś ze względu na bardzo wysokie koszty jest znacznie mniej niż kiedyś. A tu przecież chodzi o reprezentowanie Polski i promocję naszego kraju. To ważne także dla Polonii, która z różnych względów musiała ułożyć sobie życie za granicą. Dla nich to wymiar integracyjny.

> Najcięższym strojem jest damski kocierzewski. Waży 17 kg. Niezła zbroja. Tancerki nie tylko w tym chodzą, ale i tańczą. A partner musi jeszcze unieść tancerkę do góry

Jak podróżuje Mazowsze?

To jest gigantyczne przedsięwzięcie logistyczne. Jeździmy w 140–150 osób. Były podejmowane w przeszłości próby ograniczenia składu, były takie czasy, że jeździło 70 osób, ale mówiono wówczas, że „dziwnie brzmi to Mazowsze". Zmniejszano wówczas skład orkiestry, chóru, balet był mniejszy. Jednak nie oddawało to potęgi partytur Sygietyńskiego, które były pisane na orkiestrę symfoniczną, dlatego wymagają pełnego jej składu muzycznego oraz pełnego składu chóru. Nawet te proste melodie muszą mieć swoją energię. Od ośmiu lat odbudowuję tę moc zespołu, przywracam zlikwidowane instrumenty. Nie możemy sobie pozwolić na zubożenie muzyki, potrzebujemy pełni brzmienia. Dziś w 90 proc. mamy obraz muzyczny stworzony przez Sygietyńskiego. W związku z tym, żeby się przemieścić, potrzebujemy trzech autokarów, tira, ciężarówki, dwóch busów. Jeśli lecimy samolotem, np. przy okazji podróży do Irkucka, trzeba wynająć samolot cargo, który transportuje pięć ton samych kostiumów. Nagłośnienie, oświetlenie to kolejne kilka, a nawet kilkanaście ton. Podróże są więc karkołomne i pochłaniają ogromne środki finansowe. Ale występ Mazowsza ma sens wyłącznie w pełnym składzie, w pełnej krasie. Ludzie to doceniają.

Jaką rolę w kulturze odgrywają zespoły ludowe?

Pomagają ludziom odnajdować i określać własną tożsamość. Są nośnikami tradycji, kultury. O ile historii nie da się przeżyć, trzeba ją przeczytać, o tyle podczas występu Mazowsza można tę historię poczuć, niemal jej dotknąć, doświadczyć, stać się jej częścią. Lata pokazały, że Mazowsze nie jest dziełem jednego sezonu, jak bywa często z twórczością współczesnych artystów. Choć traktuje o odległych czasach, wciąż jest na nie popyt. Każde pokolenie znajduje w tym zespole coś nowego.

Jakie dylematy ma w styczniu 2020 r. dyrektor Mazowsza?

Trzeba wciąż budować prężny organizm artystyczny, który będzie kroczył właściwą drogą repertuarową, ale jednocześnie pokazywać go w takiej formie, na jaką zasługuje, a za tym idą duże środki finansowe. Ważna jest też właściwa i mocna promocja zespołu, by ludzie chcieli przyjść na występy. I to znów wiąże się z nakładami finansowymi. Dziś, gdy już w dużej mierze udało się odbudować skład zespołu i dawne brzmienia, musimy się otwierać na nowe regiony, które właśnie repertuarowo opracowujemy. Zaawansowane prace zostały poczynione, jeśli chodzi o Warmię i Mazury oraz Dolny Śląsk. To wszystko jednak bardzo żmudna robota, wysokie koszty. Potrzebna jest muzyka, która nie może odbiegać od twórczości Sygietyńskiego, ponieważ to będzie słyszalne. Potrzebne są stroje, o których koszcie już mówiłem. I wreszcie choreografia. W dobie współczesnych choreografii nie łatwo znaleźć kogoś, kto przygotuje z polotem coś w naszej stylistyce. Gdyby udało się poszerzać repertuar o jeden region podczas jednego sezonu artystycznego, to już byłoby bardzo dużo.

Kto bardziej skorzystał na „Zimnej wojnie": Mazowsze czy film?

Wszyscy skorzystali na równi. Akcja „Zimnej wojny" toczy się w zupełnie innym świecie. Początek filmu to w zasadzie obraz powstania naszego zespołu. Tak było naprawdę. Mazowsze było potrzebne do stworzenia podstawy muzycznej i historycznej. Do stworzenia odpowiedniego klimatu. Okazało się, że utwór Sygietyńskiego „Dwa serduszka" jest bardzo podatny na stylizację jazzową. Mazowsze pomogło „Zimnej wojnie", a „Zimna wojna" Mazowszu, przypominając o nas masowej publiczności.

eprasa.pl fd463336a0



Henry Cavill to dziś dla wielu po prostu Geralt z Rivii. Bohater, który za sprawą serialu Netflixa wyniósł na szczyty rankingów twórczość Andrzeja Sapkowskiego. Wcześniej dzięki serii gier sprawił, że Wiedźmin stał się jedną z najlepiej zarabiających marek w popkulturze

Miecz przeznaczenia i sukcesu

Fot. Katalin Vermes

eprasa.pl fd463336a0



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Globalny finansowy sukces. To niesie dziś „wiedźmińskie uniwersum" i nadawcom, i twórcom ekranowych wersji świata Geralta z Rivii. Najpierw fabularnych gier komputerowych, a teraz serialu, który według Parrot Analytics, platformy badającej zapotrzebowanie na treści telewizyjne w różnych krajach, w ciągu zaledwie siedmiu dni od grudniowej premiery zainteresował aż 127 mln osób. Tym samym odebrał również pierwszeństwo produkcji „Stranger Things", która na liście najpopularniejszych seriali Netflixa utrzymywała tę pozycję przez 21 tygodni.

NA SZCZYCIE

Telewizyjna wersja „Wiedźmina" już za chwilę doczeka się kontynuacji. I nie dziwi, że jako pierwszy poinformował o tym na swoim Instagramie (jak można sądzić, za cichą zgodą Netflixa) Henry Cavill, niekwestionowana gwiazda projektu. Prace mają się rozpocząć już 17 lutego.

Tymczasem sukces serialu, który na szczyt rankingów trafił nie tylko w Polsce, lecz również w USA, Wielkiej Brytanii i Australii, przełożył się na ogromny wzrost zainteresowania książkową wersją przygód tytułowego bohatera.

Opowiadania i powieści ze zmutowanym pogromcą fantastycznych stworów i maszkar w roli głównej stały się niezwykle poczytne w świecie, a Andrzej Sapkowski osiągnął pozycję najlepiej sprzedającego się autora w zestawieniu Amazona. W rankingu wyprzedził nawet J.K. Rowling, która powołała do życia Harry'ego Pottera. Polski pisarz trafił też na listę bestsellerów „New York Timesa".

Zafascynowani postacią Wiedźmina widzowie nierzadko ze zdziwieniem odkrywali, że fantastyczny świat pełen strzyg i przeróżnych wampirzych wcieleń, a także gnomów, driad, kikimor czy smoków, nie został powołany do życia przez twórców popularnej komputerowej gry. Jej fabuła odwołuje się do twórczości polskiego pisarza fantasy, który w „wiedźmińskie uniwersum" wprowadził czytelników – i to najpierw w przechodzącym transformację europejskim kraju – w latach 80. ub.w.

Bohater, którego przeżycia wypełniały na początku nie za długie literackie formy (bo jedynie opowiadania miały szansę na publikację w miesięczniku „Fantastyka"), w minionej dekadzie skupił uwagę nie tylko milionów graczy. Wciągnął również brytyjskiego aktora Henry'ego Cavilla, który szerokiej kinowej widowni dał się poznać jako kolejny odtwórca postaci Supermana. Już po pierwszych informacjach o tym, że Netflix rozważa wprowadzenie na ekran „Wiedźmina", Cavill naciskał swojego agenta, by do skutku proponował jego udział w projekcie. Był zdeterminowany.

Mimo niezbyt przychylnych pierwszych reakcji – zarówno fanów komputerowego „Wiedźmina", jak i producentów serialowej wersji – na zaangażowanie go do tej roli i mimo różnego przyjęcia produkcji po premierze (uwagi dotyczyły zwłaszcza konstrukcji serialu), nikt nie ma wątpliwości: Henry Cavill w roli Geralta z Rivii to strzał w dziesiątkę.

Z JERSEY DO RIVII

Można powiedzieć, że jak w najnowszej produkcji Netflixa, tak i w życiu aktora ważną rolę odegrało nie tylko ostatnie życzenie, ale i „miecz przeznaczenia".

Kiedy w grudniu 1986 r. Andrzej Sapkowski debiutował na łamach miesięcznika „Fantastyka" opowiadaniem „Wiedźmin", Henry Cavill miał trzy lata i wraz z czterema braćmi dorastał pomiędzy Anglią i Francją, w Jersey na Wyspach Normandzkich należących do Wielkiej Brytanii. Wolny czas dzielił między rugby i szkolne przedstawienia. Kolejne kontuzje sprawiły, że musiał zapomnieć o karierze sportowca. Ukończył szkołę okrętową, nie rezygnując z grania w sztukach teatralnych. Z czasem jednak porzucił scenę dla ekranu.

Zadebiutował w kinowym filmie „Laguna" w 2001 r. W tym czasie polscy

eprasa.pl fd463336a0

fani Sapkowskiego z niecierpliwością czekali na premierę „Wiedźmina" w reżyserii Marka Brodzkiego z tytułową rolą Michała Żebrowskiego (tylko ona w produkcji się obroniła). Andrzej Sapkowski, przyparty do muru przez dziennikarkę, żartobliwie deklarował, że gdyby powstała hollywoodzka wersja – a wiadomo przecież, że to nierealne – w roli Geralta najchętniej widziałby Kevina Costnera, a Madeleine Stowe jako Yennefer.

W 2001 r. Henry Cavill miał 18 lat. Po kolejnych 18 pisarz pochwalił jego rolę w serialu Netflixa. Stwierdził: „Byłem bardziej niż zadowolony z tego, jak zagrał w »Wiedźminie«. To profesjonalista. Tak jak Viggo Mortensen był Aragornem we »Władcy Pierścieni«, tak Henry po prostu stał się Geraltem".

Michał Żebrowski, który w polskiej wersji językowej zdubbingował Cavilla, uważa, że brytyjski aktor „zagrał mądrze i przekonująco". Ucieszył go też sposób, w jaki Amerykanie zinterpretowali sagę Sapkowskiego, potwierdzając, że proza polskiego pisarza jest uniwersalna i zrozumiała na całym świecie.

SUPERBOHATER

Nim jednak Henry Cavill stał się na ekranie Geraltem, zdobywał szlify w innych produkcjach. Pierwszą znaczącą kinową postać – Alberta Mondego – stworzył w kostiumowym dramacie „Hrabia Monte Christo" (2002). Potem odnosił sukcesy na małym ekranie, m.in. trafiając do obsady serialu BBC/HBO „Dynastia Tudorów".

W 2008 r. został uznany przez magazyn filmowy „Empire" za... „najbardziej pechowego człowieka w Hollywood". Przeszły mu koło nosa główne role w filmowych hitach: „Superman: Powrót" i „Casino Royale" – to rok 2006, a dwa lata później także w „Mrocznym rycerzu" i „Zmierzchu".

Tymczasem przyszła propozycja od Woody'ego Allena, który zbierał obsadę do romantycznej komedii „Co nas kręci, co nas podnieca" (2009). Dwa lata później Cavill został wybrany do roli Supermana i pojawił się kolejno w filmach: „Człowiek ze stali" (2011), „Batman v Superman: świt sprawiedliwości" (2016) oraz „Liga Sprawiedliwości" (2017, na ten rok zapowiedziana jest część druga „Ligi"). Dał się też zauważyć w „Mision: Impossible – Fallout" (2018). Jednak on sam – w tym czasie fan fabularnych gier z Białym Wilkiem w roli głównej, o innym typie superbohatera i innym fantastycznym świecie marzył. Gdy pojawiła się szansa na powstanie serialowej wersji „Wiedźmina", ruszył do boju o główną rolę.


„Mision: Impossible – Fallout" (2018)

BYĆ JAK GERALT

Podczas rozmów z polskimi dziennikarzami przy okazji polskiej premiery serialu Cavill deklarował: – Jestem bardzo podobny do Geralta. Też lubię zachowywać neutralność, ale jednocześnie staram się czynić dobro. Podobnie jak on w swoim życiu za wszelką cenę próbuję uniknąć wyboru między większym i mniejszym złem. Dlatego wcielenie się w niego nie było dla mnie wielkim wyzwaniem. Wejście w jego skórę okazało się czymś bardzo naturalnym. Mam nadzieję, że widzowie też tak to odbiorą.

Pytany, dlaczego Geralt jest tak fascynujący, stwierdził: – To skomplikowana postać. Ma w sobie pewną ciemność, ale jest też w nim dobro. Przeżył wiele traumatycznych chwil, ale ma również w sobie pragnienie, by czynić dobro, a nawet kochać. Choć z drugiej strony jest zdolny do przemocy. Ma swoje własne zasady moralne, ale one go nie ograniczają. Rzadko pokazuje emocje, co więcej, nigdy nie chciał zostać wiedźminem, ale wykonuje swoje zadanie najlepiej, jak może.

Lauren Schmidt, określana przez producenta jako „twórczyni serialu", zwraca uwagę na ogromne zaangażowanie Cavilla, także w niezwykle trudnych scenach walk. Nie korzystał w nich z pomocy dublerów.

– Bardzo ważne jest dla mnie, żeby bohater istniał wewnątrz scen akcji. Aktorstwo musi być obecne również w takich momentach filmu czy serialu. To jak Geralt się porusza, jakie są jego kontakty z przeciwnikami i jakie wybory podejmuje, ma znaczenie. (...) Nie chciałem, by to kaskader opowiadał historię scen akcji za mnie – mówił w wywiadach.

Aktor jest już w gotowości do zdjęć drugiego sezonu. Produkcja zostanie przeniesiona z Węgier do Wielkiej Brytanii, ale na część zdjęć ekipa powróci m.in. do Polski (poprzednio trafiła do ruin zamku w Ogrodzieńcu na Szlaku Orlich Gniazd), na Słowację i do Czech. Większość ról zagrają zagraniczni aktorzy, jednak jak stwierdził Tomasz Bagiński, jeden z producentów wykonawczych „Wiedźmina", „sprawdzane są różne obsadowe opcje". Istnieje szansa, że przed kamerą pojawią się też Polacy.

Premiera jest planowana na 2021 r. Drugi sezon będzie się składał z ośmiu odcinków. Scenariusz będzie czerpać z wydarzeń rozgrywających się we „Krwi Elfów", pierwszej części sagi Andrzeja Sapkowskiego.

eprasa.pl fd463336a0



Pospieszalscy kolędowali w Berlinie

Pospieszalscy to marka znana nie tylko na scenie muzycznej. Nic więc dziwnego, że 11 stycznia w sobotni wieczór olbrzymia bazylika św. Jana w Berlinie wypełniona była po brzegi. Na scenie w prezbiterium 15 muzyków, zmieniając ciągle instrumenty, tworzyło na przemian: kameralną orkiestrę, rockowy band, ludową kapelę albo chór. Repertuar stanowiły oczywiście znane polskie kolędy, ale aranżacje i sposób podania zaskakiwały różnorodnością.

Artyści, swobodnie żonglując stylistyką, zabrali nas w podróż od klasyki przez jazz do folkloru, pulsując polskim mazurkiem, brazylijską sambą i bałkańską polką. Wykonawcy, z których wielu to multiinstrumentaliści, pozwolili podziwiać piękno kolęd, pastorałek i kantyczek na przemian z witalną rockową energią, monumentalnym orkiestrowym rozmachem, ale też z subtelnością wytrawnych kameralistów. Nie zabrakło cytatów z Szopena, Szymanowskiego i polskiej muzyki źródeł, a wysmakowane aranżacje smyczków brzmiały tak, jakby wyszły spod ręki Wojciecha Kilara.

Tym jednak, co ujęło nas wszystkich, była fenomenalna relacja między wykonawcami – wspaniałe świadectwo rodziny. Choć pewnie muzycy grają wiele koncertów, widać, że autentycznie bawią się tym, co robią, zachowując z jednej strony dyscyplinę wyszukanych opracowań, a z drugiej – wolność solistów w improwizowanych partiach. Finałem wieczoru było wspólne odśpiewanie „Podnieś rekę, Boże Dziecię" z rewelacyjnie wplecionymi fragmentami szopenowskiego poloneza A-dur, a potem... owacja na stojąco.

Słowa uznania należą się przedstawicielom polskiej dyplomacji, a przede wszystkim ambasadorowi RP w Niemczech Andrzejowi Przyłębskiemu i proboszczowi PMK ks. Markowi Kędzierskiemu, za zaproszenie artystów i organizację koncertu. Dwugodzinne wzruszające widowisko muzyczne dowodzi, jak wielki potencjał tkwi w polskiej tradycyjnej kulturze, pod warunkiem że zostaje odczytana przez ludzi z talentem i wielkim sercem.

Wojciech Jabłoński

Fot. Wojciech Jabłoński

Kolędy POSPIESZALSKICH

LUBLIN 22.1.2020
Centrum Spotkania Kultur godz 19:00
koncert z udziałem Młodej Orkiestry Dawnej Rzeczpospolitej

ANDRYCHÓW 23.1.2020
Kościół Św Stanisława BM godz 19:00

CZĘSTOCHOWA 24.1.2020
Filharmonia im B. Hubermana godz 19:00
koncert z udziałem Orkiestry Filharmonii Częstochowskiej

KATOWICE 25.1.2020
Filharmonia Śląska godz 18:00
koncert z udziałem Śląskiej Orkiestry Kameralnej

SOLEC KUJAWSKI 26.1.2020
Kościół Św Stanisława, Biskupa Męczennika godz 18:00

WARSZAWA 2.11.2020
TEATR PALLADIUM godz 18:30
koncert z udziałem Młodej Orkiestry Dawnej Rzeczpospolitej

PARTNER TRASY KONCERTOWEJ ORLEN TVP INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA GAZETA POLSKA niezależna POLSKIE RADIO SIECI GŁÓWNY PARTNER KONCERTÓW LOTTO

eprasa.pl fd463336a0



Fot. Route66/shutterstock.com

Tańcząc z Cohenem

„Thanks for the Dance" – album Leonarda Cohena wydany trzy lata po jego śmierci – okazał się wydarzeniem fonograficznym na świecie i w Polsce. Mało kto wie, że tytułowy przebój zabrzmiał w Warszawie już w 2007 r.

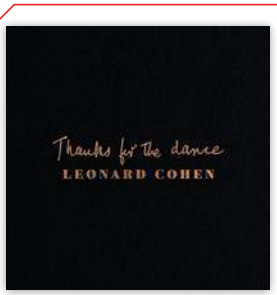


Adam Ciesielski

Śpiewający poeta z Montrealu w drugiej połowie lat 60. zaistniał w Nowym Jorku. W dekadzie następnej stał się idolem kontestującej młodzieży także u nas, choć za żelazną kurtynę długo nie docierały jego płyty i książki. Entuzjazm dla niego wywołali nad Wisłą pełni pasji popularyzatorzy i tłumacze: Maciej Zembaty i Maciej Karpiński (pierwszy z nich był również utalentowanym wykonawcą przełożonych piosenek).

Marzenia o sprowadzeniu legendarnego Kanadyjczyka zrealizowały się dopiero w 1985 r. Jego koncerty w Poznaniu, we Wrocławiu, w Zabrzu i Warszawie ściągnęły nadkomplety słuchaczy. Pamiętam koszmarny ścisk pod Salą Kongresową, bo w obiegu, oprócz prawdziwych, pojawiły się bilety fałszywe. Ich sprawdzanie spowodowało olbrzymie opóźnienie, ale nikt się nie skarżył. Byliśmy świadkami niezwykłego recitalu, z gwoździami wieczoru w rodzaju „So Long, Marianne", „Famous Blue Raincoat" i świeżego wtedy przeboju „Dance Me to the End of Love".

Na następną wizytę przyszło czekać aż 22 lata. Leonard pojawił się w Warszawie w roku 2007, by przed setką słuchaczy w Studiu im. Agnieszki Osieckiej i tysiącami odbiorców Programu III Polskiego Radia promować album „Blue Alert" Anjani Thomas – wokalistki ze swego chórku (w tej roli była z Leonardem w Polsce w 1985), potem przez jakiś czas także towarzyszki życia. Formalnie to ona miała być główną atrakcją wieczoru. Zapowiadana przez Cohena, z akompaniamentem tria z Toronto zaśpiewała dziewięć piosenek, w tym wpadającą w ucho „Thanks for The Dance". Dwa ostatnie kawałki wykonała już w duecie z Leonardem, co oczywiście wzbudziło owacyjną reakcję widowni, na której trafiło mi się miejsce obok Maryli Rodowicz, Magdy Umer i Johna Portera. Wszak faktycznym magnesem był właśnie on, choć schowany w skromnej roli promotora i producenta krążka oraz autora tekstów utworów.



Leonard Cohen
„Thanks for the Dance"
wyd. Sony Music

Wspomnienie tamtego recitalu przyćmiły rychło wrażenia ze wspaniałych, wielogodzinnych koncertów Cohena w Polsce w 2008, 2010 i 2013 r. I z kolejnych znakomitych płyt, takich jak „You Want It Darker" (2016), na której 82-letni trubadur melorecytował pytania egzystencjalne i strofy o wygasaniu uczuć. To było wzruszające i stylowe pożegnanie, więc przyznam, że z nieufnością przyjąłem tej jesieni zapowiedź ukazania się albumu skompilowanego ze szkiców zarejestrowanych u schyłku życia artysty. Większość podobnych pośmiertnych przedsięwzięć wróży przewagę komercji nad sztuką. Na szczęście ta reguła nie sprawdziła się tym razem. 48-letni Adam, syn Leonarda, w samodzielnej karierze piosenkarza nie wyróżniał się oryginalnością, za to wykazał się nieprzeciętnym talentem jako producent wspomnianego albumu ojca „You Want It Darker". No i wydawnictwa najnowszego. Miał do dyspozycji ledwie dziewięć wierszy Leonarda zarejestrowanych przez niego w szeptanej raczej niż śpiewanej interpretacji. Tylko w jednym przypadku („The Hills") opatrzonych autorską oprawą dźwiękową. Adam dopisał brakującą muzykę i czuwał nad całością przy wsparciu długoletnich współpracowników i przyjaciół ojca.

Płyta trwa tylko niespełna pół godziny, ale nie wydaje się krótka. Efekt jest bardzo bliski klimatom najlepszych krążków Leonarda z motywami eschatologii, nostalgii i subtelnej erotyki. Tytułowy utwór „Thanks for the Dance", który w 2007 r. w Warszawie zaśpiewała promowana przez Cohena Anjani Thomas, teraz w jego własnym ujęciu brzmi nie mniej przebojowo niż słynny „Dance Me to the End of Love", którym tak chętnie otwierał koncerty.

eprasa.pl fd463336a0



Wojciech Stanisławski

SOR: przedsionek, brama, wyspa

Zrodzona z bloga opowieść

Mroczne legendy miejskie istnieją od stu lat z okładem, ale żadne opowieści o kancerogenach w soku jabłkowym, psim mięsie w menu baru szybkiej obsługi ani widmie w parku nie mają takiego wzięcia jak relacje ze szpitalnych oddziałów ratunkowych. Większość z nas miała okazję trafić tam nie raz: sami, z dzieckiem, z rodzicem. Nawet jeśli dolegliwość czy wypadek okazały się stosunkowo niegroźne, pozostała pamięć cierpienia innych, którego zwykle nie ogląda się w takim stężeniu i dosłowności: nie zerka się na przesiąkający, założony w domu opatrunek, nie słucha czyjegoś ciężkiego oddechu. Na te doświadczenia nakładają się zresztą inne, bardziej błahe, czasem równie dręczące: przede wszystkim długie godziny czekania w tłoku i niepewności. Duszno lub zimno, jakaś jarzeniówka gaśnie i zapala się na nowo, dudni telewizor nastawiony na wiadomości (na izbach przyjęć w szpitalach dziecięcych są przynajmniej kreskówki), gdzieś za zakrętem szczęka wózek, ktoś płacze, ktoś bluzga, piasek pod powiekami, „która to?", zaraz północ. Takie wspomnienia wynosi się z SOR wraz z nadzieją, że prędko się tam nie zawita.

Są ludzie, którzy wracają tam co dzień lub dwa, zależy, jak rozpisano grafik: rejestratorka, lekarz dyżurny, pielęgniarki i ratownicy medyczni. Jeden z nich, Mateusz Sieradzan, od lat prowadzący blog „Pan Pielęgniarka", stworzył prawdziwe „opisanie SOR", na wzór fizjografii nowo odkrytych krain, jakie kreślili nowożytni podróżnicy. Znalazło się miejsce na nakreślenie wewnętrznej logiki funkcjonowania tego oddziału, pokazanie wyzwań, przed którymi staje zespół, ograniczeń, z jakimi spotykają się ratownicy, ba, technik, do jakich się uciekają. To wszystko ilustrowane opisami dziesiątków sytuacji, dramatycznych, groźnych, a czasem zabawnych, jakie zdarzają się za sprawą pacjentów: ostrych, delirycznych, czasem zaś po prostu wścibskich lub przemądrzałych. Ba, żeby tylko pacjentów. A praktykant? A zagubiona staruszka? A policjanci na nocnym dyżurze?

Skala osobistego doświadczenia, empatia i swada autora, który nie ma problemu w sięganiu po frazy polszczyzny potocznej, sprawiają, że wydana własnym sumptem książka mimo kilku powtórzeń nie ma sobie równych wśród reportaży o sytuacji w służbie zdrowia, włącznie z chwalonymi przed kilku laty „Małymi bogami" Pawła Reszki. Stężenie groteski pozwala przyrównać ją do nieprzełożonej nigdy na polski, głośnej w Stanach w latach 80. powieści „The House of God" Samuela Shema. Sieradzanowi nie chodzi jednak o mnożenie anegdotek o pacjentach z utraconymi nieco zbyt pochopnie kciukami, centymetrowymi ranami od scyzoryka, które zacisnęli (jak to na wojnie) paskiem spodni, lub proszących, by przy okazji opatrywania urazu głowy zrobić im kolonoskopię, bo co będą chodzić dwa razy... Ani nawet o ratownikach, którzy opatulili przywiezionego przez pogotowie bezdomnego workami, czepkami i maseczkami (a to w obawie



Pan Pielęgniarka (Mateusz Sieradzan), „SOR – to jest dramat", Wydawnictwo Poczekalnia, Warszawa 2019

eprasa.pl fd463336a0

przed spełzającym zeń robactwem) po czym, widząc wpatrzoną w nich, pełną ludzi poczekalnię, rzucili „No co? Ebola!!". Nawet ta ostatnia historyjka ze smaczną, choć przewidywalną pointą (poczekalnia, ku uldze zespołu, niemal się wyludniła, zostały tylko przypadki ortopedyczne) ma głębszy sens, unaoczniając często powtarzaną w tej książce prawdę: zapaść systemu opieki zdrowotnej w Polsce powoduje, że na SOR nieraz ludzie trafiają za sprawą swego lenistwa, chęci „obejścia" kolejki, bywa, że hipochondrii.

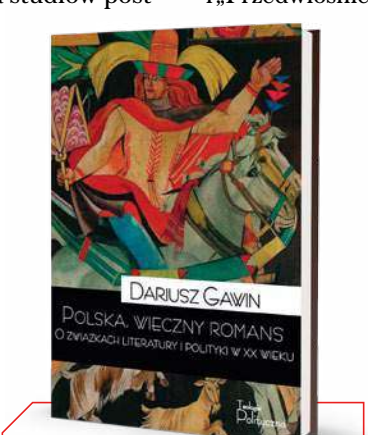
Tacy pacjenci znikną na widok przypadku „eboli"; większość zostanie, czekając nieraz po kilkadziesiąt godzin. Perswazyjna siła tej książki skierowana jest nie pod adresem nadużywających SOR chorych, lecz osób na różnych szczeblach, od dyrektora szpitala do dysponentów budżetu państwa odpowiedzialnych za obecny stan rzeczy. Ale też monolog Pana Pielęgniarki to nie pamflet polityczny: to fascynująca opowieść o miejscu, które oferuje, jak powiedziałby antropolog, wyjątkowo wiele „rytów przejścia": między codziennością a stanem zagrożenia, normalnością a szpitalem, życiem a śmiercią. Opowieść ta zarazem spisana została z taktem, humorem, skromnością oraz, bagatela, niemałą dawką najbardziej zdroworozsądkowej, jaką można sobie wyobrazić, wiedzy medycznej. Dzięki temu mamy do czynienia z reportażem, ważnym głosem w dyskusji nad kondycją systemu opieki zdrowotnej. A przy okazji – odczarowaniem SOR, złagodzeniem obaw (każdy w końcu kiedyś na SOR trafi) i zbiorowym portretem ratowników, którzy co noc ocalają życie kilkuset osób, po czym odsyłają je na „normalne" oddziały szpitalne – gdzie cicho, ciepło, wykrochmalona pościel i pod nogami nie chrzęszczą ciśnięte tam podczas akcji ratowania życia ampułki.

Polskie tango

Ambitni badacze starożytności (a także, o kilka stopni wysokich schodów w dół, ambitni studenci) znają tę udrękę: co jeszcze da się wyczytać oryginalnego z tekstów czytanych przez kilkadziesiąt pokoleń i stanowiących (przynajmniej do niedawna) niekwestionowany fundament Europy? Outsiderzy w rodzaju Herberta mieli łatwiej, jednym zdaniem mogli, niczym mistrz pankrationu, rzucić na matę wszystkie wyobrażenia o rodzie Atrydów. Ale naukowcy, których obowiązuje rygor wierności źródłom – co jeszcze mają szansę wywieść z kilku wersów presokratyków, z komentowanych od blisko trzech tysiącleci ksiąg „Iliady"? Wyzwania stojące przed badaczami polskiej spuścizny są tylko trochę mniejsze: jak można odczytać na nowo teksty tak szlachetne i tylekroć komentowane, co „Quo Vadis" czy „Przedwiośnie"? Zwłaszcza jeśli nie stosuje się jakiegoś chwytu godnego zawodników MMA ani nie sięga po narzędzia studiów postkolonialnych (kuszące zwłaszcza w przypadku Sienkiewicza), tylko z szacunkiem wobec autora zadaje pytania o to, co dzieła z przełomu XIX i XX w. lub nieco późniejsze mogą nam powiedzieć o czasach całkiem współczesnych?

Pyszna jest odwaga, z jaką Dariusz Gawin sięgnął już przed kilku laty po teksty, wydawałoby się, tak przeczytane i przykurzone jak „Przedwiośnie" (sam autor zresztą podkreśla ten „ciężar szkolnego dziedzictwa", pisząc o Żeromskim jako bohaterze nieskończonej ilości peerelowskich wypracowań, w których ustawiano Barykę w roli aktywisty KPP in spe), odczytując je z perspektywy historyka idei. Warto być odważnym, skoro pozwoliło to na wydobycie z przykurzonych tekstów diagnoz na wskroś nowoczesnych: „Quo Vadis" okazuje się równie celnym jak Conradowskie „Jądro ciemności" przeczuciem horrorów wieku XX. „Lalka", zamęczona przez szkolnych interpretatorów jako „spór romantyzmu z pozytywizmem", względnie „obraz narodzin polskiego kapitalizmu", okazuje się – ta interpretacja to olśnienie – pożegnaniem ze światem poczciwego, Minclowskiego, XIX-wiecznego mieszczaństwa i liberalizmu.

Żeby w ten sposób odczytać Prusa, Brzozowskiego, Słonimskiego, Miłosza, trzeba było całkowitej niezależności intelektualnej od nawarstwionych wcześniej odczytań polskiej prozy – ale i czegoś więcej. Sam Gawin, cierpko punktując współczesne narzędzia poznawcze rzeczywistości społecznej (sondaż, program publicystyczny, „lawiny zatrzymanych kadrów"), przeciwstawia im odwagę, z jaką polscy intelektualiści sprzed wieku poszukiwali „całości" polskiego życia. „Lalka" i „Przedwiośnie" są owocami tych poszukiwań – ale i zbiór esejów Gawina cechuje to pragnienie dociekczenia całości prawdy o polskich debatach, nierozdrobnionej w setki przyczynków.



Dariusz Gawin, „Polska, wieczny romans. O związkach literatury i polityki w XX wieku", Teologia Polityczna, 2019

„Polskę, wieczny romans", traktującą przede wszystkim o rodowodach inteligencji liberalnej i radykalnej, traktuję jako uzupełnienie (prequel?) najważniejszej dla mnie pracy autora – „Wielkiego zwrotu" (2013), rzeczy o ewolucji polskiej lewicy. Od lat czekam na jej zapowiedziany ciąg dalszy tej panoramy lat 1956–1976; teraz czekać będę również na sequel „Wiecznego romansu". Czy istnieją jednak powieści, które miałyby ambicję ogarnięcia całości polskiego życia przełomu XX i XXI w., więcej, ambicji tej sprostały? To pytanie już nie do Dariusza Gawina, lecz do innych autorów.

eprasa.pl fd463336a0



Film o dobrych ludziach



Kino

Może nie o krystalicznych ludziach jest ten film. Jest jednak o takich, którzy mają czyste serce i kierując się jego odruchami, czynią dobro. Są herosami. Takimi od przyziemnych spraw. Są codziennymi bohaterami robiącymi to, co porządni ludzie robić powinni.

Zak (Zack Gottsagen) ma jedno marzenie. Chce poznać osobiście dawną gwiazdę wrestlingu o wdzięcznej ksywce Redneck z Salt Water (Thomas Haden Church). Codziennie ogląda jego walki na kasetach VHS. Zak cierpi na zespół Downa. Porzucony przez rodziców mieszka w domu starców. Nigdzie indziej opieka społeczna nie znalazła dla niego miejsca. Jego jedynym przyjacielem jest Carl (Bruce Dern), który pomaga mu pomysłowo uciec z ośrodka. Zak ukrywa się na łodzi Tylera (Shia LaBeouf). Ten ucieka przed zemstą brutalnych rybaków, którym przez brak pozwolenia na połów skorupiaków kradł sieci. Tak zaczyna się historia dwóch outsiderów, których tropem będą podążać nie tylko pragnący krwi rybacy, ale też opiekująca się Zakiem wolontariuszka Eleanor (Dakota Johnson).

„Sokół z masłem orzechowym" to archetypiczne kino drogi, zbudowane ze wszystkich żelaznych elementów gatunku. Nieufność musi się przerodzić w przyjaźń, a w sercach nastąpić ma przemiana. Dlaczego więc film Tylera Nilsona i Michaela Schwartza nie drażni schematycznością? Dlatego, że jest to kino szczere. Ta podnosząca na duchu historia nie jest grana na ani jednej wyrachowanej nucie. Ba, dobry duch tego filmu wyszedł podobno poza ekran. LaBeouf przekonywał w wywiadach, że Zak zmienił jego podejście do świata i własnego życia. Aha, bo nie wspomniałem, Zack Gottsagen to aktor z zespołem Downa.

Nie jest więc „Sokół z masłem orzechowym" drugim „Rain Manem", gdzie niepełnosprawnego umysłowo gra pełnosprawny aktor. Zack jest rozbrajający w swojej roli. Jest wiarygodny, szczery i potrafi oddać zarówno smutek chłopaka, jak i jego radość życia. Z LaBeoufem tworzą magnetyczny duet. Nie tylko doskonale się dopełniają, lecz dzięki ekranowej chemii wyciągają najlepsze elementy z postaci.

Jest to opowieść o życiu z piętnem inności. Jest to też uniwersalna opowieść o pędzie ku wolności i potrzebie rozwinięcia skrzydeł. Zak ucieka z klatki, gdzie ma opiekę systemu, bo nie chce być wiecznie traktowany jako wymagający specjalnego traktowania „przygłup". Tyler pokazuje mu, na czym polega życie w drodze, gdzie nic poza poczuciem wolności się nie liczy. Pokazuje mu też, że inność nie oznacza bycia gorszym. Drobny cwaniaczek sam też potrzebuje przemiany. Rozrywają go strata bliskiej osoby i wyrzuty sumienia. Spokój ducha dostaje, trafiając na Zaka. Również Eleanor dostrzega, że wybawienie leży często daleko poza ciasnymi ramami zbiurokratyzowanej pomocy.

Nie przez przypadek film jest umiejscowiony na głębokim południu USA. Upał, bagna, gospel i country kierują opowieść też na tory bardziej społeczne. Do tego pojawia się wątek wody oczyszczającej z winy i ślepiec mówiący o Jezusie. Istota głębokiego południa. Piękna to opowieść. Zbyt mało jest takich dziś w kinie.

„SOKÓŁ Z MASŁEM ORZECHOWYM",
REŻ. TYLER NILSON I MICHAEL SCHWARTZ, DYSTR. M2FILMS

King w klimacie „Detektywa"

Nie wiem, czy Stephen King wróci jeszcze kiedyś do formy z czasów, gdy pisał „To" albo „Lśnienie". Dziś pisze z prędkością wychodzenia kolejnych filmów o Avengersach. Każda jego nowa książka jest od razu ekranizowana. Z lepszym lub gorszym skutkiem. „The Outsider" należy do tej pierwszej kategorii. To połączenie typowych dla książek Kinga koszmarów małomiasteczkowej Ameryki z rasową opowieścią detektywistyczną. Detektyw Ralph Anderson (jak zwykle charyzmatyczny Ben Mendelsohn) prowadzi śledztwo w sprawie śmierci 11-letniego dziecka, będąc samemu pogrążonym w żałobie po śmierci swojego syna. Dochodzi do wniosku, że sprawa ma podłoże wykraczające poza „ten świat". Siłą tego serialu jest bardzo dobry scenariusz. Nielinearna narracja, mylenie tropów, unosząca się złowieszcza atmosfera – przypomina to „Detektywa" Nica Pizzolatto, ale każda scena mówi nam, że narodziła się w głowie mistrza horrorów Kinga. Duża w tym zasługa Jasona Batemana. Ten kojarzony głównie z komediami aktor nie tylko gra w serialu, ale go też reżyseruje. Wcześniej Bateman zrobił dla Netflixa serial „Ozark", dowodząc, jakim specem od kryminałów się staje. Po dwóch odcinkach mnie wciągnęło.



VOD/TV

„THE OUTSIDER"
DOSTĘPNY NA HBO GO I HBO

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl fd463336a0

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca



Kino

Duch Chaplina żyje!

Oto jak światu trzeba sprzedawać historyczną narrację za pomocą kina. Nie tylko z błyskotliwym scenariuszem, lecz także odpowiednio podsyconą kontrowersją. O czym – pod kątem historycznym – jest nominowany do sześciu Oscarów „Jojo Rabbit"? O tym, że Niemcy nie tylko byli zapatrzeni w Hitlera jak w boskiego celebrytę, lecz również mieli ruch oporu i ratowali Żydów. Taika Waititi nakręcił film, jaki chciałbym, by Polacy zrobili z myślą o rynku międzynarodowym.

Jojo (Roman Griffin Davis) chce być jak jego tata walczący na froncie w imię Adolfa Hitlera. Dołącza do Hitlerjugend i wkracza na ścieżkę stania się wzorcowym Übermenschem. Co prawda obóz dla przyszłego pokolenia budującego potęgę III Rzeszy prowadzi zapijaczony idiota kapitan Klenzendorf (przezabawny Sam Rockwell) i Jojo szybko z niego wylatuje, to już w domu kształtuje go Jego Nazistowska Świątobliwość. Jojo ma wyimaginowanego przyjaciela Adolfa Hitlera (Taika Waititi), który dba, by nie odszedł on od jedynej słusznej ścieżki. W domu Jojo mieszka też jego mama Rosie o posągowej, aryjskiej urodzie Scarlett Johansson. Plakatowa, nazistowska rodzicielka ukrywa jednak sekret. Na strychu, w tajemnicy przez synkiem, chroni młodą Żydówkę Elsę (Thomasin McKenzie). Jojo odkrywa tajemnicę i staje przed wyborem: zadenuncjować upiornego, pożerającego dzieci na macy Żyda i tym samym skazać na śmierć mamę, czy spróbować zrozumieć, dlaczego Żydzi „hipnotyzują świat" i zamieniają się w nocy w nietoperze wampiry.

Nowozelandzki reżyser Taika Waititi przyzwyczaił nas do specyficznego poczucia humoru. Jego „Thor. Ragnarok" to najzabawniejszy film z całego filmowego uniwersum Marvela. W „Jojo Rabbit" Waititi idzie wytartą ścieżką, która doprowadziła Roberta Benigniego do dwóch Oscarów za „Życie jest piękne". Satyra osadzona w czasach Holokaustu? Adolf Hitler w przebraniu infantylnego dziecka i przerysowani gestapowcy wyjęci z propagandowych amerykańskich filmów z lat 40.? Jeżeli kogoś oburza humor czarniejszy niż kawa Belzebuba, to powinien ten film omijać z daleka. Mnie ten film nie tylko rozbawił do łez, lecz i wzruszył na tyle, że moje cyniczne oczy się zaszkliły.

Waititi garściami sięga z takich klasyków jak „Dr Strangelove" Kubricka, „Underground" Kusturicy, skeczy Monty Pythona i skręca w stronę „South Parku", wciskając w usta Hitlera teksty, których nie powstydziłby się Eric Cartman polujący na Żyda Kyle'a. Czuć na odległość Wesa Andersona i oczywiście przewrotność Benigniego z „Życie jest piękne". To wszystko idealnie z sobą gra mimo ostatecznego wrażenia, że Waititi nie daje nam nic nowego. Porusza opowieść o matczynej miłości (nominowana do Oscara Johansson) do synka. Chwyta za serce rozdarcie 10-letniego chłopca między potrzebę przynależności do jakiejkolwiek grupy (w tym przypadku nazioli) a ludzkimi odruchami w zderzeniu z Żydówką, zastępującą mu ostatecznie siostrę. Co z tego, że Chaplin 80 lat temu już wyśmiał nazizm i Hitlera w „Dyktatorze". Waititi jest godnym naśladowcą mistrza, który podtrzymuje prawdę, że satyra oczyszcza nieraz bardziej niż poważne dysputy.

„JOJO RABBIT", REŻ. TAIKA WAITITI, DYSTR. IMPERIAL-CINEPIX

Neurotyk wraca!

VOD

To dla mnie najważniejszy filmowy powrót roku! Larry David znów pokaże nam, jak wiele ma w sobie entuzjazmu, którym zaraża otoczenie. Oczywiście ironizuję, jak przystało na tę produkcję. „Pohamuj entuzjazm" to opowieść o bogatym, niezależnym nowojorskim Żydzie, który przenosi się do Hollywood i żyje z pieniędzy za napisanie kultowego „Seinfelda". Ma piękną żonę (która zostawia go oraz jego ego) oraz sławnych przyjaciół. Choć mieszka w słonecznym Los Angeles, to wygląda jak postać wyjęta z nowojorskiego świata Woody'ego Allena. Notabene David zagrał u Allena główną rolę w świetnym „Co nas kręci, co nas podnieca".



Poprzedni sezon „Pohamuj entuzjazm" był swoistym the best of Larry David. To perfekcyjne podsumowanie jednego z najzabawniejszych i najinteligentniejszych sitcomów w historii telewizji. Nikt nie spodziewał się, że po latach David i spółka wrócą z kolejną odsłoną. O czym będzie? Obejrzyjcie zdumiewający zwiastun na YouTube. Powie wam wszystko o Larrym Davidzie i jego... tosterze.

„POHAMUJ ENTUZJAZM. SEZON 10" NA HBO GO

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl fd463336a0

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Igraszki z widzem

„Igraszki z diabłem" Czecha Jana Drdy to jedna z popularniejszych pozycji w repertuarze polskiego teatru. Po raz pierwszy wystawione w roku 1948 przez Leona Schillera, przetrwały kolejne epoki.

Pomimo obecności aniołów i diabłów grano je chętnie nawet w czasach stalinowskich, bo miały wyrażać zdrowy, ludowy stosunek do moralności, pełen nonszalancji wobec oficjalnej doktryny katolickiej. Ta bajka, w sumie wystawiana 57 razy, zbladła trochę dopiero po roku 1989. Ale to jeszcze mocniej utrwaliło w świadomości Polaków najsłynniejszą inscenizację. W roku 1980 pokazał „Igraszki z diabłem" Teatr Telewizji, w świetnym tempie i doborowej obsadzie, wyreżyserowane przez Tadeusza Lisa. Do dziś wielu zna ją na pamięć.

I oto włodarze obecnego Teatru TV zapowiedzieli inscenizację Artura „Barona" Więcka jako remake tamtego widowiska. Zrobili to w celach reklamowych, kto nie sprawdzi i nie porówna? Byłby to remake, gdyby próbowano odtworzyć tamte założenia reżyserskie. Tak nie jest. Fala porównań jednak ruszyła. I śledząc głosy w internecie, widzę, że przeważają te na nie. „Grają jak w serialach, to nie jest tamto przedstawienie" – powtarza się.

No bo czy Michał Majnicz jest w stanie przebić charyzmą Mariana Kociniaka w głównej roli żołnierza Kabata? A czy sympatyczny i skądinąd całkiem zabawny Maciej Musiał, który bardzo się rozwinął jako aktor, nie blednie nieco, gdy wspominamy pozy i modulację głosu młodego Marka Kondrata jako z niemiecka się noszącego diabła Lucjusza? Tę wyliczankę można ciągnąć. Nawet wielcy aktorzy: Anna Dymna (Anioł) czy Jerzy Trela (Pustelnik) mają ciężko, gdy powracają nam przed oczy Jan Kociniak i Wojciech Pokora. Skądinąd zarzuty padają sprzeczne. Jedni mają za bardzo kopiować tamte role, inni być zbyt niepodobni. A rzecz cała nie wynika z mniejszej technicznej biegłości obecnej obsady, a ze zderzenia jej z twarzami, głosami i gestami, które stały się kultowe.

Może trochę i z maniery gry. To krakowskie przedstawienie wcale nie jest „jak z serialu", ale nie dominują tu ludzie kojarzący się z vis comica w dawnym typie. Zabawy miną i głosem, charakterystyczność, są tu na ogół bardziej stonowane. Ale przecież Dariusz Gnatowski, sławny jako Arnold Boczek z polsatowskich „Kiepskich", jest niewiarygodnie śmieszny. On na pewno sprostał wysokiej poprzeczce, jaką zawiesił przed nim poprzedni Zbój, Krzysztof Kowalewski. A i na niego narzekają. Bo zbyt podobny. I jednocześnie za mało.

Ja byłbym ciekaw, co powiedzą o tym przedstawieniu ludzie młodsi, których wyobraźnią nie zawładnęli Kociniakowie z Kondratem, a którzy dostają całkiem przyzwoity kawałek lekkiego teatru. Odrobinę bardziej „progresywnego" niż tamten z 1980 r., tu diabeł Lucjusz posługuje się smartfonem, a diabły u wrót piekieł słuchają Doorsów. Jednak tradycyjnego w tym sensie, że mamy rzetelnie opowiedzianą historię. Z piękną scenografią Justyny Łagowskiej, z klarownym pomysłem.



Liberałowie mogą się tu cieszyć potępieniem bezduszności dewotów. Konserwatyści dostają przekonanie o zaletach Bożej sprawiedliwości. Owszem pokazanej przekornie, a przecież żywej. To bajka, ale z melancholijnym morałem. Jeśli ktoś się natęży, może nawet pomyśleć o rzeczach ostatecznych. Pytanie tylko, czy współczesnym młodszym Polakom chce się bawić bajkami, nawet jeśli przypominają one chwilami cyrk Monty Pythona. Tego chętnie bym się dowiedział.

Piotr Zaremba

Wielki Polak poza granicami kraju

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia, 23 grudnia 2019 r., w Rzymie zmarł w wieku 97 lat Stanisław August Morawski, przedstawiciel znanej polskiej rodziny, syn Kazimierza Morawskiego, działacza narodowego i kandydata na prezydenta RP w wyborach z 1922 r., po zabójstwie Gabriela Narutowicza. Stanisław z wykształcenia był doktorem ekonomii, z poglądów pozostał narodowcem, choć jednocześnie najsilniejsze miał związki na emigracji (dokąd dotarł z kraju w 1957 r.) z ruchem chrześcijańsko-demokratycznym. Należał do bliskich współpracowników Karola Popiela, a następnie Stanisława Gebhardta z SP, z którym założył w 1962 r. przy udziale włoskich chadeków Ośrodek Studiów i Stosunków Międzynarodowych, a w latach 1975–1985 kierował działem organizacyjnym sekretariatu generalnego Międzynarodówki Demokratyczno-Chrześcijańskiej. To m.in. dzięki niemu w latach komunizmu polscy katolicy ze środowiska KIK otrzymywali zaproszenia i stypendia umożliwiające pobyt w Wiecznym Mieście. Janusz Zabłocki pisał o nim w swym dzienniku pod datą styczniową w 1966 r.: „Daje on kolejny dowód, że naszymi potrzebami nie tylko potrafi się interesować, ale też z poświęceniem wokół nich chodzić, a danych obietnic zawsze dotrzymuje". Był jednym z założycieli Związku Polaków we Włoszech, do końca życia pracował w nim aktywnie. Pełnił również funkcję dyrektora biblioteki centralnej Università Internazionale degli Studi Sociali. Od 1979 r. do śmierci kierował zaś Fundacją Rzymską im. Janiny Z. Umiastowskiej – placówką naukowo-badawczą promującą we Włoszech polską naukę, kulturę i sztukę. To jedna z najważniejszych polskich instytucji na uchodźstwie, wspierająca m.in. takie dzieła jak od 1988 r. Papieski Instytut Studiów Kościelnych w Rzymie (wraz z Biblioteką Narodową w Warszawie) czy też publikacje naukowców krajowych, głównie z Instytutu Historii Sztuki PAN, dotyczące licznych poloników włoskich. Najważniejszym bodaj dziełem fundacji jest wielotomowa praca wychodząca od lat pod redakcją Ewy Prządki „Testimonianze" (Świadectwa), dotycząca życia i osiągnięć kolejnych pokoleń Polonii we Włoszech. Za swoje liczne zasługi dla Polski w 2010 r. został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Pogrzeb Stanisława odbył się 27 grudnia w kościele polskim pw. św. Stanisława w Rzymie. Niestety nie mogłem w nim uczestniczyć. Poznaliśmy się na początku lat 90., za pośrednictwem wspólnych przyjaciół, kiedy redagowałem „Szaniec Chrobrego", pismo kombatantów NSZ, czytane i zapewne dotowane przez środowiska emigracyjne, w tym przez niego. Zawsze się widywaliśmy, gdy przybywał do Polski wraz żoną Renią czy też my z Małgosią byliśmy w Rzymie. Byłem także jednym ze stypendystów wspomnianej fundacji, dzięki której mogłem ponad miesiąc mieszkać w Wiecznym Mieście i przeprowadzić bogatą kwerendę w rzymskich zbiorach Kazimierza Papéego, ambasadora RP na uchodźstwie przy Stolicy Apostolskiej. Zawdzięczam Stanisławowi znaczącą część mojego dorobku naukowego. Bodaj ostatni raz widzieliśmy się w rezydencji tej samej placówki, kierowanej przez Janusza Kotańskiego. Usiedliśmy osobno stęsknieni rozmowy, plotek i ploteczek. Byłem jeszcze wtedy senatorem RP, więc tych informacji było co niemiara. Do końca zachowywał żywy umysł, interesował się polskimi sprawami. Był wielkim patriotą, człowiekiem, który dla Polski czynił stale więcej i więcej. Z poczuciem humoru, z uśmiechem, jowialny – jak prawdziwy polski szlachcic, ziemianin od dawna bez polskiej ziemi. //

Jan Żaryn



Autopromocja

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!

www.wSieciHistorii.pl



eprasa.pl fd463336a0



Wywiad AK w ocenie Secret Intelligence Service

Stosunkowo często wspomina się o zasługach polskiego wywiadu w okresie II wojny światowej w kontekście zdobycia szczegółów konstrukcji rakiet V-1 i V-2 oraz złamania kodów maszyny szyfrującej Enigma. Oczywiście dokonania na tych polach są niezaprzeczalne i bardzo efektowne...



Mariusz Olczak

Ogromnie dużo osiągnięć okupionych stratami, wymagających wieloletniej pracy dużych struktur analitycznych i całych struktur terenowych dotyczyło wywiadu przemysłowego, morskiego i kolejowego.

Na rzecz Przyjaciół

Przez praktycznie cały okres okupacji przesyłano do Londynu wielkie ilości informacji wywiadowczych zgromadzonych przez struktury podporządkowane Oddziałowi II KG ZWZ-AK. Jego kierownictwo było z kolei informowane o ocenach wystawianych przez Anglików, nazywanych w depeszach niekiedy Przyjaciółmi, odnośnie do pracy naszych wywiadowców i jakości dostarczanych przez nich informacji. Posiadamy wiele takich ocen przesyłanych przez ppłk. Michała Protasewicza (1898–1983) ps. Rawa dowodzącego niejako ekspozyturą AK w Londynie, czyli Oddziałem VI Sztabu Naczelnego Wodza, który dostarczał bezpośrednie zadania i oceny wywiadu angielskiego. Najczęściej używanym w tych depeszach słowem był przymiotnik „wartościowe", bo tak właśnie oceniano zdecydowaną większość informacji przychodzących z kraju. Od samego początku istnienia sieci wywiadowczych na terenie Generalnego Gubernatorstwa wywiad ZWZ-AK wraz z rozwojem jego struktur zdobywał coraz więcej cennych informacji. Dzięki jego pracy alianci poznali dokładnie proces przemieszczania się wielkich związków taktycznych i przygotowań do uderzenia na Związek Sowiecki. Od 22 czerwca 1941 r. alianci byli na bieżąco informowani o tym, co dzieje się w armii niemieckiej i wśród jej żołnierzy. Pierwsze półrocze 1942 r. było tak bogate w konkretne informacje, że centrala w Londynie zdecydowała się przesłać do dowództwa AK w kraju dosłowne tłumaczenie oceny przez Intelligence Service pracy wywiadu AK: „I. Wojskowe. W ciągu pierwszego półrocza 1942 dostarczył polski wywiad ogromnie wartościowych informacji dotyczących następujących zagadnień: 1) meldunki o ruchu kolejowym przez Polskę do i z frontu wschodniego były ogromnie wartościowe. 2) otrzymaliśmy również wartościowe meldunki o niemieckich drogach strategicznych i o systemie kolejowym w Polsce". I co ciekawe, z miejsca Anglicy zadali pytanie: „Czy możliwe byłoby dostarczanie systematycznych informacji o rozwoju dróg z Polski do Rosji, począwszy od czerwca 1941", a następnie jednoznacznie ocenili: „3) Wywiad polski jest naszym najlepszym źródłem informacji, jeżeli

FOT. BUNDESARCHIV, BILD_141-1880

eprasa.pl fd463336a0

chodzi o O. de B. [skrót od franc. Ordre de Bataille – skład bojowy lub/i schemat organizacyjny wojska – przyp. red.] na wschodnim froncie. Identyfikacje z terenu Polski były b. wartościowe i należy wyróżnić listy szpitalne podające miejsca postoju jednostek, do których należą ranni. Ogólnie mówiąc, meldunki stoją na bardzo wysokim poziomie i są uważane za ogromnie cenne". Anglicy mieli wówczas ogromne trudności w obliczeniu i ocenieniu sił ludzkich pozostających do wykorzystania na terenie Niemiec, nie posiadali, a także przewidywali, że nie będą w stanie zdobywać danych O. de B. z terenu Niemiec. Jak stwierdzili, „byliby niezmiernie zobowiązani" (sic! – M.O.), gdyby polski wywiad zechciał dołożyć starań w kierunku uzupełnienia tych braków". Anglików interesowało również morale niemieckiej armii z uwagi na to, że informatorzy polskiego wywiadu „pokrywają szerokie obszary". To ostatnie stwierdzenie pokazuje jednoznacznie pozytywną ocenę zasięgu struktur wywiadowczych AK. Podobnie ich szybkie reagowanie na wydarzenia cieszyło się uznaniem, co pokazało się jednoznacznie, gdy ujawniono niemieckie transporty gazu kierowane na front wschodni. Odbiorcy w Londynie napisali: „Źródła okazały się szczególnie czujne w dostarczaniu meldunków. [...] Jesteśmy niezmiernie wdzięczni za te informacje i mamy nadzieję, że będą one nadal dostarczane".

Doniesienia morskie

Rzecz zrozumiała, że w obszarze zainteresowania Anglików była marynarka wojenna. Z tego obszaru udało się ZWZ-AK zdobyć, a co ważniejsze – regularnie przesyłać niezwykle istotne dane. W 1942 r. informacje wywiadu morskiego oceniano w angielskiej admiralicji jako „niezmiernie wartościowe i bardzo wysoko ocenione". Podkreślano sprawność w udzielaniu odpowiedzi na dodatkowe zadawane pytania. Jednak Anglicy zwrócili uwagę, że wywiadowcy przesyłający informacje z terenu Gdyni i Gdańska nie znali zbyt dobrze zagadnień morskich. Zaproponowali więc KG AK nawiązanie bezpośredniej łączności pomiędzy Londynem i Gdynią.

W 1943 r. informacje morskie z terenu tych miast oraz rejonu Bałtyku były znacznie lepsze. Dla przykładu odnotowywano dokładne miejsca postoju, remonty, rejsy niemieckich okrętów wojennych, szczególnie tych jednostek, których Anglicy obawiali się najbardziej ze względu na potencjalne zagrożenie dla konwojów na północnym Atlantyku. W meldunku z 24 lipca 1942 r. Stefan Rowecki ps. Kalina meldował o obserwowanym przez wywiad AK od samego początku jego pobytu w Gdyni pancerniku „Gneisenau", że go: „przesunięto pod dworzec morski. Remont części pancernych zakończono, przystąpiono do remontu urządzeń wewnętrznych, robót pokładowych i przezbrojenia okrętu. Według niesprawdzonych informacji kaliber artylerii głównej podniesiono do 380 mm".

„Wywiad polski jest naszym najlepszym źródłem informacji [...] na wschodnim froncie. [...] Ogólnie mówiąc, meldunki stoją na bardzo wysokim poziomie i są uważane za ogromnie cenne"

Nie mogło umknąć uwadze wywiadu AK zawinięcie do Gdyni bliźniaczego pancernika „Scharnhorst", który był: „w okresie 17 VIII–14 IX dokowany i naprawiony na wodzie. 14–18 IX próbne wyjścia w morze, a od 19 IX stoi w basenie Piłsudskiego w stanie czynnym". „Kalina" podał również informację o słynnym lotniskowcu budowanym przez Kriegsmarine „Graf Zeppelin", który był „jeszcze bez dowództwa i obsady. W sierpniu przystąpiono do robót wewnątrz pokładowych i zbrojenia przeciwlotniczego". W meldunku z lipca 1943 r. podawano kolejną informację o pancerniku „Gneisenau", który jest „rozbrojony z artylerii ciężkiej i średniej w stanie niezdolnym do manewrowania, na postoju w basenie V u Wybrzeża Rumuńskiego". Podobnie dokładnie i często meldowano o obecności ciężkiego krążownika „Prinz Eugen", szkolnych pancerników „Schleswig-Holstein" i „Schlesien", a także lekkich krążowników „Emden", „Nürnberg" oraz o aktywności okrętów podwodnych, zarówno całych flotylli U-Bootów, jak i pojedynczych łodzi. Obserwacje dotyczyły również innych portowych miast, w tym m.in. Elbląga i stoczni Schichau, która budowała i remontowała stosunkowo duże jednostki w znaczącej liczbie. W lipcu 1942 r. stwierdzono w niej budowę siedmiu torpedowców uzbrojonych w trzy działa 75 mm, dwie wyrzutnie torped oraz broń maszynową. W Szczecinie komórka wywiadu AK meldowała latem 1942 r. o pobytach okrętów i statków handlowych oraz o pracy stoczni Oderwerke budującej wówczas trzy okręty podwodne i krążownik pomocniczy oraz stoczni Wulkanwerft, gdzie powstawały cztery okręty podwodne. Dane przesyłano również m.in. z Pilawy i Kłajpedy. Centrala przysyłała zadania w sprawie stoczni Schichau (Stadwerk) w Elblągu. Agent L-146 podawał, że w czerwcu 1944 r. w budowie na pochylniach były cztery torpedowce: T.5, T.15, T.16 i T.20. W kwietniu ukończono pierwszy torpedowiec T.22. Zameldował również, że stocznia ta w pierwszych miesiącach roku wykonała kadłuby dla 13 okrętów podwodnych, które zostały wysłane do Królewca (Königsberg).

Podobnie za okres od 1 czerwca do 31 grudnia 1942 r. przysłano zestawienie przygotowane przez Intelligence Service wraz z sugestiami poszczególnych zainteresowanych konkretnymi tematami angielskich ministerstw. Ogólna ocena pracy polskiego wywiadu w kraju była nadal bardzo wysoka. Szczególnie wysoko oceniono informacje o położeniu oddziałów niemieckich na froncie wschodnim uzyskane na podstawie wykazów rannych znajdujących się w szpitalach wojskowych na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Zarówno sami wywiadowcy, jak i analitycy II Oddziału zwiększali dokładność przekazywanych informacji. Wywiad angielski zwrócił uwagę na to, że informacje przesyłane na temat oddziałów niemieckich na froncie wschodnim zaczęły dotyczyć w II połowie 1942 r. wszystkich odcinków tego frontu. Docenili dane o stratach niemieckich na froncie wschodnim, o jednostkach SS w Rosji i o artylerii przeciwlotniczej w Polsce. Jednocześnie i tu zacytuję: „Wywiad polski dostarczył nam wspaniałych możliwości sprawdzenia ruchów wojsk pomiędzy Europą Zachodnią a frontem wschodnim". »

eprasa.pl fd463336a0



Amerykańskie bombowce B-17 bombardują wytwórnię nadtlenku wodoru w ośrodku doświadczalnym w Peenemünde

Wysoka ocena

Bynajmniej nie było tak, że Anglicy przyjmowali bezkrytycznie informacje z kraju. Za przykład niech posłuży ta przekazana z Polski w meldunku 545/14 o jednej z dywizji pancernych. Z Londynu bowiem odpisano: „Wątpimy, by jakaś dywizja pancerna znajdowała się w Holandii w ostatnim czasie, ale możliwe, że przeszła ona przez tamtejszy teren po drodze na wschód". Innym razem lekko nie dowierzali, że przesyłane przez wywiad AK „niezwykle cenne", szczegółowe wykazy ruchu miesięcznego wojsk niemieckich na front wschodni są „zgodne z prawdą". Jednocześnie stwierdzali, że o ile bardzo rzadko mieli możność je weryfikować i sprawdzać, o tyle wówczas przesyłane dane potwierdzały „kompletność i ścisłość wykazów ruchu". Z kolei zdarzało się, że przekazywane informacje były bezmyślnie publikowane w prasie, jak to się stało z listami żołnierzy niemieckich z frontu wschodniego, jakie wysłano w meldunku wywiadowczym nr 7/42 do Londynu. Zacytowano je z komentarzem, że zostały zdobyte przez polskie podziemie. Po tej ewidentnej wpadce zaordynowano wstrzymanie na jakiś czas akcji czytania niemieckich listów.

Jakie konkretne pytania zadawali Anglicy? Były one rzecz jasna rozmaitej natury. Od poziomu nadawania strategicznych kierunków zainteresowań, poprzez rzeczowe zagadnienia, aż do bardzo konkretnych szczegółów, niekiedy wręcz zaskakujących swoją dokładnością i naturą. Dla przykładu odnośnie do meldunku z 6/11 sierpnia 1942 r. ocenili jako bardzo ważne odpowiedzi na pytania: „Czy rzeczywiście miał miejsce tak duży odpływ na zachód wojsk z frontu północnego? Czy transporty te szły przez Pomorze? Dokąd? Pilnie sprawdźcie i podajcie". Pytania Anglików, np. przesłane 5 maja 1942 r. odnośnie do pancerników „Gneisenau" i „Scharnhorst", były następujące: „1. Kiedy będą gotowe do wyjścia oraz czy doznały jakichś dodatkowych uszkodzeń na skutek bombardowania brytyjskiego po przybyciu ich do Kiel? 2. Czy Gneisenau jest w Gdyni? Jeśli tak, podać dokładne jego umiejscowienie oraz dokładny opis stanu okrętu – czy w naprawie, szczegóły uszkodzeń i przewidywanie robót". Pod koniec 1942 r. dopytywali się nadal o remont „Gneisenau", lecz również o nowy krążownik w porcie oraz o stan prac na „Grafie Zeppelinie", w tym, czy lotniskowiec wychodził na próby morskie, ile i jakiego typu ma samoloty na pokładzie. Z kolei o zagrodach antytorpedowych zamykających port w Gdyni chcieli wiedzieć w 1942 r. w szczegółach: „1) rozmiary i rodzaj drutu, głębokość zanurzenia sieci i rozmiary oczek sieci, 2) czy miny są włączone do sieci, 3) czy jest jakieś urządzenie powodujące opadnięcie sieci i w ten sposób unieruchamiające okręt podwodny, 4) rodzaj pływaków i odległość między nimi". Z kolei angielskie Ministerstwo Lotnictwa chciało wiedzieć od wywiadu AK, ile poszczególnych typów samolotów jest naprawianych miesięcznie w zakładach na Okęciu? 14 października 1942 r. Intelligence Service przysłał do Polski zestaw pytań odnoszących się do urządzeń optycznych związanych najwyraźniej z noktowizją. Chcieli bowiem wiedzieć, czy Niemcy używają „aparatu podob-

47/1019/F

eprasa.pl fd463336a0

nego do reflektorów, którego światła nie widać gołym okiem", czy stosują kolorowe szkło, system zaciemniania świateł i generalnie były „pożądane wszelkie informacje dotyczące fotografowania nocnego w wojsku".

Intelligence Service wielokrotnie przysyłało zapytania o przemysł chemiczny, w tym m.in. o zakłady w Woldenburgu i Fallhammer, czy produkuje się tam benzynę syntetyczną czy tylko koks. Pytali również o sferę administracji, jak w październiku 1942 r., kiedy chcieli wiedzieć od wywiadu AK na temat Komitetu Niemieckich Armatorów. Generalnie z Anglii płynęło morze pytań: jakie lufy produkuje się w Hucie Baildon, jaki rodzaj granatów produkuje Huta Trzynieb, czy odczynnik podany w jednym z meldunków to Biumbisalphatet, w której fabryce buduje się kompletne samoloty Heinkel He 177, czy wojska stacjonujące na terenie Polski podlegają Feldkomendantur, czy jest stratosferyczna odmiana He 177 i czy w Mielcu budują części do He 177.

Dla wywiadu morskiego z uwagi na wielość informacji, jakimi dysponował wywiad AK, Anglicy przygotowali w grudniu 1942 r. kwestionariusz według ważności i pilności spraw. Może on zaskakiwać kolejnością: 1) aparaty podsłuchowe, 2) urządzenia zapalne min i torped, 3) opis trałów, 4) stan dyscypliny załóg okrętów, 5) czy są okręty podwodne poniżej 100 ton, 6) czy są w użyciu żywe torpedy, 7) jakie jest przeznaczenie okrętu Hanomag, 8) tonaż typów okrętów podwodnych poniżej 700 ton, 9) miny zakładane głębiej niż 75 m, 10) stan prac na pancernikach „Gneisenau", „Scharnhorst" i lotniskowcu „Graf Zeppelin", 11) lokacje i ruchy okrętów, 12) nazwiska kapitanów, 13) kolejność ważności portów: Kilonia, Gdynia, Wilhelmshafen, Szczecin, Hamburg i in.

Anglicy „ocenili, że poświęcenie tych oficerów [wywiadu AK] może służyć innym jako przykład i jesteśmy pewni, że nie będzie ono daremne". Jak wiemy, było nieco inaczej...

Podobnie „Rawa" przesyłał pytania od Sowietów. I tak ich sztab 20–21 maja 1942 r. prosił wywiad AK o dane na temat zgrupowań pancernych będących częścią armii uderzeniowych w różnych rejonach od Rygi do Odessy, czyli na całym praktycznie froncie. W tym samym czasie Intelligence Service pytało, czy Niemcy gromadzą szczepionki, względnie robią przygotowanie do wojny bakteriologicznej.

W jednej z ocen pracy wywiadowców z AK Anglicy napisali o ofiarach ponoszonych przez oficerów wywiadu w czasie swojej pracy. „Ocenili, że poświęcenie tych oficerów może służyć innym jako przykład i jesteśmy pewni, że nie będzie ono daremne". Jak wiemy, było nieco inaczej, a część z nich, która dotarła po wojnie do Anglii, szybko stała się niepotrzebną i bezużyteczną masą, którą trzeba było li tylko przysposobić i rozmieścić, parafrazując nazwę powołanej do tego struktury – Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. //

FOT. PHOTO BY NORTHCLIFFE COLLECTION/ANL/REX (10385222A)

POLSKIM OKIEM

Polityka i fauna



Ryszard Czarnecki

Animalizacja polityki nie dokonuje się poprzez porównywanie jednych polityków przez drugich polityków do świń, hien, tchórzy, węgorzy, żmij czy bydła. To politycy sami z siebie na symbole swoich partii wybierają... zwierzęta. I tak np. aż siedem partii z Kenii ma w swoim logo zwierzaki: od żyrafy przez wielbłąda, słonia, byka, aż po... rekina, koguta, baranka (nie barana!). Niewiele mniej animalistycznej fantazji wykazują Amerykanie: sześć ich partii ma zwierzęcych „patronów". Skądinąd zwierzęta wspólne dla USA i Czarnego Lądu to słoń i wielbłąd. Przecież nawet prezydent Donald Trump wywodzi się z republikanów, których symbolem jest właśnie słoń. Ale tenże najcięższy ssak patronuje również dwu partiom w Indiach – w tym najliczniejszym już państwie świata też aż sześć partii (jak w USA) odwołuje się do zwierząt. Słonie (w liczbie mnogiej, bo aż trzy) to symbol jednej z dwóch partii z RPA, które mają zwierzęta w logo. Ciekawe, że na Czarnym Lądzie, w Botswanie i RPA, właśnie niektóre partie polityczne odwołują się do krowy (ta z RPA jest nawet... fioletowa). Krowę – co prawda „świętą" – ma za patrona również jedna z partii w Nepalu (Rashtriya Prajatantra).

Z kolei w państwie, które gdy byłem dzieckiem, zwane było Cejlonem, a teraz zowie się Sri Lanką, ugrupowanie Nowy Front Demokratyczny odwołuje się do „symbolu nadziei", czyli... łabędzia. Tak jak w Ameryce symbolem demokratów jest osioł, a republikanów słoń – tak z kolei w Birmie paw to Narodowa Liga na rzecz Demokracji, a lew – mający symbolizować solidarność – to Birmańska Partia Rozwoju Solidarności.

Z kolei w Pakistanie mamy sokoła – symbolizującego siłę walki – z Ligi Muzułmańskiej oraz tygrysa z partii Nawaz Sharif.

W Indonezji dwie główne formacje też odwołują się do zwierząt: czerwony byk to Indonezyjska Demokratyczna Partia Walki oraz orzeł, nazywany Garuda Panchasila, symbolizujący nie tylko siłę i moc, ale też chwałę i... tolerancję religijną to Wielki Ruch Indonezji.

W Europie ta kreatywność jest skromniejsza, ale z drugiej strony tylko na Starym Kontynencie symbolem partii politycznej jest czerwona jeżatka (Wielka Brytania), gołębica (Cypr) czy kuna (Chorwacja). A w Polsce? Zwierzęta są w lesie i gospodarstwie, ale do polityki się nie mieszają... //

eprasa.pl fd463336a0



Jesteśmy Tatarami, ale przede wszystkim Polakami

*Marcin Wiśniarski rozmawia z **Dżennetą Bogdanowicz**, która w Kruszynianach prowadzi tradycyjną restaurację Tatarska Jurta i aktywnie działa na rzecz promocji kultury polskich Tatarów*

Kim się państwo czują?

Dżenneta Bogdanowicz: Jesteśmy Tatarami, ale przede wszystkim Polakami. W tym roku mija 620. rocznica osadnictwa Tatarów na ziemiach Rzeczypospolitej. Stało się to za sprawą wielkiego księcia litewskiego Witolda, który sprowadził tu naszych przodków. W Kruszynianach otrzymaliśmy nadanie ziemi z rąk samego króla Jana III Sobieskiego w 1679 r. Od tego momentu Tatarzy nieprzerwanie zamieszkują podlaskie wsie Kruszyniany i Bohoniki.

Nasi przodkowie przyjęli religię islamu jeszcze w XIV w., w czasach gdy osiedlali się na stepach. Wielki książę litewski Witold od początku wiedział, kim jesteśmy, i ceniąc nas oraz nasze umiejętności, osadził na swoich ziemiach. Co więcej, dał nam również przywileje, takie jak: zachowanie własnej religii, możliwość budowania meczetów, a mężczyznom tworzenia rodzin z tutejszymi Słowiankami.

Jak Tatarom współżyje się z Polakami słowiańskiego pochodzenia?

Nie ma to żadnego znaczenia. Wszyscy żyjemy tak samo. Jesteśmy równi. Mamy takie same radości i zmartwienia. Tu, na Podlasiu, mamy dobrych sąsiadów i przyjaciół, często różnych religii – prawosławnej, katolickiej i żydowskiej, ale zawsze wzajemnie sobie pomagamy i się wspieramy. To bardzo cieszy.

Jak rozumiem, są państwo dumni ze swojej tradycji?

Oczywiście, że jesteśmy dumni ze swoich tatarskich korzeni, tradycji i historii. Mój dziadek w czasie II wojny światowej wraz z gen. Andersem przeszedł cały szlak bojowy i walczył o Anglię. Był pilotem i oficerem Wojska Polskiego. Po wojnie wrócił, bo czuł, że tu, w Polsce, jest jego dom. Podobnie moja babcia – spędziła pięć lat

eprasa.pl fd463336a0



Fot. Michał Karpowicz

Dżenneta Bogdanowicz: Przyszliśmy tutaj ze stepów. Byliśmy pierwszymi muzułmanami na terytorium Rzeczypospolitej

na Syberii, ale udało jej się wrócić do ukochanego kraju. Jesteśmy dumni, że nasi przodkowie walczyli za ojczyznę. Jesteśmy Polakami pochodzenia tatarskiego, szanowanymi wśród społeczności, w której żyjemy. Ludzie coraz częściej interesują się naszą tradycją – kulturą, kuchnią, religią i w coraz większej liczbie przyjeżdżają do Kruszynian, Bohonik, aby się dowiedzieć, jacy jesteśmy, poznać naszą historię. Wielu gości, ku swojemu zaskoczeniu, odkrywa swoje tatarskie korzenie.

Czy to prawda, że Tatarzy są dobrymi gospodarzami?

Muszę panu powiedzieć, że dwa miesiące temu razem z mężem byliśmy na Kongresie Tatarów w Tatarstanie. Przyjechali tam Tatarzy z całego świata i wszyscy wspólnie braliśmy tam udział w wyborze władz. To, w jaki sposób zostaliśmy ugoszczeni, przeszło moje najśmielsze oczekiwania – na każdym kroku spotykaliśmy się z życzliwością – specjalnie dla nas przygotowano niesamowite pokazy artystyczne, wspólne wycieczki po Kazaniu, no i oczywiście wyśmienite jedzenie. Wszystko zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Podobnie jest u mnie w domu, gościom chcę dać jak najwięcej, aby zawsze czuli się najlepiej i dobrze nas wspominali – tak robię i takie wartości wpoiłam swoim dzieciom. Trzeba jednak powiedzieć, że ogólnie my jako Polacy jesteśmy dobrymi gospodarzami.

Czy Tatarzy mają jakiekolwiek związki z narodowościami arabskimi?

Tatarzy poza wyznaniem wiary nie mają za wiele wspólnego z narodowościami arabskimi; pochodzimy z ludów azjatyckich, a nie arabskich, mamy inne kulturę i tradycje.

Przyszliśmy tutaj ze stepów. Większość ludzi kojarzy islam z kulturą arabską, a tak nie jest. To prawda, że byliśmy pierwszymi muzułmanami na terytorium Rzeczypospolitej, ale na przestrzeni setek lat, walcząc w obronie Rzeczypospolitej na wojnach czy biorąc udział w powstaniach, Tatarzy pokazali dobitnie, jak bardzo można im zaufać. W większości była to drobna szlachta posiadająca niewielkie majątki.

Henryk Sienkiewicz w tym wypadku pokazuje nieprawdę.

Ponoć Sienkiewicz sam był Tatarem, a że kiedyś pewna Tatarka nie chciała wyjść za niego za mąż, to tak nas opisał – oczywiście jest to żart. My jako Tatarzy pokazujemy siebie takimi, jakimi jesteśmy na co dzień – normalnymi, dobrymi i życzliwymi ludźmi, obalając w ten sposób sienkiewiczowski stereotyp.

Tym bardziej że islam wyznawany przez Tatarów jest jednym z najłagodniejszych.

Tak jak inne religie islam ma wiele odłamów. Nasz tatarski islam rzeczywiście jest postrzegany jako łagodny – wszyscy wierzymy w tego samego Boga. Najważniejsze to być dobrym człowiekiem i nie robić krzywdy innym.

Skąd wywodzi się kuchnia tatarska?

To kuchnia bezpośrednio związana z mongolskimi podbojami Dżyngis Chana. Widać w niej także wpływy chińskie; pierogi pochodzą z Chin, a Tatarzy rozpowszechnili je w miejscach, w których się osiedlali.

Kuchnię tatarską ukształtował przede wszystkim stepowy klimat, w którym żyli Tatarzy, oraz prace, którymi się na co dzień trudnili. Nasze potrawy składają się z prostych, podstawowych składników, takich, których kiedyś było najwięcej i które były łatwe do zdobycia: ziemniaki, mięso, warzywa. To kuchnia treściwa i energetyczna.

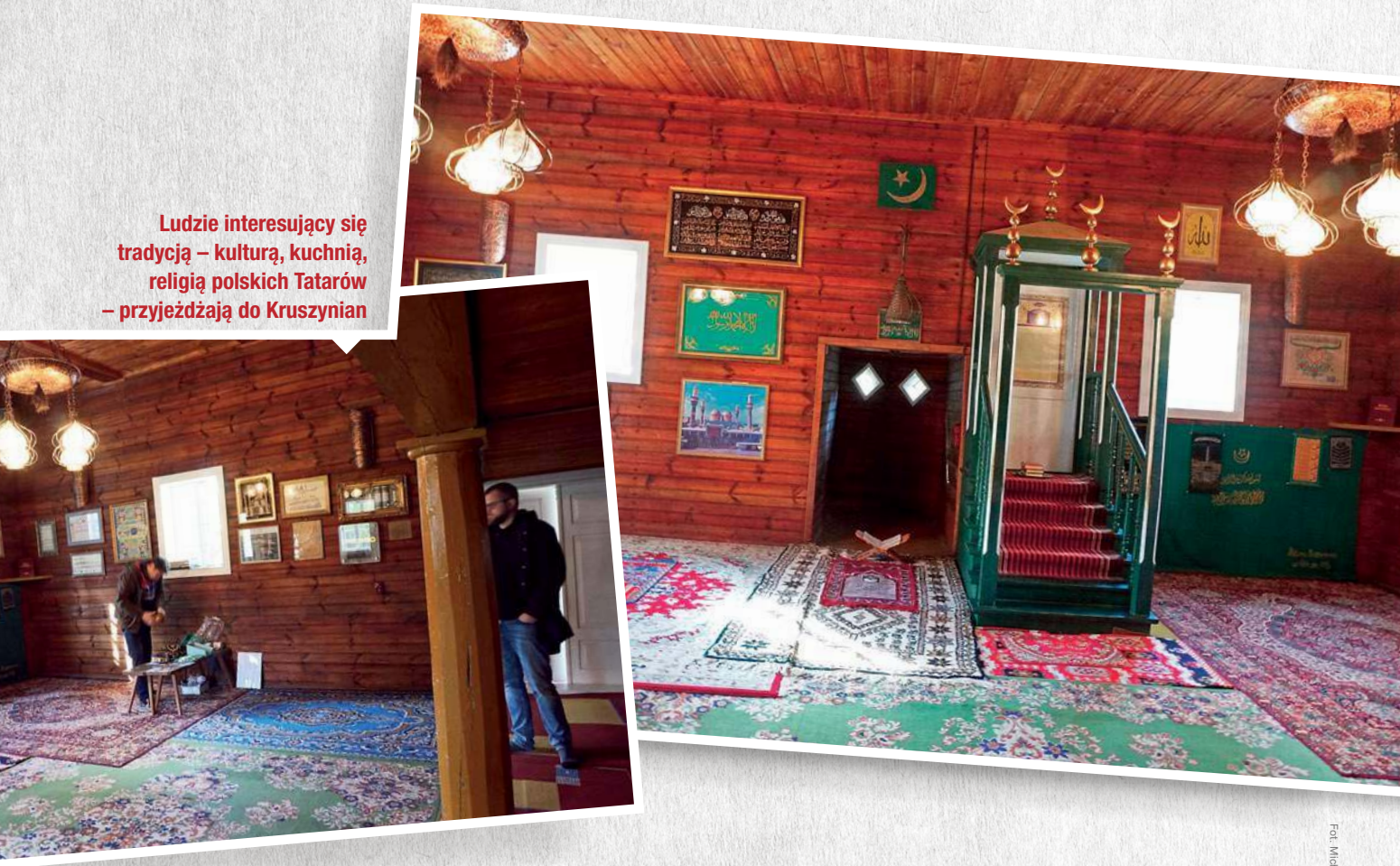
Tatarzy poza wyznaniem wiary nie mają za wiele wspólnego z narodowościami „arabskimi”; my pochodzimy z ludów azjatyckich, a nie arabskich, mamy inne kulturę i tradycje

Co to jest pierekaczewnik?

Pierekaczewnik to listkowane ciasto makaronowe z mięsem (najlepiej gęsiną), serem lub na słodko z jabłkami. Sposób jego przyrządzania jest pracochłonny – bardzo cieniutko rozwałkowane płaty ciasta przekłada się farszem, całość zwija w rulon, formuje się tzw. ślimaka i piecze około trzech godzin. To tradycyjna potrawa bajramowa (świąteczna) przygotowywana dwa razy w ciągu roku przy okazji świąt Id al-Adha – Kurban Bajram – święto ofiarowania, oraz Id al-Fitr – Ramadan Bajram – święto zakończenia postu w Ramadanie.

W 2009 r., po trzech latach starań, zarejestrowałam tę potrawę w Ministerstwie Rolnictwa jako potrawę tradycyjną i pierekaczewnik dostał unijne oznaczenie Gwarantowana Tradycyjna Specjalność. Chodziło mi o to, by promować nas, »

eprasa.pl fd463336a0



Ludzie interesujący się tradycją – kulturą, kuchnią, religią polskich Tatarów – przyjeżdżają do Kruszynian

Fot. Michał Karpowicz

›› Tatarów przez ów produkt i cieszyć podniebienia moich gości.

Co to są czebureki?
To duże pierogi z surowym mięsem i czosnkiem, które następnie są smażone na głębokim oleju. Jest to tradycyjna potrawa Tatarów krymskich. Farszem jest mięso baranie, wołowe lub drobiowe.

Proszę opowiedzieć o kołdunach.
Kołduny tatarskie to nasza potrawa narodowa – pierożki z farszem wołowo-baranim, gotowane w rosole, którym je podczas jedzenia popijamy. U Tatarów podczas świąt i ważnych uroczystości nie może zabraknąć kołdunów. Na początku były one tylko w naszych tatarskich domach, a dopiero później potrawę tę przejęli Litwini. Oni podają kołduny w rosole z czosnkiem i majerankiem. My, Tatarzy, nie dodajemy tych przypraw, a kołduny podajemy osobno – rosół jest w odrębnej czarce i służy do popijania.

Czy Tatarzy jedzą mięso z rytualnego uboju?
W naszej małej społeczności nigdy nie było czegoś takiego, aby Tatarzy musieli jeść mięso halal. Mówię w tym przypadku przede wszystkim za siebie i za swoją rodzinę. Kiedyś, gdy ludzie mieszkali na wsiach i hodowali swoje zwierzęta, mogli mieć mięso halal, ponieważ sami prowadzili ubój. Teraz czasy są zupełnie inne, a my jako Tatarzy ograniczamy się przede wszystkim do niejedzenia wieprzowiny.

Jakich przypraw używają Tatarzy?
W naszej kuchni używamy tylko podstawowych przypraw: soli, pieprzu, papryki, ziół. Korzystamy z przypraw oraz produktów lokalnych, które w zupełności wystarczają do tego, aby jedzenie było dobrze doprawione. Kuchnia tatarska to kuchnia tradycyjna i nie ma potrzeby stosowania zbyt wielu wyszukanych dodatków. Sama we własnym ogrodzie uprawiam świeże zioła, które potem wykorzystuję do przyrządzania potraw.

Kuchnia tatarska to też słodycze...
W kuchni tatarskiej jest bardzo dużo słodkości. Najważniejsze i najczęstsze, które przygotowuje się w domach, to bułeczki drożdżowe, czak-czaki (ciasteczka w miodzie) oraz halva – bardzo tradycyjna potrawa tatarsko-muzułmańska podawana z okazji świąt, składająca się z mąki, naturalnego miodu i masła. To od tej słodyczy wzięła się współczesna chałwa.

Czy Tatarom znany jest pilaw?
Oczywiście. Danie to charakteryzuje różne narody zamieszkujące Azję i każdy z nich ma swój przepis na tę potrawę. W moim domu także się go przyrządza. Podstawowe składniki pilawu to ryż lub kasza bulgur, warzywa, mięso oraz przyprawy. Pilaw to ulubiona potrawa moich wnucząt.

A napoje?
Jednym z moich ulubionych jest syte, czyli woda z naturalnym miodem, cytryną i odrobiną świeżej mięty. Podaje się go w czasie ważnych tatarskich świąt: ślubów, pogrzebów czy azanów (chrztów).

A wszystkich potraw, o których mówiliśmy, można spróbować w Kruszynianach, dokąd serdecznie zapraszam. //

47/1019/F

eprasa.pl fd463336a0



Fot. Andrzej Wiktor

O budowaniu Trójmorza, wzmacnianiu NATO i wspólnoty Zachodu oraz o zmianie układu sił w Europie z Pawłem Solochem, szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego, rozmawia Jakub Maciejewski

Są ośrodki, które chcą destabilizacji naszego kraju

Jeśli kraje Europy Środkowo-Wschodniej zyskują przychylność USA w rozmowach zarówno z niechętną sobie Rosją, jak i w negocjacjach z europejskimi partnerami, to wygląda to na geopolityczny przewrót – powstaje stabilny klin rozdzielający Rosję i Niemcy.

Paweł Soloch: Możemy mówić o przełomie, choć nie nazwałbym tego klinem, skoro Niemcy są – mimo pewnych kwestii spornych, np. projektu Nord Stream 2 – naszym sojusznikiem. Faktycznie, wzmocnienie wschodniej flanki NATO oraz idea wzmocnienia Europy Środkowej pomagają państwom naszego regionu uzyskać podmiotowość. Pokazał to m.in. szczyt warszawski, w którym występowaliśmy nie jako kraje drugiego szeregu, ale jako szpica NATO na wschodniej flance. Teraz mamy dyslokację wojsk NATO i amerykańskich oraz działania długofalowe, które umożliwią ich szybkie zwiększenie w razie nagłej potrzeby. Próbką tych możliwości będą manewry wojskowe Defender 2020 z udziałem 37 tys. żołnierzy, przede wszystkim USA.

W jaki sposób wzmacniamy wschodnią flankę NATO oraz Europę Środkową?

Są dwie inicjatywy rozwijane przez prezydenta Andrzeja Dudę. Pierwsza to Trójmorze, poświęcone współpracy polityczno-gospodarczej. Druga to inicjatywa bukaresztеńska, poświęcona sprawom bezpieczeństwa i gromadząca dziewięć krajów wschodniej flanki NATO: Polskę, Rumunię, Litwę, Łotwę, Estonię, Węgry, Słowację, Czechy i Bułgarię. Niektórzy europejscy partnerzy uważali, że takie formaty regionalne grożą ryzykiem rozłamu w obrębie Unii Europejskiej i Sojuszu Północnoatlantyckiego, ale nic takiego nie miało miejsca. Dzięki zaproszeniu przez prezydenta Dudę prezydenta Donalda Trumpa na spotkanie przedstawicieli Trójmorza, uzyskaliśmy poparcie USA dla tej inicjatywy. To z kolei spowodowało, że także UE zaczęła traktować ten projekt z większym uznaniem. Pojawiły się wręcz sygnały, że chciałyby do niego przystąpić nawet Niemcy. Z kolei inicjatywa bukaresztеńska pozwala na szybkie wypracowanie stanowiska państw wschodniej flanki wobec decyzji podejmowanych przez całe NATO. Mimo niekiedy różnych stanowisk państw wschodniej flanki, zazwyczaj i tak łatwiej nam tu o porozumienie niż z państwami europejskimi spoza od naszego regionu.

A jak wygląda kwestia bezpieczeństwa Polski i jej wschodnich sąsiadów?

Z Litwą i Ukrainą budujemy pozytywne relacje. Prezydenci Polski, Litwy i Ukrainy wspólnie obchodzili 450-lecie unii lubelskiej. Odwołanie się do wspólnego dziedzictwa jest

eprasa.pl fd463336a0

novum w naszych relacjach i wierzę, że stanie się pozytywnym precedensem.

Litwa okres Rzeczypospolitej ocenia jako niezbyt korzystny.

Ostatnio to się zmienia. Jeszcze w czasie prezydentury Dalii Grybauskaitė prezydent Duda podpisał z Litwą umowy strategiczne i wojskowe. Wreszcie Wilno i Warszawa potrafią ze sobą rozmawiać i przyznawać do wspólnych wartości. Czy nie o to zabiegał śp. prezydent Lech Kaczyński? Dzięki takim działaniom nasi zachodni partnerzy, jak Szwecja i Finlandia, zaczęli patrzeć na Polskę jako konstruktywny element bezpieczeństwa regionu, a więc także i ich samych.

> Spory z zaszłości to wygodne narzędzie w rękach autorów działań hybrydowych

Nasz podziw dla Rzeczypospolitej szlacheckiej nie jest tylko sentymentem?

Świadomość wspólnoty losu narodów dawnej Rzeczypospolitej, nie tylko w przeszłości, było widać podczas niedawnego pochówku powstańców styczniowych w Wilnie. Uczestnikami uroczystości byli nie tylko prezydenci Polski i Litwy, przedstawiciele Ukrainy i Łotwy, ale także przedstawiciele białoruskich władz oraz opozycji. Wszyscy oni uznali, że powstanie styczniowe skierowane przeciwko rosyjskiej opresji jest częścią wspólnego dziedzictwa. To fundament, na którym możemy budować nasze relacje.

Patrząc na naciski Kremla na Białoruś, można się obawiać, że niedługo zabraknie jednej części składowej tamtej wspólnoty.

Pamiętajmy, że Białoruś pozostaje w sojuszu, także militarnym, z Rosją. Bardzo uważnie obserwujemy proces integracji tych państw, który wydaje się spowalniany przez Mińsk. Takie wnioski można wyciągnąć z grudniowych rozmów w Moskwie. Polsce zależy na dobrych relacjach z Białorusią jako suwerennym państwem. Sytuacja jest rozwojowa.

Czyli mamy scenariusz na wypadek wchłonięcia Białorusi przez Rosję? Bo w czasach pańskiego poprzednika BBN i rząd były zaskoczone wypadkami na Ukrainie.

Zwracamy szczególną uwagę na to, by dysponować własnym oglądem sytuacji, a nie – tak jak w 2014 r. – ulegać perspektywie przedstawianej przez innych. Wtedy Zachód był zaskoczony aneksją Krymu i podobnie zaskoczona była Polska. Dziś zbudowaliśmy własne zdolności do zbierania informacji i tworzenia samodzielnych analiz. Jesteśmy bardziej samodzielni niż sześć lat temu, dzięki czemu na wypadek sytuacji kryzysowej mamy własne argumenty, aby przekonywać naszych sojuszników do podejmowania działań zgodnych z naszą perspektywą.

Brzmi to jednak tak, że my w Polsce będziemy mieli rozwiązania, gdy Rosja te rozwiązania już ma.

Nie zgodzę się. Przypomnę inicjatywę amerykańską, w której John Bolton, doradca prezydenta USA ds. bezpieczeństwa, odwiedziwszy Mińsk, Kijów i Kiszyniów, zaproponował formułę współpracy czterech doradców prezydenckich: USA, Polski, Białorusi i Ukrainy. Amerykańska aktywność dziś wyraża się m.in. w zapowiedzianej wizycie sekretarza stanu USA Marka Pompeo w tych państwach Europy Wschodniej. Nie jest to podkreślane w światowych mediach, ale prezydenci zarówno Zełenski, jak i Łukaszenka mają świadomość, że w zabiegach o swoją niezależność od Moskwy będą wspierani przez Zachód, przy aktywnym udziale Polski.

A jednak Moskwa nie ustępuje. Krym jest zajęty przez Rosję, a w Donbasie trwa wojna.

Rosja ekspanduje nie tylko tam. Jej obecność w Syrii zupełnie zmieniła sytuację geopolityczną na Bliskim Wschodzie, co widać także po próbach współpracy z Turcją. Pamiętajmy jednak, że to są specyficzne sukcesy, które Rosję kosztują być może więcej, niż przynoszą korzyści. Zamrożenie konfliktu w Donbasie oznacza koszty nie tylko dla Ukrainy, lecz także dla Rosji. Postępowanie Rosji wobec Ukrainy z pewnością ma wpływ na polityków białoruskich, którzy w relacjach z Moskwą wydają się bardziej ostrożni. Także konfrontacja Putina z Polską na gruncie polityki historycznej i głoszenie sowieckiej wersji II wojny światowej, w moim przekonaniu, wobec naszych argumentów i coraz skuteczniejszych działań jest skazana na fiasko.

Jednak moment „sprawdzam" odbędzie się podczas Światowego Forum Holokaustu w Yad Vashem organizowanego przez rosyjskiego oligarchę o żydowskich korzeniach.

Musimy być przygotowani na eskalację, ale nie jesteśmy bezbronni ani osamotnieni. Mamy swoje możliwości, a od naszych sojuszników oczekujemy zachowań sojuszniczych. Prowadzimy pracę w sposób ciągły, a nie od kryzysu do kryzysu. Liczymy, na to, że po uchwale Parlamentu Europejskiego oraz gestach poparcia, jakie otrzymaliśmy w grudniu, Putinowi nie uda się przekonać świata do swojej – niezgodnej z prawdą – narracji.

Jednocześnie nie ma nic prostszego w Europie jak wywoływanie nastrojów antyamerykańskich. Lewicowy establishment z jednej strony i ruchy pozornie konserwatywne z drugiej zazwyczaj wolą robić interesy z Rosją, a Amerykę nazywać agresywnym imperium.

Ostatnie spotkanie NATO w Londynie pokazało, że elity Unii Europejskiej doskonale zdają sobie sprawę, że bez Stanów Zjednoczonych nie uda się zapewnić bezpieczeństwa Europy. Aspiracje prezydenta Turcji Recepa Erdoğana albo deklaracje prezydenta Francji Emmanuela Macrona nie ułatwiają współpracy z USA, jednak na końcu dyskusji zwy-

eprasa.pl fd463336a0

cięża kompromis. Nasze doświadczenie wschodniej flanki NATO pozwala na szczególny optymizm. Po agresji Rosji na Ukrainę zaangażowanie USA jest tutaj większe niż gdzie indziej spośród państw Sojuszu. Na szczycie w Warszawie zadecydowano o rozmieszczeniu sił NATO w Polsce, dodatkowo USA podjęły decyzję o wysłaniu do Polski brygady pancernej, a po spotkaniach prezydentów Dudy i Trumpa podpisano umowy o dalszym zwiększaniu amerykańskiej obecności w naszym kraju.

Czy ta współpraca przetrwa ewentualną zmianę lokatorów w Białym Domu i w Pałacu Prezydenckim na Krakowskim Przedmieściu?

Nie mam wątpliwości, że tak. Zresztą dziś prezydent Trump, mimo wszczęcia procedury impeachmentu, cieszy się dużym poparciem. Także prezydent Duda ma silną pozycję w kraju i w mojej ocenie jego druga kadencja jest czymś absolutnie naturalnym. Pewien consensus co do tego, że to USA mają być gwarantem naszego bezpieczeństwa, pojawił się już w czasie rządów Jana Olszewskiego i choć ten nurt był – zwłaszcza po 2008 r. – osłabiany, to jednak nie był kwestionowany przez kolejne rządy. Podobnie w USA, mimo różnych odcieni polityki zagranicznej, to jednak zarówno republikanie, jak i demokraci są zgodni co do tego, że polityka rosyjska, z jaką mamy dziś do czynienia, jest zagrożeniem dla porządku międzynarodowego.

Jednak zabicie irańskiego gen. Sulejmaniego w Bagdadzie oraz pozorowany odwet irański zaniepokoiły polską opinię publiczną, a niektóre środowiska polityczne w Polsce uderzyły w nutę – znowu – antyamerykańską. Czy takie wpływanie na nastroje społeczne nie budzi pańskich obaw?

Musimy się liczyć z tym, że część emocji jest generowana przez ośrodki, które dążą do destabilizacji naszego kraju i osłabienia naszych więzi z NATO. Kilka dni temu internet obiegała informacja, jakoby w wyniku ostrzału w Iraku zginęli polscy żołnierze, co jest ukrywane przez rząd. Jest to oczywiście nieprawdą. Natomiast celem tych działań było budowanie poczucia niepewności oraz podważenie zaufania do władz.

Tak samo w każdej sytuacji, gdy pojawia się napięcie w relacjach polsko-ukraińskich, polsko-żydowskich, polsko-litewskich i innych, w tle zawsze widać rękę naszych przeciwników. Spory z zaszłości to wygodne narzędzie w rękach autorów działań hybrydowych. Jeżeli chodzi o niechęć do USA, to jest to zjawisko raczej marginalne. Polacy są bardzo prozachodnim, proeuropejskim i proamerykańskim społeczeństwem i ten ogólny kierunek naszej polityki, jak dotąd, nie był kwestionowany przez liczące się siły.

Zdaje się więc, że powtarzane od stu lat diagnozy o śmierci Zachodu rozbijają się o fakty.

Dobrze by było, aby ludzie Zachodu z większym przekonaniem umieli wskazywać podobieństwa, które ich łączą. Oczywiście różnice, zwłaszcza z polskiej perspektywy, mogą być dla nas dosyć irytujące. Głęboka sekularyzacja w wielu państwach prowadzi do tworzenia erzaców religii i wyszukiwania jakichś dziwnych proroków pokroju dziewczynki od ekologii, która wzbudza medialną histerię. Może nas też drażnić ta niechęć do uznawania korzeni chrześcijańskich, gdzie dla wielu poprawnych politycznie ludzi kłopotem jest napisać na kartce „Merry Christmas", więc zastępują to „season's greetings". Jednak tą wspólną wartością, którą dzielimy, jest na pewno podejście do wolności jednostki, która odbija się nawet w czymś tak oczywistym jak internet. U nas jest to element, owszem manipulowany, niedoskonały, ograniczany przez wielkie korporacje, jednak wciąż należący do sfery wolności człowieka. W niedemokratycznych systemach – nie wymieniając już oczywistych przykładów – jest to narzędzie kontroli, przedmiot manipulacji władz, towar ekskluzywny czy mechanizmem wywierania presji. Swoboda ekspresji i wolność słowa doprowadzają czasem do paradoksów, w których łatwiej jest wytykać wady i potępiać wartości własnej wspólnoty, niż wskazywać na jej zalety. Wobec systemów autorytarnych, milczących o swoich wadach, tworzy wrażenie słabości Zachodu, znacznie większej niż rzeczywista. Tymczasem chłodny osąd sytuacji pozwala wierzyć, że mimo ataków na tradycyjne wartości, presji politycznej poprawności i kryzysów tożsamościowych społeczeństw, Zachód nadal dysponuje ogromnymi zasobami do obrony swoich wartości.

REKLAMA



11/0120/F

eprasa.pl fd463336a0





Dwaj papieże: to nie film, to już życie

Zamieszanie wokół książki sygnowanej imieniem Benedykta XVI rodzi pytania o wzajemne relacje między obu papieżami. Ale pytań jest więcej. Najważniejsze dotyczy przyszłości kapłańskiego celibatu



GRZEGORZ GÓRNY

12 stycznia wieczorem na swej stronie internetowej „Le Figaro" zapowiedziało, że następnego dnia opublikuje sensacyjny materiał. Był to blok tekstów poświęconych książce napisanej wspólnie przez Benedykta XVI i kard. Roberta Saraha pt. „Z głębi naszych serc". Francuskie wydawnictwo Fayard powiadomiło, że premiera odbędzie się 15 stycznia.

Materiał zatytułowany „Benedykt XVI przerywa milczenie" wzbudził powszechne zainteresowanie w świecie katolickim, ponieważ po swej abdykacji w lutym 2013 r. papież emeryt unikał raczej publicznego zabierania głosu w sprawach dotyczących bieżących problemów Kościoła. Pisemnie zrobił wyjątek jedynie w dwóch kwestiach.

LITURGIA I KRYZYS MORALNY

W 2017 r. Benedykt XVI opublikował posłowie do książki „Moc milczenia" kard. Roberta Saraha z Gwinei. Papież emeryt podziękował w niej Franciszkowi, że w 2014 r. mianował afrykańskiego purpurata prefektem Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Chwaląc ten wybór, Joseph Ratzinger napisał: „Z kard. Sarahem liturgia jest w dobrych rękach".

Ku swemu zdziwieniu Benedykt XVI został za swój tekst ostro skrytykowany przez kilku wpływowych teologów i duchownych. Najmocniejszy atak wyszedł ze strony Andrei Grilla, nazywanego „liturgistą Domu św. Marty". Napisał on, że kard. Sarah jest niekompetentny w sprawach liturgii, a „jego dziwaczne teorie i surowość uniemożliwiają Kongregacji wykonywanie swej normalnej pracy", w związku z czym kwestie liturgiczne w Watykanie „należy powierzyć naprawdę w dobre ręce". Grillo dodał, że gwinejski dostojnik został nominowany przez Franciszka na prośbę swego poprzednika, jednak wybór okazał się „porażką". Według niego zmiana na stanowisku prefekta była przesądzona, dlatego tekst Benedykta należy odczytywać jako desperacką obronę stanowiska Saraha. Zdaniem Grilla interwencja Ratzingera ogranicza możliwość swobodnego sprawowania urzędu przez Franciszka, innymi słowy: wiąże mu ręce w sprawie zdymisjonowania afrykańskiego hierarchy.

Po raz drugi Benedykt XVI zabrał głos na początku 2019 r. Przygotował wówczas esej o źródłach kryzysu moralnego w Kościele z myślą o watykańskiej konferencji poświęconej pedofilii wśród duchownych. Ponieważ uczestnicy wydarzenia nie mogli się zapoznać z jego tekstem, postanowił opublikować go w bawarskim czasopiśmie „Klerusblatt". O ile zebrani w Rzymie główną przyczynę molestowania nieletnich upatrywali w „klerykalizmie", o tyle papież emeryt postanowił inną diagnozę. Jego zdaniem za kryzys odpowiedzialne jest przeniknięcie do wnętrza Kościoła postulatów rewolucji seksualnej. W tym kontekście wspomniał też m.in. o „homoseksualnych klikach".

I znów za swe pisemne wystąpienie został zaatakowany z wielu stron. Najmocniej uderzył najbardziej znany homolobbysta w Kościele, amerykański jezuita ks. James Martin, konsultor watykańskiego Sekretariatu ds. Komu-

Fot. napolitano/Shutterstock.com

Fot. vipflash/Shutterstock.com

eprasa.pl fd463336a0

nikacji, który wyraził swe rozczarowanie niskim poziomem merytorycznym tekstu Ratzingera.

WOŁANIE O CELIBAT

Obecnie Benedykt XVI zabrał głos po raz kolejny, publikując wspólnie z kard. Sarahem 175-stronicową książkę, będącą jedną wielką pochwałą kapłańskiego celibatu. Praca składa się z dwóch esejów: pierwszego napisanego przez papieża emeryta i drugiego przez gwinejskiego purpurata. Do tego dochodzą przedmowa i posłowie podpisane przez obu autorów. W publikacji znalazło się ponad 30 argumentów teologicznych, duszpasterskich i historycznych na rzecz bezżenności księży.

Data premiery nie była przypadkowa. W październiku 2019 r. podczas Synodu ds. Amazonii większość zgromadzonych biskupów zaapelowała o zniesienie obowiązkowego celibatu księży w tamtym rejonie świata. Główny odbiorca tego komunikatu, czyli Franciszek, zapowiedział, iż wkrótce ogłosi adhortację posynodalną, w której odniesie się do zgłoszonych postulatów. Wielu komentatorów spekulowało, że odpowie on pozytywnie na apel ojców synodalnych i zniesienie obowiązek bezżenności kapłanów, przynajmniej w regionie Amazonii. Książkę „Z głębi naszych serc" należy więc traktować jako wołanie do Franciszka, by pozostawił obowiązkowy celibat.

Już 13 stycznia, nim jeszcze praca ukazała się drukiem, doczekała się zmasowanej krytyki w mediach społecznościowych ze strony części komentatorów religijnych. Przedstawiali oni dzieło Benedykta jako akt wrogi wobec Franciszka i niedopuszczalną próbę wywierania na niego presji. Wypominano Ratzingerowi, że obiecał się ukryć przed światem i oddać modlitwie, a tymczasem zabiera publicznie głos. Wspomniany już ks. James Martin uznał, że papież emeryt tworzy „nauczanie równoległe, które może prowadzić do braku jedności" w Kościele. Austen Ivereigh (biograf Jorge Maria Bergoglia) napisał, że Benedykt XVI został zmanipulowany przez pozbawionych skrupułów dworzan i wykorzystany do ataku na Franciszka. Historyk Massimo Faggioli zasugerował wręcz, że Ratzinger jest obezwładniony przez swą świtę, należy więc wprowadzić prawo ograniczające możliwość działań papieża emeryta.

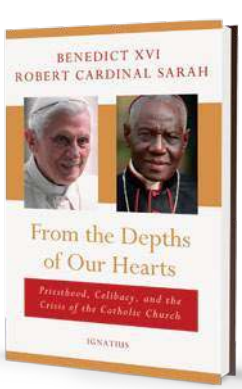
W odpowiedzi przytaczano głosy osób, które odwiedzały ostatnio Benedykta XVI i mówiły o tym, iż zachowuje świeżość umysłu oraz bacznie obserwuje rozwój sytuacji w Kościele. Kard. Sarah uznał z kolei za absurdalne insynuacje, jakoby książka była wymierzona we Franciszka.

Potwierdzeniem tego mogło być oświadczenie Biura Prasowego Stolicy Apostolskiej przywołujące wypowiedź Franciszka ze stycznia 2019 r.: „Przychodzi mi na myśl pewne zdanie św. Pawła VI: Wolę oddać życie, niż zmienić prawo dotyczące celibatu. [...] Osobiście uważam, że celibat jest darem dla Kościoła. Nie zgadzam się, by pozwolić na celibat opcjonalny: mogłaby jedynie pozostać taka możliwość w miejscach najodleglejszych – myślę o wyspach Pacyfiku [...], kiedy istnieje potrzeba duszpasterska, tam pasterz musi myśleć o wiernych".

ZAPRZECZENIE JAKO POTWIERDZENIE

14 stycznia wybuchła kolejna bomba. Osobisty sekretarz Benedykta XVI abp Georg Gänswein oświadczył, że papież emeryt nie jest współautorem książki kard. Saraha, w związku z czym zażądano wycofania imienia i fotografii Benedykta z okładki. Dodał, że Joseph Ratzinger nie zatwierdził decyzji o współautorstwie książki, a także nie widział ani nie autoryzował okładki. Nie on też miał być autorem przedmowy i posłowia.

W tym samym oświadczeniu abp Gänswein przyznał jednak, że esej zamieszczony w publikacji jest w 100 proc. autorstwa papieża emeryta i że podpisuje się on pod nim. Dlatego też kolejne edycje książki mają zostać opatrzone informacją, iż autorem jest „kard. Robert Sarah przy udziale Benedykta XVI".



W odpowiedzi gwinejski purpurat opublikował w internecie fotokopie swojej korespondencji z papieżem emerytem. Z czterech listów Benedykta XVI wynika jednoznacznie, że wiedział on doskonale o planach wydania książki i aprobował je, a praca była dziełem ich obu. Przedmowa i posłowie zostały co prawda napisane przez kard. Saraha, ale Benedykt przeczytał je i w pełni zaakceptował.

Wkrótce potem głos zabrał jezuita ks. Joseph Fessio, założyciel i redaktor naczelny Ignatius Press – największego wydawnictwa katolickiego w USA, niegdyś uczeń i bliski współpracownik Josepha Ratzingera. Oświadczył on, że nie usunie z okładki amerykańskiego wydania książki imienia Benedykta XVI, który jest rzeczywistym współautorem pracy.

W tej sytuacji rodzi się pytanie o rzeczywistą przyczynę zamieszania. Zazwyczaj dobrze poinformowany włoski watykanista Antonio Socci, powołując się na swe źródła za Spiżową Bramą, napisał, że książka wywołała wściekłość Franciszka, który wezwał do siebie abp. Gänsweina i nakazał mu usunięcie imienia Benedykta XVI z okładki. Tekst papieża emeryta znacznie ograniczył mu bowiem pole manewru w sprawie celibatu.

Abp Gänswein znalazł się w niezręcznej sytuacji jako podwładny dwóch przełożonych. Z jednej strony jest on bowiem osobistym sekretarzem Benedykta, a z drugiej prefektem Domu Papieskiego Franciszka. Sam papież Ratzinger nie miał jednak najmniejszego zamiaru wypierać się autorstwa swojego tekstu ani odwoływać tego, co napisał w obronie celibatu. Dlatego – jak pisze Socci – znaleziono kompromisowe wyjście: informację, że autorem jest kard. Sarah „przy udziale Benedykta XVI".

W całym zamieszaniu umyka jednak to, co najważniejsze, mianowicie treść książki. Ale prawdziwym post scriptum do niej stanie się oczekiwana adhortacja Franciszka. Wtedy poznamy jego decyzję w sprawie celibatu.

eprasa.pl fd463336a0



Dlaczego zestrzelono samolot?

W dobie wszechobecnych smartfonów trudno jest ukryć prawdę. Wkrótce po katastrofie ukraińskiego boeinga w internecie pojawiły się amatorskie filmiki pokazujące błyski na niebie oraz – chwilę po nich – gwałtowną eksplozję uderzającego o ziemię samolotu. Opublikowano też zdjęcia, na których obok szczątków rozbitej maszyny można było zauważyć dziwne elementy, które eksperci rozszyfrowali jako fragmenty rakiety przeciwlotniczej. Nie można było już dłużej zaprzeczać, że maszynę zestrzelono. Wciąż jednak nie jest jasne, dlaczego do tego doszło



KONRAD KOŁODZIEJSKI

O świcie 8 stycznia boeing 737 ukraińskich linii lotniczych UIA szykował się do startu z lotniska Imama Chomeiniego w Teheranie. Na pokładzie samolotu znajdowało się 176 osób – wśród nich 15 dzieci. Wśród podróżujących najwięcej było Irańczyków i Kanadyjczyków. Maszyna przyleciała do Teheranu wkrótce po północy. Powrót do Kijowa opóźniał się z powodu zamknięcia przestrzeni powietrznej. Tej samej nocy armia irańska dokonała bowiem ataku rakietowego na amerykańskie bazy wojskowe w Iraku.

Ostatecznie lot PS 752 wystartował o godz. 6.12 czasu lokalnego, a więc

eprasa.pl fd463336a0



Fot. Ahmad Halabisaz/Xinhua/EastNews

z ponadgodzinnym opóźnieniem. Załogę stanowili doświadczeni piloci, którym dodatkowo towarzyszył instruktor. Zdaniem niektórych źródeł jego obecność wynikała z trudnych warunków pilotażowych w rejonie Teheranu, inne informacje wskazują po prostu, że podczas feralnego lotu załoga przechodziła okresowy, rutynowy test.

Boeing zaczął się wznosić w kierunku północno-zachodnim. Pomimo panujących jeszcze ciemności pogoda była bardzo dobra, a widoczność znakomita. Maszyna była prawie nowa, wyprodukowano ją w 2016 r. i dostarczono bezpośrednio na Ukrainę. Dwa dni wcześniej samolot przeszedł okresowy przegląd techniczny i był w pełni sprawny.

Kilka minut po starcie, gdy maszyna znalazła się na wysokości 2400 m, niespodziewanie utracono z nią kontakt. Wkrótce potem potwierdziły się najgorsze przypuszczenia. Samolot w początkowo niejasnych okolicznościach spadł na ziemię i gwałtownie eksplodował. Nie było szans na odnalezienie kogokolwiek żywego.

Świadkowie katastrofy mówili, że w chwili uderzenia samolotu o ziemię zatrzęsły się wszystkie domy w okolicy. Początkowo myślano, że przyczyną oślepiającego błysku i huku była eksplozja amerykańskiej rakiety. Jednak porozrzucane wszędzie płonące strzępy samolotu rozwiały jakiekolwiek wątpliwości.

> Ukraińska maszyna była dziewiątym z kolei samolotem, który feralnego poranka wystartował z teherańskiego lotniska. Dlaczego więc to ona wzbudziła takie podejrzenia irańskich artylerzystów?

KŁAMSTWO W ŻYWE OCZY

Władze Iranu natychmiast po katastrofie ogłosiły, że spowodowała ją awaria silnika. Ta dość szybka reakcja wzbudziła podejrzenia, zwłaszcza że szczątki samolotu ciągle jeszcze dymiły na przedmieściach Teheranu i trudno było się autorytatywnie wypowiadać na temat przyczyn tragedii. Dodatkowo ambasada Ukrainy w Teheranie usunęła komunikat potwierdzający wersję o problemach z silnikiem. Władze Ukrainy podjęły też natychmiast decyzję o zawieszeniu wszelkich lotów do Iranu. Co ciekawe, taką samą decyzję podjęły zaprzyjaźnione z Iranem władze rosyjskie.

Kierownictwo linii UIA zapewniło, że samolot był w pełni sprawny, a załoga miała duże doświadczenie. Boeing wznosił się płynnie w górę, a piloci nie meldowali o żadnych problemach z maszyną. Coraz więcej poszlak świadczyło więc o tym, że nie była to awaria silnika. Zwłaszcza że władze Iranu odmówiły początkowo wydania czarnych skrzynek samolotu i dopuszczenia do dochodzenia nad przyczynami katastrofy doświadczonych śledczych z amerykańskiego biura bezpieczeństwa transportu – NTSB. Wprawdzie Iran i Stany Zjednoczone znajdują się na stopie wojennej, ale – niezależnie od tego – ogólnie przyjętą praktyką w świecie jest uczestnictwo ekspertów z kraju producenta samolotu, który uległ katastrofie. Oczywiście pod warunkiem, że rzeczywiście chce się dotrzeć do prawdy. A co do tego nie było żadnej pewności. Wręcz przeciwnie. W przekazach telewizyjnych z miejsca katastrofy można było dostrzec buldożer, który spychał szczątki samolotu, co wzmogło podejrzenia, że Iran chce się pozbyć ważnych dowodów.

Wtedy, najpierw w arabskich, a potem w światowych mediach, pojawiły się pierwsze doniesienia o zestrzeleniu samolotu przez irańską obronę przeciwlotniczą. Wiele na to wskazywało. Po pierwsze, samolot rozbił się zaledwie kilka godzin po odwetowym ataku Iranu na amerykańskie bazy w Iraku. A zatem mogła wchodzić w rachubę pomyłka Irańczyków, którzy wzięli maszynę cywilną za wrogi samolot. Po drugie, tor lotu samolotu oraz brak jakichkolwiek meldunków ze strony pilotów dowodziły, że do wypadku doszło w sposób nagły.

Pomimo to jeszcze w piątek szef irańskiej Organizacji Lotnictwa Cywilnego Ali Abedzadeh zarzekał się, że „rzeczą, która jest dla nas jasna i którą możemy z całą pewnością potwierdzić, jest to, że ten samolot nie został trafiony rakietą". A rzecznik irańskiego rządu Ali Rabiei oskarżał Stany Zjednoczone i ich sojuszników o „kłamstwa i prowadzenie wojny psychologicznej" w sprawie przyczyn katastrofy.

DOWÓD ZE SMARTFONA

Jednak w dobie wszechobecnych kamer samochodowych i smartfonów trudno jest ukryć prawdę. Wkrótce w internecie

eprasa.pl fd463336a0

pojawiły się amatorskie filmiki pokazujące błyski na niebie oraz – chwilę po nich – gwałtowną eksplozję uderzającego o ziemię samolotu. Opublikowano też zdjęcia, na których obok szczątków rozbitej maszyny można było zauważyć dziwne elementy, które eksperci rozszyfrowali jako fragmenty rosyjskiej rakiety przeciwlotniczej systemu Tor, w które uzbrojony jest Iran. Przełomem był film zamieszczony przez dziennik „The New York Times", na którym było widać pocisk szybko zmierzający w stronę samolotu, a chwilę potem błysk ognia na nocnym niebie.

Nie można było już dłużej zaprzeczać, że maszyna została zestrzelona. Wersję zestrzelenia, jako najbardziej prawdopodobną, potwierdzali też eksperci lotniczy oraz służby specjalne państw zachodnich. „Mamy dane wywiadowcze z wielu źródeł, w tym od naszych sojuszników i z własnego wywiadu. Dowody te wskazują, że samolot został zestrzelony przez irański pocisk ziemia-powietrze. To mogło być niezamierzone" – powiedział premier Kanady Justin Trudeau na konferencji prasowej zwołanej 9 stycznia w Ottawie. Wśród ofiar katastrofy znalazło się 57 obywateli Kanady.

Ostatecznie 11 stycznia, a więc trzy dni po katastrofie, Iran – dostrzegając najwyraźniej bezcelowość dalszych zaprzeczeń – przyznał się do „omyłkowego" zestrzelenia ukraińskiego samolotu. Władze w Teheranie wystosowały do Kijowa przeprosiny i prośbę o wybaczenie. Zapewniono też, że winni zostaną ukarani.

INTRYGA? ALE CZYJA?

Czy jednak rzeczywiście zestrzelenie było „omyłkowe" – jak twierdzą władze Iranu? Tutaj pojawia się wiele pytań, na które na razie nie ma odpowiedzi.

Oficjalnie Irańczycy przyznali, że zestrzelenie samolotu było spowodowane „ludzkim błędem" po tym, jak maszyna przeleciała nad „wrażliwym miejscem" należącym do Korpusu Strażników Rewolucji – formacji powołanej w 1979 r. przez ajatollaha Chomeiniego do walki z „wrogami rewolucji islamskiej". To właśnie oddziałami specjalnymi Korpusu dowodził zabity 3 stycznia w Bagdadzie przez Amerykanów generał Kasem Sulejmani. Jak stwierdzono, ukraiński liniowiec został pomyłkowo wzięty przez załogę baterii przeciwlotniczej za „samolot wroga".

Dowódca sił lotniczych Korpusu Strażników Rewolucji generał brygady Amir Ali Hajizadeh, mający pod swoimi rozkazami jednostkę, z której wystrzelono pociski, potwierdził w rozmowie z dziennikarzami, że samolot strącono pociskiem krótkiego zasięgu. Takim jak rakieta Tor, której szczątki znaleziono obok rozbitego samolotu. Wystrzeliwane z mobilnych wyrzutni rakiety tego systemu mkną do celu z potrójną prędkością dźwięku. Zdaniem ekspertów prawdopodobieństwo zniszczenia samolotu przy użyciu tej rakiety wynosi od 92 do 95 proc.

> Tor lotu ukraińskiego boeinga i jego ścieżka wznoszenia świadczyły o tym, że jest to samolot, który wystartował z lotniska w Teheranie. A zatem trudno mówić o pomyłkowym zestrzeleniu

Zdaniem generała załoga baterii rakiet przeciwlotniczych pomyliła boeinga z „pociskiem manewrującym". Generał zapewnił, że wojskowi próbowali się skontaktować z załogą samolotu pasażerskiego i czekali na jego odpowiedź przez 10 sekund, a dopiero potem zdecydowali się otworzyć ogień. Dodał również, że przed katastrofą została złożona prośba o strefę zakazu lotów w tym rejonie, ale została ona jakoby odrzucona.

Pomimo tych wyjaśnień wiele rzeczy nadal nie trzyma się kupy. Trudno zrozumieć, w jaki sposób załoga baterii rakiet mogła pomylić ukraińską maszynę z pociskiem manewrującym. Można byłoby w ostateczności przyjąć takie wyjaśnienia, gdyby chodziło o samolot nadlatujący i zniżający się w stronę lotniska. Jednak w tym przypadku zarówno tor lotu ukraińskiego boeinga, jak i jego ścieżka wznoszenia świadczyły wyraźnie o tym, że jest to samolot, który właśnie wystartował z położonego nieopodal lotniska w Teheranie. A zatem nie może być mowy o wrogim ataku. Nieprzekonujące są też zapewnienia o próbie skontaktowania się z namierzonym samolotem.

Dodatkowo, jak wynika ze strony Flightradar24, ukraińska maszyna była dziewiątym z kolei samolotem, który feralnego poranka wystartował z teherańskiego lotniska (bezpośrednio przed nią w powietrze wzbił się samolot rosyjskiego Aeroflotu). Dlaczego więc to właśnie ona wzbudziła takie podejrzenia irańskich artylerzystów?

Z innego filmu zamieszczonego w internecie wynika ponadto, że w stronę ukraińskiego samolotu wystrzelono aż dwie rakiety. Po uderzeniu pierwszej z nich w cel odpalono jeszcze drugą, która ostatecznie strąciła płonący samolot na ziemię. Zatem zrobiono to prawdopodobnie z pełną świadomością. Piloci nie byli nawet świadomi tego, co się stało.

Niejasna jest też kwestia zakazu lotów, o którą mieli jakoby wnioskować dowódcy. Faktem jest, że lotnisko wznowiło starty na ranem, gdy zakończyły się irańskie ataki na amerykańskie bazy. Pojawia się więc pytanie, kto i dlaczego podjął decyzję o wznowieniu lotów?

Niewykluczone, że odpowiedź na to i inne pytania kryje się za kulisami frakcyjnych walk wewnątrz irańskiego reżimu. Być może ktoś z wnętrza irańskich elit chciał wykorzystać katastrofę do zaognienia sytuacji. I zestrzelenie samolotu było świadomą decyzją obliczoną na wywołanie określonych skutków.

Jak na razie głównym skutkiem, poza śmiercią 176 niewinnych osób, były rozruchy, do których doszło w Teheranie i w innych miastach Iranu po przyznaniu się władz irańskich do zestrzelenia maszyny. Demonstranci wznosili hasła przeciwko Korpusowi Strażników Rewolucji, którego jednostka strąciła samolot, na którego pokładzie – według oficjalnych danych – znajdowało się 82 obywateli Iranu.

eprasa.pl fd463336a0

Bunt królewskich milenialsów



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Książę i księżna Sussex ogłosili, że rezygnują z pełnienia obowiązków w brytyjskiej rodzinie królewskiej. Zamiast promować monarchię, wolą promować samych siebie. Wywołało to spore poruszenie w brytyjskich mediach. Jedni oskarżają Harry'ego i Meghan o to, że są narcystycznymi milenialsami, niszczącymi monarchię, drudzy krzyczą o rasizmie, który miał wyprzeć „ciemnoskórą księżną" z pałacu Buckingham



Brytyjska rodzina królewska to bez wątpienia najpopularniejsza monarchia na świecie. Media żyją doniesieniami o romansach, skandalach i nowych potomkach królewskiego rodu. Narodziny kolejnego royal baby, czyli trzeciego dziecka księcia Williama i księżnej Kate 23 kwietnia 2018 r., skutecznie przyćmiły zacięty bój o życie dwuletniego Alfiego Evansa, toczący się w tym samym czasie w szpitalu Alder Hey w Liverpoolu. Brytyjczycy kochają i nienawidzą swoich royalsów: kochają, gdy udaje im się godnie reprezentować kraj, nienawidzą, gdy któryś z nich znów się zbłaźni. Jak ulubiony syn królowej Elżbiety II książę Andrzej, który w listopadzie ub.r. wycofał się z życia publicznego po wywiadzie dla BBC, w którym nieudolnie tłumaczył swoją przyjaźń ze zmarłym w 2019 r. amerykańskim finansistą i pedofilem Jeffreyem Epsteinem oraz przekonywał, że nie wykorzystywał na początku lat 2000 seksualnie 17-letniej wówczas Virginii Roberts, podopiecznej Epsteina. W wywiadzie wypadł fatalnie, kluczył, plątały mu się daty i okoliczności. Media były bezlitosne. Zaledwie kilka dni później, by ratować nadszarpnięty wizerunek rodziny królewskiej, książę Andrzej usunął się w cień.

Fot. RobynCharney/Shutterstock.com

BRYTYJSKA WERSJA KARDASHIANÓW?

Minęło zaledwie kilka miesięcy i kolejny cios: ukochany wnuk królowej i jego żona nie chcą być już częścią dobrze naoliwionej maszyny Windsorów. Znudziło im się ściskanie tysięcy rąk, otwieranie domów spokojnej starości, zmaganie się z brukowcami negatywnie nastawionymi do 38-letniej wybranki Harry'ego, byłej serialowej aktorki zza oceanu. Od żmudnych obowiązków pod surowym okiem Elżbiety II i brytyjskich brukowców wolą celebryckie życie w USA. Harry i Meghan starannie zaplanowali swój krok. Uruchomili wcześniej własną stronę internetową (sussexroyal.com), prowadzoną przez kanadyjską agencję PR, na której tłumaczą, jak chcą stać się niezależni finansowo od Windsorów, oraz ogłaszają nową strategię medialną, która ma im zapewnić pozytywny wizerunek. Harry nieraz wskazywał na „rasistowski podtekst" doniesień prasowych o jego żonie na Wyspach oraz skarżył się na intensywne zainteresowanie mediów, które jego zdaniem kosztowało życie jego matki, księżnej Diany.

Elżbieta II wydawała się zaskoczona decyzją swojego wnuka, choć osoby związane z księciem Harrym, np. prezenter telewizji ITV Tom Bradby, zapewniają, że królowa o niej wiedziała. Bądź jak bądź po kryzysowym posiedzeniu rodzinnym w posiadłości Sandringham w hrabstwie Norfolk, na którym zabrakło Meghan, Elżbieta II wydała deklarację, w której wyraziła „pełne poparcie dla pragnienia Harry'ego i Meghan, którzy chcą rozpocząć nowe życie jako młoda rodzina". „Chociaż wolelibyśmy, aby pozostali pełnoetatowymi członkami rodziny królewskiej, szanujemy i rozumiemy ich pragnienie prowadzenia bardziej niezależnego życia, pozostając jednocześnie cenioną częścią mojej rodziny. Harry i Meghan dali jasno do zrozumienia, że w nowym życiu nie chcą być zależni od środków publicznych. Uzgodniono zatem, że nastąpi okres przejściowy, w którym para książęca Sussex będzie spędzać czas w Kanadzie i Wielkiej Brytanii" – napisała w oświadczeniu Elżbieta II. Nie wiadomo, czy para książęca zachowa swoje tytuły, pewne jest za to, że nadal – co najmniej przez jakiś czas – będzie mogła czerpać zyski z przynależności do rodu Windsorów, a jednocześnie podbijać świat. Mowa jest o nowej fundacji charytatywnej i lukratywnych kontraktach w Hollywood. W końcu brytyjska rodzina królewska to firma, i to firma przynosząca ogromne zyski. W lipcu 2019 r. Harry i Meghan zarejestrowali siebie jako markę. Tyle że na końcu okresu przejściowego, jeśli wnuk Elżbiety rzeczywiście zdecyduje się przeciąć więzi łączące go z rodziną, Sussexowie wymkną się spod kontroli królowej. Jeśli Meghan i Harry chcą być nową brytyjską wersją Kardashianów, przekonują eksperci, a ich zdaniem wszystko na to wskazuje, to głowa brytyjskiego państwa oraz Commonwealthu będzie miała poważny problem.

> Meghan jest porównywana z Wallis Simpson, amerykańską rozwódką, która doprowadziła 80 lat temu do abdykacji Edwarda VIII. Markle także jest Amerykanką i rozwódką

POWTÓRKA Z PRZESZŁOŚCI

Nie umknęło to brytyjskim mediom, szczególnie tym konserwatywnym, stającym na straży tradycji. Porównują oni Meghan z Wallis Simpson, amerykańską rozwódką, która doprowadziła 80 lat temu do abdykacji Edwarda VIII. Markle także jest Amerykanką i rozwódką. Tyle że Harry nigdy nie miał szans na to, by być królem – jest szósty w kolejce do tronu. Niemniej jednak porównania nasuwają się same. Mariaż z Hollywood Windsorom nie wyszedł wówczas na dobre i teraz nie jest inaczej.

Tabloidy na Wyspach nie mogą także wybaczyć Meghan tego, że jest politycznie poprawna do bólu i zamiast starać się porozumieć z mediami, zasypuje je pozwami. Wielu komentatorów obwinia ją za obecną sytuację, oskarżając ją o to, że sprowadza Harry'ego, „popularne i trochę naiwne enfant terrible monarchii", na manowce. „Daily Mail" nazywa ją „Me-Me-Meghan" oraz „trudną księżną" (difficult duchess). Inni widzą w decyzji pary książęcej pokoleniową zmianę. Meghan i Harry to ich zdaniem typowi milenialsi, płaczliwi, roszczeniowi, skupieni na sobie i niezdolni do poświęcenia koniecznego, by pełnić funkcję członka rodziny królewskiej. Brytyjski dziennikarz telewizyjny i publicysta Piers Morgan przekonuje w „Daily Mail", że Meghan i Harry to para samolubnych, roszczeniowych pseudo-Kardashianów, którym należy odebrać wszystkie tytuły, zanim „zniszczą monarchię". „Byłem nieraz świadkiem haniebnych królewskich wygłupów, ale nikt w arogancji, roszczeniowości, chciwości i braku szacunku nigdy nie dorównał księciu i księżnej Sussex. Podsumowując: chcą przestać być członkami rodziny królewskiej z wszystkimi związanymi z tym obowiązkami. Innymi słowy, chcą być superpostępowymi celebrytami, zachować wszystkie przywileje, pozbywając się nudnych obowiązków. Chcą blasku, przepychu i olbrzymiego bogactwa... po prostu nie chcą na nie zarobić. Co za żałosny żart" – pisze Morgan. Według publicysty księżna Sussex to „manipulantka, wspinająca się bezwzględnie po drabinie społecznej, która wniknęła w serce księcia, by zniszczyć wszystko, co kiedyś tak kochał". „Spowodowała spór między Harrym a Williamem. [....] A teraz oderwała go od jego ukochanej babci, królowej. Pozbądź się tych jęczących, egocentrycznych pijawek, droga Pani (królowa Elżbieta – red.) – zanim będzie za późno" – apeluje publicysta.

Kto ogląda serial „The Crown", wie, w jak dużym stopniu poczucie obowiązku Elżbiety II wynika ze „zdrady" Edwarda VIII. Jej ojciec Jerzy VI zmarł przedwcześnie, przejmując obowiązki, których on się zrzekł. Królowa przeżyła wiele kryzysów, w tym II wojnę światową, a jej wnuki nie potrafią sobie nawet poradzić z prasą plotkarską.

eprasa.pl fd463336a0

W podobny ton uderza redaktor naczelny portalu „Spiked" Brendan O'Neill. Według niego Meghan Markle to poprawna politycznie wersja Wallis Simpson, bredząca o śladzie węglowym, przemieszczająca się jednocześnie samolotami po całym globie. „H&M, najbardziej poprawni członkowie rodziny królewskiej w historii, odrywają się od niej, aby móc sprzedawać jeszcze więcej poprawnych politycznie głupot plebsowi, nie musząc się martwić o to, że otrzymają telefon od sekretarza prasowego Jej Królewskiej Mości przypominającego im o tym, że nie są wywyższającymi się moralnie (virtue signalling) hollywoodzkimi gwiazdami" – przekonuje O'Neill. Megxit, jak nazywana jest decyzja książęcej pary, to jego zdaniem „znak czasów". W końcu Harry i Meghan to milenialsi, narcystyczni i płaczliwi. „Pokazuje to fundamentalną niezgodność współczesnej kultury narcyzmu z wartościami, takimi jak poczucie obowiązku, lojalność i samozaparcie, tradycyjnie związanymi z życiem królewskim. Do kogoś takiego jak Meghan, wywodzącej się ze świata celebryckiego i postrzegającej siebie jako ucieleśnienie poprawnych politycznie cnót, życie w brytyjskiej monarchii nigdy nie będzie pasowało. Członkowie rodziny królewskiej mają, przynajmniej pozornie, być bezinteresowni, rozpłynąć się w koronie. Wygląda na to, że stanowi to problem dla młodszych członków rodziny królewskiej, zwłaszcza nowo przybyłej Meghan, ale także dla Harry'ego. Ich bezprecedensowe »wycofanie się« i furia, którą rzekomo wywołało to w Pałacu, sugerują kult autopromocji, który Meghan i inni cnotliwi celebryci ucieleśniają. Tyle że nie działa to w instytucji, której ideałem jest królowa: bezstronna, ukrywająca emocje, obowiązkowa i nastawiona na trwałość" – podkreśla redaktor naczelny „Spiked".

CO Z MONARCHIĄ?

Brytyjczycy od lat zastanawiają się nad tym, co się stanie, gdy królowa Elżbieta II umrze. Zastąpić ma ją jej syn, książę Karol, którego mało kto na Wyspach wyobraża sobie z koroną na głowie. W końcu to czołowy skandalista rodu Windsorów, egocentryczny i niepopularny. Wielu Brytyjczyków wciąż obwinia go za nieszczęśliwe i zbyt krótkie życie „królowej serc", księżnej Diany. Jest sztywny, ma rubaszne poczucie humoru i od ciężkiej pracy woli grę w polo. Lubi także wygłaszać długie i męczące mowy o torebkach plastikowych i deskach sedesowych. Podczas jednego ze szczytów Commonwealthu zszokował zebranych gości, a przede wszystkim królową, mówiąc do niej per mamusiu. Ponadto rozmawia z roślinami i każe sobie prasować sznurówki. W 1992 r. brytyjskie służby nagrały rozmowę Charlesa i Camilli, podczas której następca tronu wyznał swojej ówczesnej kochance, że „chciałby być jej tamponem". Wywołało to jeszcze większy skandal niż nieślubne dziecko męża córki królowej księżniczki Anny – Marka Phillipsa. Skandale to chleb powszedni Windsorów, ale książę Karol na tronie to dla wielu Brytyjczyków gorsze niż wszystkie negatywne skutki brexitu razem wzięte. Oznacza to bowiem Camillę w roli królowej. A to jest dla wielu mieszkańców Wysp, wciąż związanych emocjonalnie z Dianą, trudne do przełknięcia. Ich jedyną nadzieją jest to, że królowa jeszcze pożyje. A królem zostanie zamiast Karola książę William. Matka królowej żyła w końcu 101 lat. Nie, żeby Karol się specjalnie kwapił do roli monarchy. Podobnie zresztą jak pozostali z rodu. Rola króla to ok. 3 tys. spotkań rocznie, niekończące się ceremoniały i ściskanie ponad 15 tys. dłoni. Dla królowej Elżbiety II sprawowanie władzy jest bardzo ważnym zadaniem, jakie otrzymała bezpośrednio od Boga. Dla reszty zgrai Windsorów jest natomiast głównie sposobem na wygodne życie. Dlatego i bez Meghan oraz Harry'ego brytyjska monarchia ma przed sobą niepewną przyszłość.

> Meghan wychowuje swojego syna „płynnie genderowo". Zamiast niańki zatrudniła dla niego niańka (manny), by przełamać stereotypy płciowe

Nie da się także ukryć, że Meghan to typowa przedstawicielka swojego pokolenia. Już jako dziecko protestowała przeciwko seksistowskiej reklamie proszku do prania. Swojego syna – Archiego Harrisona Mountbattena-Windsora – wychowuje „płynnie genderowo". Zamiast niańki zatrudniła dla niego niańka (manny), by przełamać stereotypy płciowe. Na swoim ślubie z Harrym sama wygłosiła mowę ślubną, w której mówiła o feminizmie. To premiera w historii brytyjskiej monarchii. Pod jej wpływem Harry ograniczył spożycie mięsa i uprawia jogę oraz medytację. W ich rezydencji Frogmore Cottage, wyremontowanej za 2,4 mln funtów z kasy państwowej, pomalowano ściany wegańską farbą, a książęca para żywi się warzywami bio z własnego ogrodu. Zdaniem lewicowych mediów i polityków nad Tamizą Meghan pokazała, jak bardzo przestarzała i skostniała jest monarchia. Anachroniczna i nieprzystosowana do obecnych czasów. Krytyka skierowana w kierunku młodej księżnej to więc rasizm białej elity, która wciąż tkwi mentalnie w XIX w. i od początku nie zaakceptowała „ciemnoskórej księżniczki" (duchess of colour – DOC).

Ponownie rozpętała się dyskusja nad sensem istnienia monarchii. Kandydat na przewodniczącego Partii Pracy Clive Lewis zaapelował o przeprowadzenie w tej sprawie referendum. „Myślę, że wielu ludzi chciałoby, aby monarchia została zmniejszona – wiele mówi się o tym, że jest dość ona duża i obciąża kieszeń podatników. Najważniejsza jest demokracja... więc dlaczego nie przeprowadzić w tym kraju referendum w sprawie przyszłości rodziny królewskiej?" – pytał Lewis.

Bardzo możliwe więc, że megxit zaszkodzi brytyjskiej monarchii. Równie możliwe jest jednak, że jeśli Windsorom uda się wypracować kompromis z młodą parą książęcą, rodzina królewska na tym zyska. To w końcu firma, oparta na wiecznej narracji, jak imperium Marvela. Firma żywiąca się skandalami. Nie ma dla niej więc nic gorszego, niż gdy publiczność się nudzi. A to jej, także dzięki Harry'emu i Meghan, obecnie raczej nie grozi.

eprasa.pl fd463336a0

Putin chce znowu rozdrobnić Europę



Rosyjski prezydent domaga się powrotu do podziału kontynentu na strefy wpływów, ze szkodą dla wolności i suwerenności innych narodów, ale i pokoju w Europie – mówi Davor Ivo Stier (na zdj.), jeden z czołowych polityków Chorwackiej Wspólnoty Demokratycznej (HDZ), głównej partii konserwatywnej w tym kraju, w rozmowie z Goranem Andrijaniciem

W swojej niedawnej wypowiedzi Putin oświadczył, że powodem rozpoczęcia II wojny światowej nie był pakt Ribbentrop–Mołotow, ale układ monachijski. Oskarżył też Polskę, że jest odpowiedzialna za rozpoczęcie konfliktu światowego. Słowa te nad Wisłą zostały skomentowane jako „powrót do sowieckiej propagandy na temat powodów rozpoczęcia II wojny". Jak skomentuje pan tę sytuację?

Davor Ivo Stier: Dziennikarz brytyjskiego „The Guardiana" Shaun Walker pisze w książce o Putinie, że rosyjski prezydent nadużywa terminu antyfaszyzm i zwycięstwa nad nacjonalizmem w 1945 r. po to, aby wymazać lub zmniejszyć wagę upadku muru berlińskiego w 1989 r. oraz każdego innego krytycznego spojrzenia na sowiecką okupację wschodniej Europy. W tym kontekście każdorazowe przypominanie paktu między Hitlerem a Stalinem krótko przed rozpoczęciem wojny burzy Putinową narrację, która nie jest jedynie spojrzeniem w przeszłość, ale stanowi także platformę ideologiczną do pracy dzisiaj.

Polski premier Mateusz Morawiecki napisał, że „Putin często kłamie o Polsce" i robi to, kiedy „rząd w Moskwie czuje nacisk wspólnoty międzynarodowej z powodu swoich działań". To dość ostra reakcja. Co pan o niej myśli?

Polska prowadzi stałą politykę polegającą na wzmacnianiu Europy Środkowej, w tym również Polski, największego kraju w tym regionie. Wydaje mi się, że istnieją różnice między konkurencyjnymi opcjami politycznymi w Polsce, wśród których PiS prowadzi o wiele twardszą politykę w kwestii relacji z Rosją, a także z Niemcami, niż jego polityczni oponenci. Bez względu jednak na te różnice w podejściu, cel strategiczny jest ten sam – wzmacnianie Europy Środkowej poprzez łączność ze Stanami Zjednoczonymi jako gwarantem niezależności wobec silnych sąsiadów na wschodzie i zachodzie.

Wypowiedzi Putina są reakcją na rezolucję Parlamentu Europejskiego „w sprawie znaczenia europejskiej pamięci historycznej dla przyszłości Europy". Rezolucja, która zwraca uwagę na potrzebę jednoznacznego osądu zbrodni komunistycznych i nazistowskich, przeszła w Chorwacji bez echa?

Narracja ideologiczna Putina ma swoich naśladowców w Europie Środkowej i Południowo-Wschodniej, także u nas w Chorwacji. Widać to na przykład przy nadużywaniu terminu „antyfaszyzm" dla usprawiedliwiania zbrodni reżimu komunistycznego. To zachowanie, które jest widoczne właśnie w Chorwacji.

W sąsiadującej z nami Serbii sytuacja jest jeszcze gorsza. Politykę serbską próbuje się przedstawić jako siłę antyfaszystowską, która w 1945 r. „wyzwoliła" pozostałe narody w byłej Jugosławii. Do tego sam Belgrad nieustannie wraca do 1945 r., aby uniknąć spotkania z pozostałościami reżimu Slobodana Miloševicia oraz polityką czystek etnicznych i ludobójstw z lat 90.

Co nam mówi ta sytuacja o stosunku Europy do jej historycznego dziedzictwa? Jak ta sytuacja wygląda z chorwackiej perspektywy?

To nie tylko pytanie o odniesienie do dziedzictwa historycznego, lecz do aktualnych ideologicznych platform, które poprzez manipulację historii chcą umniejszyć znaczenie upadku komunizmu i próbują doprowadzić do powrotu sytuacji z 1989 r., a tym samym zagrozić koncepcji wolności i jedności Europy.

Putin, ale i wszyscy na Zachodzie, którzy opowiadają się za Europą wielu prędkości, domagają się ponownego rozdrobnienia Europy i powrotu do podziału kontynentu na strefy wpływów, ze szkodą dla wolności i suwerenności innych narodów i pokoju w Europie. Na rezolucję Parlamentu Europejskiego trzeba popatrzeć w tym kontekście jako odpowiedź na tę wsteczną i rewizjonistyczną politykę.

Tłum. Barbara Andrijanić

Davor Ivo Steir, były minister spraw zagranicznych Chorwacji i były europarlamentarzysta, dzisiaj poseł w chorwackim parlamencie (Saborze). Obecnie nie pełni żadnych ważniejszych funkcji w partii. Zdaniem chorwackich mediów powodem jest to, że Stier jest przywódcą frakcji politycznej, która sprzeciwia się polityce szefa tego ugrupowania, a zarazem premiera Andreja Plenkovicia, który prowadzi HDZ w stronę lewicowej europejskiej polityki głównego nurtu.

Fot. PAP/EPA

eprasa.pl fd463336a0

Normalność znajdował w Polsce



Fot. Shutterstock

Filozof Roger Scruton zmarł 12 stycznia 2020 r. Choć marginalizowany przez Europę, jej piękna i wyjątkowości bronił do samego końca. Ostrzegał przed zamordyzmem i anarchią na długo przed tym, jak Europa stanęła na rozdrożu między oddaniem ulic imigrantom a centralizacją unijnej władzy na wzór biurokratycznych utopii



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Wyglądał trochę jak starożytny senator albo filozof z renesansowego Rzymu, który zasnął na 500 lat i nagle się obudził we współczesności – zniesmaczony brzydotą i wulgarnością świata. Nawet jego włosy, niby w bezładzie, dodawały jego wizerunkowi niefrasobliwości, choć była to tylko poza – trudno bowiem o bardziej zorientowanego w rzeczywistości intelektualistę.

Potrafił w kilku słowach ująć rozległe procesy społeczne, które odczuwają konserwatyści na całym świecie. „Jeżeli imigranci do nas przyjeżdżają, to dlatego, że na tym zyskują. Nie ma zatem niczego nierozsądnego w przypominaniu im, że mieszkanie u nas wiąże się również z pewnymi kosztami" – tłumaczył wśród histerycznych wrzasków spod sztandaru hipertolerancji. „Walka z mową nienawiści polega na przypisywaniu własnej nienawiści przeciwnikom politycznym" – stwierdził kiedyś. Odczuł to mocno, gdy w ramach swojej działalności w rządowej komisji ds. ochrony zabytków spotkał się z falą oszczerstw, wśród których właśnie „mowa nienawiści" pojawiała się najczęściej. Skoro filozof był przerażony promiskuityzmem (częstym zmienianiem partnerów) homoseksualistów, to został nazwany homofobem. Zdania jednak nie zmienił – bo jak tu porzucić prawdę?

Ale postawa Scrutona nie polegała tylko na obronie wartości, opisywał on bowiem odwieczne metody walki z politycznym nowinkarstwem. Był jak lekarz społeczeństw zachodnich, który z pewnością benedyktyńskiego mnicha zapisywał recepty na rozmaite choroby. Na jednej z tych recept wypisał lek niezawodny: piękno. Jako wysmakowany esteta, autor książek o architekturze i muzyce, dziesiątków artykułów o rzeźbiarstwie czy malarstwie, stwierdzał, że „remedium na lęk przed chaosem świata jest niezmienne i nieprzemijające – piękno". Z tego względu nie mógł tolerować sztuki współczesnej, która była przez niego opisywana jako galopowanie za uznaniem, zaszokowaniem, która porzuciła piękno na rzecz „oryginalności" i kontrowersji.

W jednym z wywiadów wskazał moment, kiedy jego wrażenia intelektualne i duchowe były w pełni zaspokojone, a przy tym łączące właśnie piękno i moralność. Tym momentem był... wybór Karola Wojtyły na papieża. „Byłem wtedy w Polsce, widziałem ten piorunujący efekt" – wspominał po latach. Nie zamierzał co prawda mocno wiązać się z Polską, ale nasze chrześcijańskie przedmurze nie dawało o sobie zapomnieć. W 1995 r. udziela wywiadu – wówczas doktorowi – Andrzejowi Nowakowi, by opowiadać, jak wychodzić z postkomunizmu i w obrębie demokracji budować instytucje, które będą bronić wartości.

„Nie można więc bronić rodziny, pisząc tylko lirycznie na jej temat. Trzeba zwalczać błędną politykę społeczną i mieć gotowy konkretny projekt zmian w prawodawstwie, które są konieczne w celu obrony tradycyjnych instytucji społecznych" – przekonywał, potępiając emigrację wewnętrzną i uciekanie w sentymentalizm.

Dwie dekady później w wywiadzie dla tygodnika „Sieci" precyzował kolejne wyzwania, którym muszą sprostać Polacy: „Jeśli jesteś Polakiem, powinieneś znać historię, powinieneś rozumieć dynamikę relacji z Rosją, powinieneś wiedzieć, jakim krajem jest dziś Rosja. Powinieneś stawiać sobie pytania o bezpieczeństwo granicy wschodniej itp. Jeśli ich sobie nie stawiasz, to znaczy, że nie troszczysz się o trwanie Polski".

Ostatnie odznaczenie państwowe, jakie otrzymał w życiu, odebrał z rąk prezydenta Andrzeja Dudy. Krzyż Wielki Orderu Zasługi RP zawisł na jego piersi nie tylko za zasługi, lecz także jako wyraz wsparcia dla filozofa w dobie kolejnej nagonki medialnej, w której oskarżenie o rasizm było jednym z łagodniejszych. I tak brytyjski filozof znalazł skrawek normalności nie nad Tamizą, a nad Wisłą właśnie.

Resztę tej normalności zostawił w swoich pracach: w „Pożytkach z pesymizmu" obala najpopularniejsze lewicowe frazesy, w „Intelektualistach nowej lewicy" demaskuje kłamstwa współczesnych filozofów, swój testament formułuje w książce: „Jak być konserwatystą". Ale nie mylmy go z uładzonym moralistą – Scruton zachęca (sic!) do picia wina w „Piję, więc jestem", ale i do palenia tytoniu – w licznych artykułach prasowych. Nade wszystko jednak zachęca – do poszukiwania w przeszłości tych wzorców, które trzeba ocalić przed współczesnymi barbarzyńcami. I to ostatnie bije z kart jego wszystkich dzieł.

eprasa.pl fd463336a0



Wysoka cena za odpady

Zjawisko produkcji potężnej ilości odpadów, rozpowszechniony model konsumpcji, w którym jedne rzeczy są błyskawicznie zastępowane kolejnymi, choć wcale nie straciły swojej funkcji użytkowej, tworzą taki styl życia, w którym nadmiar dóbr staje się cywilizacyjnym balastem

Kreowane mody rozprzestrzeniają się błyskawicznie, tworząc gigantyczny popyt na nowe produkty. Rzeczy nie są naprawianie ani wykorzystywane do maksimum swoich możliwości, lecz zastępowane przez inne. Krótki cykl życia produktu – pod względem technicznym, ale i kulturowym – to zmora naszych czasów. Gospodarka o obiegu zamkniętym, w której odpady są wykorzystywane jako surowce do produkcji kolejnych przedmiotów, staje się koniecznością w państwach o wysokim poziomie konsumpcji, żyjących w dobrobycie lub do niego aspirujących.

CZĘŚĆ STRATEGII

Jak Polska sobie radzi z recyklingiem odpadów? W debacie „Gospodarka obiegu zamkniętego w polskim modelu państwa dobrobytu" wzięli udział przedstawiciele rynku, organizacji branżowych i społecznych, a także administracji rządowej.

W dziedzinie recyklingu Polska ma na swoim koncie spore osiągnięcia. Według Krzysztofa Gruszczyńskiego, prezesa ALBA Group, jednego ze światowych liderów branży gospodarki odpadami i recyklingu, Polska przyjęła w ciągu ostatnich dwóch lat pakiet ustaw odpadowych, który przyczynił się do uszczelnienia systemu.

– Najważniejsze to wprowadzenie bazy danych odpadów (BDO). To rewelacyjny instrument, pozwalający na kontrolowanie strumienia ich przepływu. Krokiem w dobrym kierunku jest także nowelizacja ustawy znoszącej regionalizację, wprowadzenie wymogów profesjonalizacji instalacji segregujących odpady – mówił Krzysztof Gruszczyński. Według dr Anny Sapoty, wiceprezes ds. organizacyjnych i prawnych w CP Recycling Organizacja Odzysku Opakowań, będącej częścią Grupy CANPACK (głównym obszarem działalności firmy jest sieć punktów skupu zużytych puszek aluminiowych, a Grupy – produkcja opakowań metalowych i butelek szklanych), pozytywna jest sama popularyzacja gospodarki obiegu zamkniętego. – Zaczynamy widzieć wszystkie jej aspekty. Gospodarka obiegu zamkniętego to nie tylko odpady, to również specyficzny sposób myślenia o produkcji i o całej gospodarce – powiedziała Anna Sapota.

Przyjęcie kluczowych ustaw i zbudowanie szerokiego forum do dyskusji to nie wszystko. Gospodarka obiegu

eprasa.pl fd463336a0

zamkniętego została wpisana do kluczowego dokumentu rządowego, jakim jest Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Sławomir Mazurek, podsekretarz stanu w Ministerstwie Klimatu [gdy odbywała się debata, wiceminister pełnił swoją funkcję; został odwołany ze stanowiska 8 stycznia 2020 r. – red.], mówił, że mamy szanse na wielkie oszczędności, ponieważ gospodarka obiegu zamkniętego to system gospodarki efektywnej, która nie marnuje zasobów. Dzięki niej rośnie szansa na zwiększenie konkurencyjności polskiej gospodarki.

ZMIENIA SIĘ KIERUNEK

Gospodarka obiegu zamkniętego jest już światowym standardem, na którego realizację największe instytucje globalne przeznaczają coraz więcej funduszy. Kamil Wyszkowski, przedstawiciel i prezes Rady UN Global Compact Network Poland – Inicjatywy Sekretarza Generalnego ONZ Global Compact, skupiającej biznes współdziałający z ONZ, przypomniał, że w europejskim programie „Zielony ład" zwiększono środki z 5 do 100 mld euro. Wielkie przesunięcia budżetów dokonują się w instytucjach finansowych. – 26 września 2019 r. odbyło się w Nowym Jorku spotkanie tzw. grupy bankowej, która postanowiła, że Europejski Bank Inwestycyjny, grupa Banku Światowego, inne banki rozwoju oraz największe banki komercyjne przesuną kapitał z gospodarki wysokoemisyjnej na zero- i niskoemisyjną. EBI zdecydował o przekierowaniu środków, sięgających 1 tryliona euro, w latach 2020–2030. W konsekwencji pojawią się też środki w ramach nowego, negocjowanego budżetu UE na lata 2021–2027 – mówił Kamil Wyszkowski.

To, co dzieje się na świecie, ma ogromny wpływ na gospodarkę odpadami w Polsce. Leszek Pieszczek, członek zarządu Remondis, firmy zajmującej się m.in. zbiórką odpadów i ich sortowaniem, przypomniał, że odpady przemieszczają się w obrębie Unii. Co w takim razie stanie się po opuszczeniu UE przez Wielką Brytanię? Brytyjczycy nie mają wystarczających mocy do spalenia swoich odpadów komunalnych i eksportują je za granicę, np. do Skandynawii. – Wszystko to łączy się ze sobą, zarówno problemy krajowe, jak i brexit czy zmiany w polityce odpadowej Chin – mówił Leszek Pieszczek. – Będziemy musieli wykorzystywać surowce, które ponownie wprowadzimy do obiegu. A tymczasem w Europie brakuje mocy przerobowych. Nie możemy liczyć na rynki azjatyckie, które są chimeryczne, nieodporne na politykę. Musimy sami zadbać o to, żeby odpowiednia odpadów ilość zebrana selektywnie mogła być przetwarzana w Europie – powiedział.

ZAMACH NA WOLNOŚĆ OSOBISTĄ?

– Ludzie nie rozumieją procesu zarządzania strumieniem odpadów i myślą, że nie ma sensu segregować, bo śmieci i tak się mieszają. A tak nie jest. Potrzebna jest edukacja – mówił Kamil Wyszkowski. – Są osoby, które bardzo dobrze rozumieją sens segregacji, ale są i takie, dla których obowiązek segregowania na pięć koszy to zamach na ich wolność osobistą – mówiła Anna Sapota. – My, jako producenci puszek aluminiowych i stalowych, uczymy o tym, czym jest metal, jakie ma właściwości, że jest materiałem permanentnym i może być poddany recyklingowi nieskończenie wiele razy – powiedziała.

Według Krzysztofa Gruszczyńskiego konsumenci coraz lepiej sobie radzą z segregacją odpadów. – W skali regionalnej następuje radykalna zmiana świadomości, zwiększa się skala selektywnej zbiórki. Polepsza się jakość selekcji – mówił.

– Kluczowe jest to, by odpady miały wartość, by ludzie dostrzegli sens segregacji – powiedział Sławomir Mazurek. Wiceminister zwrócił uwagę, że dzisiaj UE podejmuje próbę zmiany modeli konsumpcyjnych. – Gospodarka obiegu zamkniętego będzie tego wymagała. Jest to również wyzwanie dla przedsiębiorców, którzy powinni dostrzec szanse, jakie stwarza potencjał innowacji w tym obszarze.

LEPIEJ SIĘ NIE KŁÓCIĆ

Sławomir Mazurek apelował o ponadpolityczny konsens w kwestiach dotyczących gospodarki odpadami. – Ostatnio w związku z podwyżkami cen za odbiór odpadów zamiast poszukiwać rozwiązań, szuka się winnego w taki sposób, by było to politycznie wygodne. Tak niestety dzieje się w niektórych miastach – mówił. Przypomniał, że polityka UE zmierza w kierunku oszczędności materiałowej i recyklingu. Oczywiście zawsze pozostanie frakcja resztkowa, która do recyklingu się nie nadaje i którą trzeba przekształcić termicznie. Tymczasem kilka lat temu Warszawa wycofała się z unijnego finansowania rozbudowy spalarni. – Dzisiaj środków europejskich na spalanie odpadów już nie będzie. Tym bardziej trzeba położyć nacisk na przeciwdziałanie powstawaniu odpadów, na właściwe ich zagospodarowywanie – mówił wiceminister Mazurek. Przypomniał, że niedawno znowelizowana ustawa o utrzymaniu czystości i porządku w gminie daje samorządom możliwość sprzedaży selektywnie zebranych odpadów jako surowców do recyklingu, a pozyskane środki przeznaczyć na obniżenie opłat pobieranych od mieszkańców. Możliwe jest również obniżenie mieszkańcom opłaty za korzystanie z domowych kompostowników.

Zdaniem Krzysztofa Gruszczyńskiego istnieje potencjał do obniżenia opłat. – Wystarczyło wprowadzenie bazy danych odpadów, by – jeśli chodzi o papier i plastik – w ciągu roku kilkukrotnie wzrosła wartość dokumentów potwierdzających recykling (DPR), na niektórych frakcjach nawet 10-krotnie. Wprowadzenie elektronicznej kontroli strumienia od 1 stycznia 2020 r. spowoduje, że wartość dokumentów potwierdzających recykling znowu wzrośnie, a to pozwoli obniżyć koszty i tym samym zaproponować gminom lepszą cenę – mówił.

OBOWIĄZKI PRODUCENTÓW

Według Krzysztofa Baczyńskiego, kierownika ds. regulacji w Coca-Cola HBC Polska, gospodarka w obiegu zamkniętym powinna służyć przede wszystkim producentom, bo to oni decydują o wykorzystaniu surowców wtórnych i to oni przywracają je do obiegu. – To producenci są w naturalny sposób zainteresowani sprawnym jej działaniem i to oni powinni mieć decydujący głos w tej sprawie, przynajmniej

Zdjęcia Andrzej Wiktor | 34/1119/F, 33/1119/F, 16/1119/F, 9/1119/F

eprasa.pl fd463336a0



jeżeli chodzi o rozszerzoną odpowiedzialność producenta (ROP), która jest jednym z mechanizmów gospodarki obiegu zamkniętego – twierdził Krzysztof Baczyński.

ROP określona jest w unijnej dyrektywie i oznacza strategię ochrony środowiska, w ramach której odpowiedzialność producenta za produkt zostaje przedłużona do końca cyklu życia produktu.

Czego uczy nas doświadczenie innych krajów, w których działają już okrzepłe systemy rozszerzonej odpowiedzialności producenta, a także systemy depozytowe (kaucyjne)? Różnica między oboma systemami jest taka, że ROP jest obowiązkiem zapisanym w dyrektywie i musi zostać wdrożona, natomiast system kaucyjny może zostać wprowadzony, jeśli okaże się to konieczne. Został on wskazany jako jedno z narzędzi umożliwiających osiągnięcie odpowiedniego poziomu zbiórki i recyklingu plastikowych opakowań po napojach.

– W tych krajach, gdzie wprowadzający produkty na rynek zarządzają systemem rozszerzonej odpowiedzialności producenta, w tym systemem kaucyjnym, jest on najbardziej przyjazny konsumentom, przejrzysty i efektywny. Państwo zadziałało tam w prosty sposób: to jest wasz obowiązek, zaproponujcie rozwiązania, my stworzymy takie warunki prawne, by nie było pasażerów na gapę, bo to największe zagrożenie dla gospodarki odpadami – mówił Krzysztof Baczyński. – Pozwólcie nam zrealizować ten nasz obowiązek.

Kamil Wyszkowski apelował, by korzystać z przykładów firm, które już wprowadziły w życie cele redukcyjne. – W ONZ Global Compact jest ponad 10 tys. firm, w tym największe korporacje. Można je nie tylko dopytać, jak to się udało osiągnąć, ile to kosztowało i jak trzeba było poprzestawiać linie produkcyjne, ale też jak udało się utrzymać pozycję rynkową, a nawet ją wzmocnić – mówił. Według niego polski biznes jest mało aktywny w tej dziedzinie. – Może się okazać, że firmy, które zaśpią i przegapią trend, wypadną za burtę – powiedział.

NIE PROBLEMY, TYLKO ROZWIĄZANIA

Produkcja żywności, po branży energetycznej i transportowej, jest trzecią siłą, która ma największy wpływ na środowisko naturalne, co zapewnia jej szczególną pozycję w gospodarce obiegu zamkniętego. Jednak branża ta musi przykładać szczególną wagę do bezpieczeństwa produktu. – Jest to powiązane bezpośrednio z opakowaniami – mówił Andrzej Gantner, wiceprezes i dyrektor generalny Związku Pracodawców Polska Federacja Producentów Żywności. – Wszelkie pomysły związane z opakowaniami trzeba konsultować z branżą spożywczą, by część produktów żywnościowych nie wypadła z rynku, co byłoby niedobre dla gospodarki, albo gdyby znacząco obniżono terminy przydatności do spożycia, co z kolei może oznaczać znaczące zwiększenie ilości marnowanej żywności i pogorszenie bezpieczeństwa i jakości produktów, w konsekwencji poważne straty dla polskiej gospodarki żywnościowej – powiedział.

Producenci doskonale wiedzą, że zmiany związane z gospodarką obiegu zamkniętego będą wymagały dodatkowych nakładów. – Wielu z nich już rozpoczęło ten proces. Wszyscy rozumieją, że nie ma odwrotu od gospodarki w obiegu zamkniętym zarówno ze względu na odpowiedzialność wobec konsumentów jak i ochrony zasobów naturalnych naszej planety. Jesteśmy częścią rozwiązania, a nie częścią problemu. Musimy mieć jednak możliwość ścisłej kontroli nad nowym systemem. Jesteśmy za wypracowaniem takiego rozwiązania, by z jednej strony spełnić wszystkie wymagania środowiskowe, jakie nakłada na nas Unia Europejska, a z drugiej mieć zapewniony dostęp do recyklatu oraz kontrolę kosztów systemu w celu zapewnienia konkurencyjności naszych przedsiębiorstw. Jeśli tego nie zrobimy, czekają nas poważne problemy, szczególnie że 30 proc. naszej produkcji żywności trafia na eksport na te rynki, dla których normy unijne mają olbrzymie znaczenie – mówił Andrzej Gantner.

KAUCJE JUŻ ZA CHWILĘ

W połowie tego roku ma się pojawić propozycja ustawowa dotycząca wprowadzenia w Polsce systemu kaucyjnego. Co o nim sądzą producenci, jak ocenia go rynek? Według Anny Sapoty system kaucyjny powinien być częścią rozszerzonej odpowiedzialności producenta. – Dlatego powinniśmy najpierw ustalić, jakimi zasadami ona ma się rządzić, oraz sprawdzić, które z istniejących rozwiązań można wykorzy-

eprasa.pl fd463336a0



stać przy tworzeniu takiego systemu. Przykładem dobrego rozwiązania może być istniejąca już komercyjna sieć punktów skupu surowców wtórnych, która zapewnia wysokie poziomy recyklingu – w przypadku puszki aluminiowej jest to już ponad 80 proc. Dobrze zaprojektowany system może zmniejszać koszty rozszerzonej odpowiedzialności producenta. Ponadto, projektując system kaucyjny dla Polski, powinniśmy pomyśleć o nowoczesnych i dopasowanych do różnych typów konsumpcji rozwiązań dotyczących kaucji (np. wykorzystanie aplikacji mobilnych).

Mocno opowiedział się za tym Leszek Pieszczek. – Dla nas system kaucyjny jest uzupełnieniem istniejącego systemu selektywnej zbiórki odpadów. Andrzej Gantner apelował, by nie kopiować mechanicznie modeli funkcjonujących w innych krajach. – U nas mamy dużo małych tradycyjnych polskich sklepów, system powinien być wielowejściowy, oparty nie tylko na dużych marketach. Najgorszą sytuacją byłoby, gdyby nowy system pogorszył i tak trudną sytuację polskiego tradycyjnego handlu.

Według Krzysztofa Baczyńskiego celem utworzenia systemu depozytowego jest pozyskanie czystego surowca, który może być powtórnie przetworzony w nowe opakowanie. – System depozytowy został wymyślony po to, by uzyskać odpad, który nie miał wcześniej kontaktu z innym odpadem. Jest to dla nas kluczowe jako producentów. Dla nas korzyścią jest możliwość dostępu do surowca wtórnego spełniającego określone reżimy czystości – mówił.

Sławomir Mazurek podkreślał, że trwają pracę nad stworzeniem systemu kaucyjnego. – Zależy nam na jego efektywności. Oceniamy cały proces, także logistykę. Brany jest pod uwagę model, który uwzględnia wykorzystanie urządzeń odbierających opakowania, ale też wykorzystujący zwrot opakowań w punkcie skupu i w sklepie – mówił Sławomir Mazurek.

BARIERY DO POKONANIA

Dużo udało się już zrobić, jednak przed branżą zajmującą się recyklingiem stoi jeszcze wiele wyzwań. Według Krzysztofa Gruszczyńskiego brakuje nam nowoczesnych sortowni plastiku. – Stabilne prawo już mamy, potrzebujemy jeszcze rozszerzonej odpowiedzialności producenta, który zmotywuje uczestników systemu do inwestycji w te instalacje. Poza tym, żeby uniknąć składowania odpadów, będziemy potrzebowali w Polsce do 15 instalacji termicznych. Ponieważ będą produkowały energię, przyczynią się do spadku jej cen. Potrzebujemy też instalacji do fermentacji, które również będą produkować energię i spowodują znaczny spadek liczby odpadów zmieszanych – mówił Krzysztof Gruszczyński.

Leszek Pieszczek uważa, że przyczyną wielu barier inwestycyjnych są przewlekłe postępowania administracyjne na poziomie marszałków, związane z uzyskiwaniem pozwoleń zintegrowanych.

Krzysztof Baczyński twierdzi, że moce recyklingowe w Polsce w perspektywie do 2025 r. nie będą w stanie zrealizować unijnych poziomów, w szczególności w zakresie recyklingu PET, który musi być ponownie wykorzystywany przez branżę napojową. – W ciągu najbliższych czterech lat musimy co najmniej podwoić te moce. Jeżeli tego nie zrobimy, będziemy mieli ogromną zbiórkę odpadów, bez możliwości ich odpowiedniego przetworzenia – mówił Krzysztof Baczyński. Andrzej Gantner przyznał, że teraz jest ostatni moment, by uruchomić specjalne systemy wsparcia dla prośrodowiskowych inwestycji. – Stoimy przed olbrzymim wyzwaniem związanym chociażby z koniecznością kosztownych modyfikacji obecnych linii produkcyjnych, inwestycjami w całkowicie nowe innowacyjne opakowania i technologie. Potrzebujemy nowych rozwiązań prawnych, które nie zostawią przedsiębiorców samych z tym problemem i wesprą nowe inwestycje – dodał. Według niego może warto powiązać inwestycje w instalacje z dodatkowymi ulgami dla np. konsorcjów producentów lub ich związków. – Może warto stworzyć zachęty, aby producenci żywności lub ich związki inwestowali w tego typu instalacje. To, że ktoś produkuje napoje, nie znaczy że nie może zainwestować w instalacje zapewniające dostęp do recyklatu. To lepsze rozwiązanie niż skazywanie polskich przedsiębiorców na import z innych krajów – mówił Andrzej Gantner.

UE będzie dążyła do neutralności klimatycznej. – Jest to megatrend, który zmieni rzeczywistość w Europie – mówił Sławomir Mazurek.

– Pociąg po prostu już ruszył – mówił Kamil Wyszkowski.

Oprac. SK

eprasa.pl fd463336a0



Zmienne szczęście na

Pierwsza połowa rajdu Dakar była dla wszystkich uczestników najcięższym sprawdzianem fizycznej wytrzymałości, a dla maszyn najtrudniejszym testem technicznej niezawodności. Nie zabrakło tragicznych momentów – w wypadku na siódmym etapie wyścigu śmierć poniósł Portugalczyk Paulo Goncalves, który w Dakarze brał udział po raz trzynasty. Zawodnicy ORLEN Teamu, podobnie jak inni Polacy biorący udział w wyścigu, wymagające trasy w Arabii Saudyjskiej z pewnością będą pamiętać do końca kariery. Kurz, piasek zbity i sypki na zmianę, wydmy, ukryte kamienie – organizatorzy nie pozwalali uczestnikom rajdu się nudzić

Największe nadzieje polscy kibice ORLEN Teamu wiązali z występem Jakuba Przygońskiego, który przed rokiem otarł się o podium, zajmując czwarte miejsce podczas Dakaru organizowanego w Peru. Był to także najlepszy wynik w historii startów całego orlenowskiego zespołu. Kuba pilotowany przez Niemca Timo Gottschalka stawał na starcie w nadmorskiej Dżuddzie z uzasadnionymi oczekiwaniami na dobry wynik, ale wtedy do gry wkroczył coroczny uczestnik Dakaru, niemile widziany przez wszystkich uczestników – pech. Załoga w mini jechała na trzeciej pozycji, gdy awarii uległa skrzynia biegów. Jej naprawa kosztowała Przygońskiego aż sześć godzin! Gdy dodać do tego awarię wspomagania kierownicy na szóstym etapie, przez którą załoga straciła półtorej godziny i kończyła, jeżdżąc po wydmach bez wspomagania, oczywistym stało się, że w tym roku Kuba obejdzie się smakiem. To oczywiście nie zniechęca naszego mistrza świata w rajdach terenowych z 2018 r., który w przyszłej edycji z pewnością powalczy o więcej. Drugi kierowca reprezentujący ORLEN Team Martin Prokop jeżdżący z pilotem Viktorem Chytką, na tegorocznym Dakarze prezentował równy wysoki poziom, który pozwalał mu cały czas na znajdowanie się w okolicach pierwszej dziesiątki. Gdyby nie awaria wału napędowego w piątym etapie, pewnie byłoby jeszcze lepiej. W klasie samochodów nie zawodzili faworyci – Carlos Sainz, Nasser Al-Attiyah czy Stephane Peterhansel – cały czas kręcili się wokół podium, dobrze radził sobie debiutant rodem z Formuły 1 Fernando Alonso czy reprezentant gospodarza rajdu Yazeed Al Rajhi.

Wśród motocyklistów najtragiczniejszym momentem Dakaru była śmierć Goncalvesa, zawodnika niezwykle cenionego i lubianego przez kolegów po fachu. Zawodnik ORLEN Teamu Maciej Giemza, który podczas etapu był świadkiem próby reanimacji Portugalczyka, tak na gorąco wspominał zmarłego motocyklistę: „Paulo, nigdy o tobie nie zapomnimy, byłeś świetnym człowiekiem i zawodnikiem. […] Najgorszy dzień w życiu za mną”. Najlepszym określeniem na postawę Giemzy podczas wyścigu jest „systematyczność”. Zawodnik z Kielecczyzny niemal każdy etap kończył na podobnej pozycji, co pozwalało mu na osiągnięcie celu i w klasyfikacji generalnej zajmowanie miejsca w drugiej dziesiątce. Mniej szczęścia miał pochodzący z Cieszyna Adam Tomiczek. Podczas czwartego etapu najechał na ukryty w piasku kamień przy prędkości około 130 km/h, przez co zawodnik mocno się poobijał. Etap co prawda dokończył, ale pogarszający się stan fizyczny sprawił, że Tomiczek musiał się wycofać się z wyścigu. Szansa na poprawę 16. miejsca z Dakaru 2019 już za rok. W rywalizacji motocyklistów widać, jak trudną trasę wytyczyli organizatorzy na arabskich bezdrożach. Tragedia Goncalvesa czy wypadek Tomiczka to część tendencji, bo na półmetku rywalizacji odpadło z niej ponad 20 zawodników, w tym faworyt Sam Sunderland. Najlepiej na wymagającej niezwykłej uwagi trasie radził sobie Amerykanin Ricky Brabec, który od trzeciego etapu przewodził w klasyfikacji generalnej.

Na quadach dochodziło do fantastycznej rywalizacji pomiędzy faworytami, przez co walka o zwycięstwo w tej klasie była niezwykle zacięta. Dodatkowo ze świetnej strony prezentowali się zawodnicy, którzy na swoje nazwisko w annałach Dakaru dopiero pracują. Znakomicie radził sobie należący do ORLEN Teamu Kamil Wiśniewski, który na swoim raptorze od drugiego etapu piął się konsekwentnie w górę rankingu, odnoszac historyczne zwycięstwo na dziesiatym etapie. Problemy techniczne, nieodłączny element Dakaru, stawiają niemałe wyzwania przed mechanikami, których pracę Wiśniewski bardzo docenia: „Mój zespół pokonuje codziennie setki kilometrów i nie ma czasu na odpoczynek. Kiedy ja zjeżdżam z trasy i idę spać, oni pracują do rana, są niezawodni. Każdy z nas ma swój Dakar!”. Wielkim zaskoczeniem

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 3/0120/F

eprasa.pl fd463336a0



arabskich bezdrożach

w klasie pojazdów SSV była postawa duetu Aron Domżała–Maciej Marton. Polacy wygrali pierwszy etap wyścigu, by na następnym niemal zrezygnować z udziału z powodu awarii. Heroiczny powrót do walki zaowocował kolejnymi miejscami na podium! Z kolei w klasie ciężarówek równą formę prezentował zespół Roberta Szustkowskiego i Jarosława Kazberuka. Czwarty raz z rzędu Dakaru nie wygrał faworyt Edward Nikolajew, który z powodu rozległej awarii ciężarówki musiał zrezygnować na początku szóstego etapu. To oczywiście nie oznaczało, że znów rosyjski kamaz nie sięgnie po najwyższe laury, bo to właśnie ekipy jadące maszynami z Tatarstanu radziły sobie najlepiej.

Dakar, jak co roku, okazał się najtrudniejszym rajdem świata. Każdy uczestnik wyścigu zdaje sobie sprawę z realnego ryzyka, jakie ponosi, jadąc po nieznanym terenie, na którym rozwija się ekstremalne prędkości. Natomiast tragedie takie jak śmierć Paula Goncalvesa zawsze są szokiem i w takich chwilach wyniki sportowe schodzą na dalszy plan. Choć oczywiście szacunek do pasji, której Portugalczyk poświęcił życie, nakazuje, aby ścigać się dalej, a zwycięstwo dedykować jego pamięci. Tak wspominał zawodnika Kuba Przygoński: „Zmarł Paulo Goncalves, Portugalczyk, z którym się ścigałem, jak jeździłem na motocyklu. Razem jeździliśmy i to był ostatni zawodnik z tej grupy, z którą się ścigałem i która nadal się ściga na motocyklach. Wielka tragedia. Wyrażam szczere kondolencje dla rodziny i przyjaciół Paulo." Zawodnicy ORLEN Team, jak i wszyscy inni uczestnicy rajdu podchodzili po siódmym etapie z jeszcze większą pokorą do tego, co może przynieść im nieprzewidywalna pustynia. Nawet najlepsze maszyny i najwyższe umiejętności nie wytrzymają długo w zetknięciu z tym, co jest istotą Dakaru - nieokiełznanym żywiołem pierwotnej natury. Żeby dojechać do mety i liczyć się w walce o zwycięstwo, trzeba mieć do niej niekłamany szacunek. I, oczywiście, mnóstwo szczęścia."

Michał Muzyczuk
(Artykuł napisany przed zakończeniem Dakar 2020)



PAULO GONCALVES (1979–2020)

Jeden z najbardziej doświadczonych uczestników Dakaru, w którym startował od 2006 r. Największymi sukcesami w karierze było dla Portugalczyka Mistrzostwo Świata w Rajdach Terenowych 2013 i drugie miejsce w Dakarze 2015. Przez innych zawodników wspominany z szacunkiem i sympatią, odszedł na skutek wypadku odniesionego w siódmym etapie tegorocznego najtrudniejszego rajdu świata. Po jego śmierci organizatorzy odwołali ósmy etap Dakaru dla motocykli i quadów.



Vital Heynen



Ekscentryk, sportowy mentor, taktyczny twardziel, meczowy awanturnik, ciepły mąż i ojciec, zakochany w Polsce i Polakach, łasuch, sympatyczny człowiek – to tylko niektóre epitety, jakimi można opisać trenera polskiej reprezentacji siatkarskiej. „Powiedziałem to zawodnikom przed meczem, że im zazdroszczę, że są Polakami" – to najsłynniejszy cytat Belga. Przed wami Vital Heynen



MACIEJ ROWIŃSKI

7 lutego 2018 r. został selekcjonerem reprezentacji Polski. Od tego czasu zdobył z nią: mistrzostwo świata, brązowy medal Ligi Narodów, brązowy medal mistrzostw Europy, drugie miejsce w turnieju o Puchar Świata i awans na igrzyska olimpijskie.

– Przyszły rok będzie jeszcze lepszy – zapowiedział i trudno mu nie wierzyć, bo jego marzeniem jest medal igrzysk olimpijskich. – Nie przyszedłem tu dla złota w mistrzostwach świata. Medal w igrzyskach olimpijskich to jedyny cel. Czy złoty? Nie wiem. Wiem, że trzeba zdobyć medal pierwszy od 1976 r. – wyjaśnił. – Podejmując pracę w Polsce, powiedziałem, że stworzę drużynę, z której kibice będą dumni. I my taką stworzyliśmy. Byliśmy niesamowici. Czuję to, gdy wszyscy cieszą się z naszego sukcesu – dodał.

CO JEST NIEZBĘDNE, BY OSIĄGNĄĆ SUKCES

– Należy stawiać sobie najwyższe możliwe cele. Jeśli nie będziesz tak robić, to nie będziesz miał szansy ich zrealizowania. Gdy nie uda ci się ich osiągnąć, bo są zbyt wygórowane, to przynajmniej powiesz sobie, że próbowałeś. W życiu musisz być optymistą. Do 2012 r. pra-

eprasa.pl fd463336a0



cowałem w Belgii i nie śniłem o tym, co mnie później spotkało. Gdy pojawiły się okazje, skorzystałem z nich. Widziałem w internecie film z Jürgenem Kloppem, w którym mówił o relacjach międzyludzkich. I ja pod jego słowami mógłbym się podpisać. W domu z żoną i bliskimi, przyjaciółmi, w pracy, w twoim środowisku czy otoczeniu ważne będzie, jak radzisz sobie z kontaktem z innymi ludźmi. Ten problem pojawia się tam, gdzie trafiamy. To kluczowa sprawa, by wytworzyć synergię między dwojgiem ludzi czy grupą. Takie główne zadanie stoi przed małżonkami, którzy starają się tak zarządzać swoim życiem, by ich relacje były korzystne dla obojga. Takie same prawa rządzą drużyną, firmą, każdym miejscem. Dlatego jako trener przywiązuję tak dużą wagę do relacji międzyludzkich – przyznał.

jakiego nie znacie

Po zdobyciu srebrnego medalu rozgrywek o Puchar Świata w Japonii Heynen ogłosił na swoim Twitterze, że nie zamierza oddawać krążka na aukcję. Szkoleniowiec postanowił ofiarować go osobie, która poruszy go swoją historią. Za najciekawszą trener uznał opowieść 22-letniego siatkarza chorego na nowotwór. Słowa dotrzymał. Medal przekazał Jakubowi Procaninowi.

O tym, jak szalonym jest człowiekiem, można się było przekonać, gdy przeprowadzał wywiad sam z sobą... Ma także niekonwencjonalne metody treningowe. Kiedy prowadził reprezentację Niemiec, na zajęcia przyszedł z siatką wypchaną słodyczami. Zawodnik, który najlepiej wykonał dane ćwiczenie, mógł wyciągnąć cukierek z torby. W Polsce przynosił na treningi piwo, co było nagrodą dla zwycięzców. Siatkarze na zajęciach grali też o pieniądze, które były schowane pod słupkiem. Popularne były również czekoladki belgijskie. Rozdawał je lub wieszał na sznurkach na bramce, a siatkarze musieli je strącać. Innym razem podczas rozgrzewki kazał Niemcom przyjmować piłki... krzesłami. Podczas zajęć w VfB Friedrichshafen, podpuszczał zawodników, pytając, który z nich uniesie najwięcej piłek. Oczywiście dowolnym sposobem. Podczas rozgrzewek wykorzystuje też kawałki deski, wózki i sztuczne drzewa. To jego sposoby na mobilizację siatkarzy, na nudę i rutynę.

Niekonwencjonalne podejście do życia i otwartość zjednały mu rzesze sympatyków. Stać go na zaskakujące czyny, które nie przyszłyby nawet do głowy innym trenerom. Potrafił wozić reporterkę telewizyjną po parkiecie w... sklepowym wózku. Podczas mistrzostw świata, nudząc się w oczekiwaniu na mecz, często zaglądał do biura prasowego i zagadywał pracujących tam dziennikarzy.

– Mam taki zwyczaj, że staram się czytać każdy wywiad czy tekst dziennikarzy, którzy o mnie piszą. Nie po to, by ich oceniać, ale po to, by ich zrozumieć. Lubię czytać, co o mnie piszą media. Dla mnie to bardzo ciekawe zajęcie – powiedział o jednej ze swoich pasji.

Przed spotkaniami swojej drużyny z kolei regularnie doszkalał dzieci od podawania piłek.

O tym, że Heynen lubi słodycze, wiadomo od dawna. Przed meczem Ligi Narodów z USA w Katowicach trener ruszył w stronę kibiców i z okazji Dnia Dziecka rozdawał najmłodszym fanom siatkówki cukierki i lizaki.

W trakcie finałowej fazy mistrzostw Europy Heynen wyznał, że szczęście przynosi mu kolor czerwony. Poprosił więc reporterkę TVP Sport Aleksandrę Rajewską o zakładanie na mecze czerwonych sukienek. Ta próśb wysłuchała, a Polacy imprezę zakończyli na podium.

– Mam łagodne ADHD. Moja druga córka też je ma. Trudno sobie z tym radzić we współczesnym świecie. W szkole byłem znany z tego, że bujałem się na krześle. Nauczyciele dostawali białej gorączki. Mimo to nigdy nie upadłem ani nie zrobiłem sobie krzywdy, wiecznie dostawałem tylko kary. Dla mnie siedzenie bez ruchu to największa z kar. Pochodzę z wioski, więc uważam się za rolnika, którym... nie byłem. Z czasów dzieciństwa pamiętam długi na ponad 100 m ogród, a na nim prywatne boisko do piłki. Od małego byłem ruchliwy i mogłem tam spożytkować dużo energii. Dziś przestrzegam tych, którzy chcą mnie zatrudnić, jakie będą tego konsekwencje, mówiąc im o swoich nawykach. Jeśli są gotowi je zaakceptować, siadamy do kolejnych rozmów – mówi o swoich przypadłościach Heynen.

Sympatię kibiców zyskiwał otwartością i ogłaszanymi zakładami, w związku z którymi deklarował, że kupi fanom... piwo. Zawsze można go spotkać uśmiechniętego i przyjaźnie nastawionego do życia.

– Nienawidzę, gdy mam zły nastrój, ale nie umiem tak się zachowywać przez dłuższy czas, bo jestem z tych, którzy lubią być zadowoleni. Uwielbiam wstawać rano z uśmiechem na twarzy i poczuciem, że jestem zadowolony z tego, co robię. Mogę przegrać i nie móc później spać, przeżywać, ale po dniu czy dwóch wraca stary Vital, który mówi, że na pewno uda się kolejnym razem, że dokonamy czegoś wielkiego. To mnie napędza i powoduje, że moje życie jest proste i przyjemne.

MISJA ZAŚLUBINY

Jednym z sukcesów Heynena jest zeswatanie niemieckiej pary siatkarskiej Christiana Fromma i Maren Brinker w czasie, kiedy prowadził męską reprezentację tego kraju. W maju 2015 r. napisał na Twitterze: „Problem dnia: wszyscy zawodnicy w drużynie narodowej mają dziewczyny z wyjątkiem jednego: Christiana Fromma. Jest miły i uprzejmy.

Fot. East News/IPP/Paolo Bona Milano

eprasa.pl fd463336a0

Ktoś może mi pomóc?". Trzy miesiące później pochwalił się w sieci z udanego zakończenia swojej misji, a dwa lata później Fromm i Brinker wzięli ślub.

ZAŚPIEWAĆ POLSKI HYMN

Heynen imponuje także jako poliglota. Płynnie porozumiewa się m.in. po angielsku, niemiecku i francusku. Od razu po podpisaniu umowy z szefami Polskiego Związku Piłki Siatkowej zaczął się uczyć polskiego i nieraz prezentuje dziennikarzom oraz kibicom kolejne poznane słowa w naszym języku. Po meczu ze Słowenią, po którym Polacy zdobyli awans na igrzyska, przemawiał do fanów, porywając tym zgromadzoną w hali na pograniczu Gdańska i Sopotu widownię. Po płomiennej mowie postanowił zachęcić kibiców do odśpiewania „Polska, Biało-Czerwoni".

Pierwszy raz Heynen zaśpiewał „Mazurka Dąbrowskiego" w meczu Ligi Narodów z Amerykanami. – Na razie umiem tylko kawałek, to w zasadzie sam refren. Powoli uczę się zwrotek. Skoro inni mogą śpiewać, to dlaczego ja nie? – tłumaczył.

Później nauczył się całego polskiego hymnu i głośno go śpiewał przy okazji kolejnych spotkań polskiej reprezentacji. To właśnie trener najbardziej awanturował się podczas mistrzostw Europy, kiedy organizatorzy puścili tylko jedną zwrotkę „Mazurka Dąbrowskiego". – To było słabe, okazano całkowity brak szacunku. Jak można przerwać odgrywanie czyjegoś hymnu w połowie? Tej wersji, którą puścili, nie słyszałem nigdy wcześniej. Nie wiem, jakie są przepisy, ale wiem, jakiej wersji hymnu zwykle spodziewają się Polacy. A tutaj odegrano inną. I to mi się bardzo nie podobało – denerwował się szkoleniowiec.

CEL: OLIMPIJSKIE ZŁOTO

Heynen wyciągnął polską męską siatkówkę z zapaści. To dzięki niemu reprezentanci Polski zaczęli odnosić sukcesy. – Wierzę w każdego z moich 14 siatkarzy w stu procentach. Rozmawiamy o wszystkim. Gdy mają problemy, mogą do mnie przyjść. Porozumienie z nimi jest dla mnie bardzo istotne. Nie staram się być przyjacielem swoich zawodników, traktuję ich raczej jak swoje dzieci. W zespole możemy mieć kilka gwiazd, kilku zawodników, którzy nie są gwiazdami, ale wszyscy oni muszą do siebie pasować, mieścić się na jednym obrazie, w jednej ramie. Dlatego staram się być fair wobec wszystkich graczy. Najważniejsze, by być sprawiedliwym wobec wszystkich siatkarzy. Kocham emocje, więc oczekuję, by moi gracze zawsze walczyli. Dlatego czasami biegam, krzyczę i kolekcjonuję żółte kartki. Czasem może niektóre rzeczy wyrażam aż nadto. Ale widzę, że moi gracze idą do przodu. Lubię, gdy mój zespół działa jak jedna grupa, na którą nie ma wpływu nikt z zewnątrz. To moi gracze mają decydować o wielu sprawach, nie ktoś inny. Mam wiele złych nawyków, zachowań, ale uwierzcie mi, staram się ich używać w dobrych sprawach, w dobry sposób – zdradził Belg.

Podczas pracy z Biało-Czerwonymi dał się poznać jako miłośnik częstego rotowania składem. Żartował, że jego celem jest sprawienie, by nikt nie mógł przewidzieć, jaką wyjściową szóstkę wystawi w kolejnym spotkaniu. Podczas meczu mistrzostw Europy Polska – Ukraina dokonał rzeczy niebywałej. W jednym momencie... wymienił wszystkich zawodników na parkiecie.

– Mogłem zmieniać zawodników jednego po drugim, po kolejnych punktach, ale wtedy nie mielibyście o czym mówić. A tak jest o czym rozmawiać. Wiedzieli o tym wcześniej, ale i tak nie byli pewni, czy ten szaleniec się do tego posunie. Stwierdziłem jednak, że dlaczego by nie? No i weszli na boisko wszyscy razem, a obraz meczu w ogóle się nie zmienił – ze spokojem wyjaśnił swój szalony pomysł Heynen.

Vital bardzo się zżył z Polską i Polakami. Okazuje to w wywiadach i na Twitterze. – Jesteście o wiele bardziej dumni z kraju niż Belgowie czy Niemcy – powiedział.

Podczas mistrzostw świata napisał: „Jestem dumny z bycia waszym trenerem. Dzięki". Podczas tegorocznej gali mistrzów sportu został wybrany na trenera roku. „Wow, co za zaszczyt dla mojego sportu – siatkówki na wczorajszej Gali Mistrzów Sportu. Polsko, jesteś naprawdę niesamowita! Kocham was" – to kolejny wpis trenera po polsku na Twitterze.

– Zawsze mówiłem, że Polska ma najlepszych kibiców na świecie. Pokazali to dziś. Nie macie pojęcia, jakie to miłe być tutaj. Powiedziałem to zawodnikom przed meczem, że im zazdroszczę, że są Polakami. Co za znakomite uczucie być tu i grać przed taką publicznością. Wciąż mam ciarki. Dziękuję wam wszystkim – powiedział Heynen po spotkaniu mistrzostw Europy z Estonią w Rotterdamie.

Do wpisów w mediach społecznościowych trenerowi służy m.in. tablet. – Widzicie mnie z nim cały czas, ale nie jest on największym moim przyjacielem. Jest moją drugą pamięcią, czasem pierwszą. Czasu nie da się oszukać, starzeję się i wiele rzeczy zapominam. Uwielbiam czytać książki i on przydaje mi się też do tego – zdradził Belg.

O ile tablet jest przy Heynenie przez większość dnia, o tyle z budzika nigdy nie korzysta. – Nie nastawiam budzika, nie mam żadnego zegarka, który mnie obudzi. Po prostu wstaję z łóżka, gdy budzi mnie Vital. Gdy nie mogę się podnieść, czuję się wyczerpany, to śpię jeszcze godzinę. Tak robię przez całe życie – przyznał.

Przyszłoroczne igrzyska olimpijskie będą zamknięciem kolejnego etapu pracy Heynena. – Razem z siatkarzami staramy się sięgnąć po to, co najtrudniejsze do zdobycia, czyli triumf w igrzyskach olimpijskich. To nasz cel, a gdy uda się nam go zrealizować, to będzie dla mnie moment, by zdecydować, czego ja teraz pragnę. Może to być cel związany z siatkówką, ale niekoniecznie. Każdy, kto ze mną pracuje, wie, że nie jestem najlepszy w planowaniu. To jest mój największy problem, że zrealizowałem większość moich celów z listy rzeczy do zrobienia w życiu. Tę listę stworzyłem 10 lat temu. Doszedłem już do 27. pozycji. Do zapisanej 30. zostało niewiele. Powoli muszę się zastanowić nad tym, co zrobię, gdy skreślę 30. pozycję. Mam już 50 lat, więc zostaje mi coraz mniej czasu. Z nowościami będę musiał się więc pospieszyć. Moją pasją jest siatkówka, a w życiu najważniejsze to podążać za głosem serca. Pasją jest też bycie rodzicem, oglądanie, jak dorastają moje trzy córki, bycie blisko z rodziną na całe życie – kończy Heynen.

eprasa.pl fd463336a0



Vital Heynen ur. 12 czerwca 1969 r. w Maaseik (Belgia).
Kariera zawodnicza: Rovoc Rotem, Vasco Maasmechelen, Noliko Maaseik.
Kariera trenerska: Noliko Maaseik (2005–2012), Niemcy (2012–2016), Ziraat Bankası Ankara (2012–2013), Chemik Bydgoszcz (2013–2015), Tours VB (2015–2016), VfB Friedrichshafen (2016–2019), Belgia (2017–2018), Polska (od 2018), Sir Safety Perugia (od 2019).
Sukcesy zawodnicze: mistrz Belgii (8), Puchar Belgii (7), Superpuchar Belgii (7). Sukcesy trenerskie: mistrz Belgii (4), Puchar Belgii (5), Superpuchar Belgii (4), Superpuchar Francji (1), Puchar Niemiec (3), Superpuchar Niemiec (3), Superpuchar Włoch (1), mistrz świata, brązowy medal mistrzostw świata, brązowy medal mistrzostw Europy, trzecie miejsce w Lidze Narodów, drugie miejsce w turnieju o Puchar Świata.
Żonaty, trzy córki.

Wybrane cytaty:

- „Nie czytałem nawet kontraktu z polskim związkiem, tylko go podpisałem. Podobnie było wcześniej w Belgii. Nie pracuję dla pieniędzy. Kiedyś Niemcy przez rok mi nie płacili, bo zapomnieli robić przelewy. Zauważyła to dopiero moja żona, zerkając na stan konta"
- „Po zdobyciu z Niemcami medalu mistrzostw świata zacząłem udzielać większej liczby wywiadów. Oczywiście gdybym był trenerem piłki nożnej, kupiłbym sobie jacht. Jako szkoleniowiec siatkarzy mogę mieć co najwyżej łódkę"
- „Nie wiesz, jak to jest mieć tyle kobiet w domu. Wszyscy śmieją się ze mnie, że strasznie dużo gadam. W domu jestem cichy, one nie dają mi dojść do głosu. Siadamy przy dużym stole, jemy posiłek, a one mówią. To są piękne chwile"
- „Jeżdżę jak wariat. Nawet nie patrzę już na to, czy dostaję mandat czy nie. W domu została moja żona, co chwilę słyszę od niej, że przyszedł jakiś mandat, że wycenili to, co zrobiłem, na tyle i tyle. Policjanci mnie uwielbiają. Każdy mandat przyjmuję z uśmiechem"
- „Moją ulubioną książką o psychologii jest »Stick with it« (Trzymaj się tego). Dzięki niej złoto olimpijskie siedzi we mnie tak głęboko, że na nic innego nie ma miejsca"
- „Chcę zaprosić na zgrupowanie rodziny zawodników. Nie widzę problemu w tym, żeby żony czy dziewczyny siatkarzy były z nami. Kobiety zmieniają zachowanie drużyny. Przede wszystkim zawodnicy stają się bardziej kulturalni. Wcześniej siedzą byle jak, jedzą jak jaskiniowcy, a przy kobietach są idealnie wyprostowani przy stole i z gracją posługują się sztućcami. To dobre także dla zawodników, którzy nie mają żon. Muszą się grzecznie zachowywać, bo te panie widzą wszystko"
- „W sierpniu miałem zamiar zarządzić dwa dni bardzo intensywnych zajęć, ale przyszedł Bartek Kurek i mówi, że kończy 30 lat, czy może coś zorganizować. Natychmiast ze wszystkiego zrezygnowałem. Bo wiem, że jeśli w czwartek poświętują, to słabym pomysłem jest harować w piątek. A nie zabronię mu celebrować 30 urodzin!"
- „Próbowałem kiedyś być normalny i były to najgorsze dwie minuty mojego życia"
- „Dla siatkówki najlepszym miejscem zdecydowanie jest wasz kraj, ponieważ najwięcej osób przychodzi na mecze i wielu dziennikarzy interesuje się tym sportem. To jest najprzyjemniejsza ze stron mojej pracy. Każde z państw ma swoje wady i zalety. W Polsce jest fajnie i miło, ale pogoda jest okropna, często jest tu po prostu za zimno"
- „Kiedyś w Zakopanem wybrałem się na spacer z Michałem Kubiakiem. Co 10 metrów ktoś nas zatrzymywał i prosił o autograf. W Polsce nauczyłem się, że bycie tak popularnym jak Cristiano Ronaldo niekoniecznie jest przyjemne"
- „Uczę się sumiennie, ale polski nie jest łatwy. Ostatnio dostałem od mojej nauczycielki całą stronę z brzydkimi wyrazami. Ona się źle czuje, kiedy słyszy, co mówię, ale mnie się to bardzo podoba! »Głupia baba« – to jest najłatwiejsze"
- „Jak to?! Król Belgii mówi, że ważniejszy od zwycięstw jest sam udział, czyli uważa, że po to moi zawodnicy wylewają hektolitry potu na treningach, a ja wypruwam sobie żyły, prowadząc ten zespół, żeby wyjść na boisko i godzić się na porażki?!"
- „Jestem pozytywnym człowiekiem. Na swojej wizytówce mógłbym napisać »Vital Heynen – trener szczęścia«. Bo jak zmieniać świat, to zaczynając od najbliższego otoczenia"
- „Jaki jest mój pierwszy ruch na zgrupowaniu? Najpierw muszę się nauczyć imion wszystkich zawodników, porozmawiać z nimi, spytać, jak się czują, jak im się układa z dziewczyną. Muszę ich poznać. Potem trochę potrenujemy, żeby oni poznali mnie"
- „Mam dwie podstawowe zasady: nie spóźniaj się na treningi oraz idź do łóżka najpóźniej o północy i śpij do ósmej rano. Na szczęście sam nie muszę się stosować do zasad"
- „Wie pan, czemu ludzie nienawidzą grać ze mną w bilard? Bo nie gram tak, by wbić bilę do łuzy, ale tak, by utrudnić wszystkim innym dobre wbicia"

Fot. EastNews/ IPP/Paolo Bona Milano

eprasa.pl fd463336a0

HUBERT MATYSIAK AKTOR SERIALU „NA SYGNALE”

Polski efekt wow

Aktorstwo to mój zawód i wielka pasja, którą stale poszerzam, dodając inne działania artystyczne. Ostatnio zajmuje mnie np. gra na harmonijce ustnej i nauka teorii muzyki, ale w moim „twórczym kręgu” są też zainteresowania, które rozwijam od dawna. Ważne miejsce zajmuje wśród nich gotowanie.

Sporo podróżuję. Nie tylko turystycznie – czasami zdjęcia są poza Warszawą, którą wybrałem na życie. W ciągu roku, kiedy mogę sobie pozwolić na odpoczynek, chętnie odwiedzamy z żoną europejskie miasta. Za to na wakacje wybieramy tropiki, co wiąże się z bardziej leniwym smakowaniem nowych miejsc, także w dosłownym znaczeniu.



Fot. Andrzej Wiktor

Już dawno się przekonałem, że jeść też trzeba potrafić [uśmiech]. I doceniać potrawy, które się zna. Mimo że byłem i w Turcji, i w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, i właśnie wróciłem ze Sri Lanki, z ręką na sercu mówię, że kotlet schabowy z kością zamówiony w Białymstoku był najpyszniejszą rzeczą, jaką jadłem w trakcie podróży.

W mojej rodzinie mężczyźni umieją gotować. Mój tato pracował z dala od domu. W latach 80. jeździł z miejscowości Górki pod Żyrardowem, gdzie mieszkaliśmy, na Śląsk, do kopalni. W kolejnej dekadzie wyjeżdżał do Niemiec. Musiał sobie radzić w kuchni. Kiedy wracał, szykował jedzenie i nam, dzieciakom. Mama gotowała świetnie, ale nie broniła tacie mieszania w garnkach [uśmiech]. W naturalny sposób przeszło to na kolejne pokolenie.

W menu rodziców królowała klasyka polskiej kuchni – mielone, schabowe, kopytka, zasmażki... czyli to wszystko, co wydaje się znane i proste, ale jeśli chce się przy tych daniach osiągnąć efekt wow – trzeba poświęcić trochę uwagi i użyć odpowiednich metod.

Liczą się dobrej jakości składniki, ale też cierpliwość i czas, by zadziałała marynata, danie spokojnie się dogotowało/dopiekło i powoli zredukowały się sosy. Najważniejszy jest brak pośpiechu.

Potrafię docenić zarówno egzotyczne smaki, jak i ciekawie przygotowaną owsiankę. Chętnie sięgam po owoce i warzywa, jednak nie wyobrażam sobie gotowania bez mięsa. Proces jego przyrządzania, najbardziej żmudny, daje szansę na wydobycie wielu smakowych walorów. Żeby nie być gołosłownym – proszę zobaczyć, ile możliwości daje np. kaczka. Nie tylko w buraczkach jak u Brzechwy [uśmiech]. To jedno z moich popisowych dań. Na większe spotkania – przyjacielskie, rodzinne, imprezowe, świąteczne... Warto spróbować.

***Jolanta** Gajda-Zadworna*

Kaczka po polsku

Wykonanie: Oczyszczoną kaczkę w całości marynujemy. Bierzemy pełne łyżki soli, czarnego pieprzu, majeranku, 2 ząbki czosnku i odrobinę rozpuszczonego, wystudzonego masła. Wszystko to rozcieramy w moździerzu i taką pastą nacieramy kaczkę w środku i na zewnątrz, po czym zostawiamy zawiniętą w folię na dobę w lodówce.

2–3 jabłka do nadziewania kroimy w kostkę, skrapiamy odrobiną soku z cytryny, dodajemy łyżeczkę miodu, odrobinę soli i pieprzu oraz łyżkę majeranku. Mieszamy. Jabłka wkładamy do kaczki (wyjmujemy ją wcześniej, by „złapała” temperaturę pokojową; to ważne!) i „zaszywamy” wykałaczkami. Na dno gęsiarki wykładamy kilka garści łupin z cebuli, po brzegach układamy pokrojone w dużą kostkę marchewki, pietruszkę i seler, opaloną jedną cebulę, kilka ząbków czosnku, kilka pieczarek. Na to kładziemy kaczkę, obficie polewamy rozpuszczonym, ostudzonym masłem, posypujemy majerankiem i w kilku miejscach nakłuwamy skórę. Do gęsiarki dolewamy wodę (im więcej chcemy sosu, tym więcej wody), wrzucamy liść laurowy i kilka sztuk ziela angielskiego. Wszystko wstawiamy do piekarnika nagrzanego do 200 stopni i pieczemy ok. pół godziny, po czym zmniejszamy temperaturę do 160 stopni i pieczemy jeszcze 2–2,5 godziny, w zależności od wielkości kaczki.

Podajemy z ziemniakami, burakami i sosem otrzymanym z pieczenia kaczki.

eprasa.pl fd463336a0



SŁODKO-SŁONY

Robot

ANNA MONICKA

Jadę sobie rano do pracy, zaraz po długich świętach, więc z lekka odurzona wolnymi dniami i tym, że złota wolność się brutalnie kończy. Stoję w korku, od którego zdążyłam odwyknąć. Nagle telefon – pani trajkocze jak nakręcona, że wygrałam los na loterii, bo wielki producent urządzeń AGD robi promocję przed wprowadzeniem na rynek wszystkomającego i wszystkorobiącego robota kuchennego. Pani jest podekscytowana zachwalaniem cudownej maszynerii i uradowana, że może mi przekazać radosną nowinę. Zostałam wylosowana i gdy przyjadę na spotkanie, mam gwarantowaną nagrodę w postaci tegoż cudu techniki, prawda?

Jestem sceptyczna, bo wciąż mam w pamięci wojnę stoczoną z pewną firmą z Gdańska, która zaprosiła moją teściową na prezentację kilka lat temu i wcisnęła ponad 80-letniej pani cudowny lek na serce za 2 tys. zł. Ponieważ teściowa nie miała przy sobie takich pieniędzy, więc usłużna obsługa podsunęła jej dokumenty kredytowe, a gdy babci trzęsła się ręka i nie mogła sama podpisać papierów, miła pani przytrzymała jej długopis. To było w sobotę, ja zobaczyłam dokumenty w niedzielę, a w poniedziałek umowa weszła w życie, choć – pewnie przez niedopatrzenie – organizatorzy imprezy nie zauważyli, że brakuje na niej miejsca i daty podpisania. Policja sprawy nie podjęła, na szczęście po dzikiej awanturze bank wycofał się z kredytowania. Firma w ramach zadośćuczynienia przysłała babci magnetyczną bransoletkę i sprawa się skończyła.

Pomna tych doświadczeń nie chciałam dłużej rozmawiać o supergarnkach, ale miła pani obiecała, że nie będzie prezentacji, nakłaniania do zakupów, tylko gwarantowany prezent, który zamieni żmudne krojenie pietruszki czy trzepanie jaj w magiczną przygodę. Żeby się uwiarygodnić, pani podała nawet nazwę agencji reklamowej, która organizuje prezentację – Family Prestige – oraz swoje nazwisko. Łatwo je zapamiętać: Magdalena Nowak. – Będę na miejscu, proszę o mnie pytać. I ostatnie pytanie, czy skończyłam 40 lat. Czyżby ludziom po czterdziestce z automatu odejmowało w tym kraju rozum? Chyba tak, bo zabrałam męża i pojechaliśmy zobaczyć, co się stanie. Z postanowieniem, że jak ma być pokaz, to wychodzimy od razu.

Przywitał nas ogolony byczek ze złotym łańcuchem na szyi. Pokaz był, ale nie dla nas, tylko siwych emerytów. Młodzież (spora grupka) została zaproszona do stojącego pod hotelem busika po obiecane roboty.

Dostaliśmy... trzepaczki do jaj. Z białkami na bezy powinny sobie poradzić. Weźcie więc 7 dag cukru na każde białko i trzepcie tak długo, żeby nie wypadało z miski. Potem nakładajcie łyżeczką na papier do pieczenia i siup do piekarnika nagrzanego na 60 stopni, żeby beziki raczej wyschły, niż się spiekły. Smacznego.

WILCZYM OKIEM



Marmite

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Chociaż wiemy coraz więcej o zwyczajach ludzi z odległych zakątków świata, jednak marmite, popularny na Wyspach Brytyjskich „produkt śniadaniowy", jak to się teraz mówi, jest w Polsce kiepsko znane.

Zawartość małych, brązowych, charakterystycznych słoiczków z żółtą zakrętką rozsmarowana na pieczywie zaspokaja poranny głód milionów mieszkańców UK, mnie jednak zainteresowała z przyrodniczego punktu widzenia.

Czy może w przyrodzie istnieć organizm, który znalazł sobie niszę ekologiczną w kuchni innego organizmu, swój kompletny biotop, w którym odżywia się, rozmnaża i trwa? Wydaje się, że taka zależność dotyczy drożdży i człowieka. Na szczęście to drożdże żyją u boku człowieka, a nie na odwrót.

Te superosobliwe organizmy mogłyby z racji procesów życiowych i budowy posłużyć do stworzenia pewnego konstruktu logicznego. Skoro drożdże w kefirze, w piwie czy w cieście pączkują, potrafią pobierać energię z martwych szczątków oraz jakby nigdy nic redukują niecykliczne beta-ketoestry do beta-hydroksyestrów, skoro takie rzeczy dzieją się w produktach spożywczych, to wyobraźmy sobie, jak dziwne mogłoby być życie na którejś z egzoplanet Układu Słonecznego? Wystarczy spojrzeć na marmite, aby uświadomić sobie, że nie jesteśmy w stanie przewidzieć niczego, co dotyczy hipotetycznej spontaniczności mechanizmów życia poza ekosystemem kuli ziemskiej – nawet na naszej planecie życie nieustannie nas zaskakuje.

Drożdże, z których zrobione jest angielskie smarowidło do chleba, są saprotrofami. Posiadają moc rozkładania substancji organicznych na elementarne składniki, które mogą być następnie przyswojone przez inne żywe organizmy i ponownie włączone do obiegu materii. Gdyby nie zastępy saprotrofów, życie na Ziemi skończyłoby się: zostalibyśmy pogrzebani pod warstwą nierozłożonej materii organicznej, która nigdy więcej nie mogłaby być użyta.

Na szczęście istnieją bakterie i grzyby (w tym drożdże), które niczym najsumienniejsze służby porządkowe dzień i nocą zajmują się tylko tym, aby zdjąć z naszych barków troskę o delikatny balans przepływu energii i obiegu materii w świecie.

Marmite jest świetne jako przyprawa do mielonej wołowiny, nadając jej przyjemny słonawy smak – to wiem na pewno, z autopsji. Z kurczakiem nie próbowałem, ale podobno też pasuje.

eprasa.pl fd463336a0

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Gra pozorów


www.wojciechreszczynski.pl

Państwa członkowskie UE mają i będą mieć różne systemy prawne, z czego nie może wynikać przekonanie o nadrzędności jednych rozwiązań nad drugimi

Łatwo zauważyć, że po wyborze na marszałka Senatu prof. Tomasza Grodzkiego Unia Europejska uzyskała szybki i bezpośredni wpływ na bieg wydarzeń politycznych w Polsce. To marszałek uruchomił międzynarodową aktywność Senatu, tworząc z wyższej izby parlamentu centralny ośrodek polskiej opozycji. Zagraniczna aktywność marszałka Grodzkiego, niekonsultowana z MSZ, wolna od wymaganych przez rząd procedur, rozpoczęła się wraz z jego wyjazdem do Brukseli. Wcześniej, w trakcie serii spotkań marszałka z ambasadorami akredytowanymi w Polsce, doszło do bezprecedensowego spotkania z Siergiejem Andriejewem, ambasadorem Rosji w Polsce, i to w dniu, w którym prezydent Federacji Rosyjskiej Władimir Putin oskarżył Polskę o wybuch II wojny światowej, a II Rzeczpospolitą o antysemityzm.

Co warte odnotowania, na rozmowy z reprezentującą Komisję Europejską Czeszką Věrą Jourovą marszałek, tak dobrze znający język angielski, zabrał z sobą jako tłumaczkę Magdalenę Fitas-Dukaczewską, żonę generała Marka Dukaczewskiego, byłego szefa WSI. Po spotkaniu wydał komunikat, który potwierdza oczywistą grę pozorów, gdyż nie trzeba jechać do Brukseli ani nie trzeba z nikim się spotykać, aby wydać taki oto komunikat: „Wszyscy się zgodzili, że podstawowe wartości, jakie przyświecają UE, w tym m.in. przestrzeganie praworządności, są nienaruszalne". Po tej wizycie w zadziwiająco szybki sposób doszło do przyjazdu do Polski przedstawicieli Komisji Weneckiej oraz do zorganizowania w Warszawie w siedzibie Senatu międzynarodowej konferencji prawników poświęconej ocenie ustaw reformujących polski wymiar sprawiedliwości. Na sali nie było przedstawicieli rządu ani senackiej opozycji.

Gry pozorów między UE a Polską, gry, która oficjalnie toczy się na temat przestrzegania praworządności, nie da się ciągnąć w nieskończoność. Chciałbym, aby to państwo polskie, czyli rząd, wraz z naszymi europosłami zakończyło tę udawaną grę. Formą może być co najmniej dyplomatyczna nota doręczona Komisji Europejskiej i opublikowana w zachodnich i krajowych mediach. Unia Europejska, tym samym europejska opinia publiczna, powinny otrzymać jasny sygnał, że pseudoprawny spór na temat przestrzegania przez Polskę praworządności jest jedynie pretekstem, zresztą niejednym, do oficjalnego, bezprecedensowego wzmacniania poprzez unijne instytucje politycznej roli opozycji w Polsce. Takie odważne wyjście Polski przed szereg, odsłonięcie celów gry pozorów i odrzucenie tej metody zostanie dobrze przyjęte przez państwa nowej Unii mające podobne problemy z wszechwładzą w UE. Trzeba przywołać unijne zapisy traktatowe, które w kwestii tworzenia prawa, organizacji wymiaru sprawiedliwości dają pełną swobodę państwom członkowskim. Natomiast nadrzędna zasada przestrzegania praworządności, ta, która jest „nienaruszalna", nie może być traktowana arbitralnie i instrumentalnie wykorzystywana do wywierania na państwa Unii nacisków, stosowania gróźb czy sankcji. Wymaga ona precyzyjnej wykładni, w przeciwnym wypadku nadal będziemy mieli do czynienia z podwójnymi standardami, z państwami pierwszej i drugiej kategorii. Z tym że w państwach pierwszej kategorii (stara Unia) można łamać prawo i nic się nie dzieje, a w państwach drugiej kategorii (nowa Unia) będą wymyślane prawnicze kruczki w celu kształtowania uległych rządów.

Państwa członkowskie UE mają i będą mieć różne systemy prawne, z czego nie może wynikać przekonanie o wyższości czy nadrzędności jednych rozwiązań nad drugimi. Potrzebna jest renegocjacja w sprawie uniwersalnych unijnych zasad dotyczących podstawowego katalogu „zasad praworządności", szczególnie dotyczących trzeciej władzy. Na przykład – ma być czy nie zachowany immunitet sędziowski. Jeśli tak, to muszą być, jak u nas, specjalne sądy dyscyplinarne dla sędziów itd.

Jeżeli prawo unijne nic nie mówi o organizacji wymiaru sprawiedliwości, co może być domeną zarówno władzy ustawodawczej, wykonawczej, jak i sądowniczej, to wszelkie wątpliwości na ten temat nie mogą być pretekstem dla UE do ingerowania w prawo krajowe. Niestety tak się dziś dzieje w Polsce za sprawą opozycji i wspierającej ją UE (zagranica) walczących wspólnie z obcą europejskiemu establishmentowi władzą w Polsce.

Polityka ta osłabia państwo polskie, jej pozycję we wspólnocie, ale także na arenie międzynarodowej. W opinii społeczeństwa jest to ingerowanie w wewnętrzne sprawy suwerennej Polski. Dlatego jak najszybciej należy zakończyć destrukcyjną grę pozorów.

eprasa.pl fd463336a0

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Gest gówniarza



Witold Gadowski

Ludzie ważni często przechodzą niezauważeni i dopiero gdy nie ma szansy na kolejne spotkanie, zdajemy sobie sprawę z tego, że oto coś nas dotknęło, zmieniło, pozostawiło ślad, ale byliśmy zbyt niebaczni, aby do końca wykorzystać szansę.

W naszym życiu publicznym bywają postaci, które mogłyby wiele zmienić, mają dobre intencje i potencjał, aby dokonać przemian. Skoro jednak wszystko wygląda tak jak teraz, to znak, że niedostatecznie obserwujemy. Ta istotna wada selekcji ważnych dla Polski postaci sprawia, że nieustannie pławimy się w powodzi typków spod ciemnej gwiazdy lub rozlazłych, nietwórczych sybarytów. Sita mamy zastawione nie w tych wodach, w których płyną najzdrowsze okazy. Pozwalamy, aby to co dobre wypływało z Polski, nasi rodacy robią kariery za granicą, budują dobrobyt innych narodów, a my tu jedynie narzekamy.

Rozczarowuje nas reprezentacja polityczna, której przekazaliśmy nasze poparcie, ale czy zbudowaliśmy coś lepszego? Pozycja bezpłodnego krytyka jest jednym z najbardziej uwłaczających stanów, w jakich może się znaleźć człowiek. Skoro taką mamy polityczną wierchuszkę, to widocznie na nic lepszego nie zasłużyliśmy. Przeglądam swoje stare felietony i właściwie mógłbym je teraz przeklejać. Pisałem o tym, że karierowicze prędzej czy później rozwodnią reformę kraju, że farbowane lisy wypchają ze znaczenia ludzi prawdziwie zamierzających zmieniać Polskę. Czy wynikało to ze szczególnej przenikliwości? Ależ skąd, takie diagnozy mógł postawić każdy, kto miał nieco zdolności obserwacyjnych. Podmienili postaci, wyblakły hasła i wylazła ordynarna walka o władzę i wpływy. Oczywiście mógłbym się teraz obsadzać w roli Katona, który nic nie wziął od władzy, a więc ma prawo, aby wygarnąć jej prosto w twarz. Tylko w takich sytuacjach kołacze mi się w głowie stary wiersz Lothara Herbsta, który kończył się stwierdzeniem: być może kiedyś ktoś napluje mi w twarz. Taki czysty gest gówniarza. Nie gwarantuję dosłowności cytatu, ale wyraziłem myśl, która ciągle odbiera mi świetne samopoczucie. Wiesz, jak zrobić lepiej, to czemu do cholery tego nie robisz?! Nie szukaj usprawiedliwień – mówię sobie. Spójrz prawdzie w oczy – niewiele zdziałałeś, a ten proch, który po tobie zostanie, szybko się rozwieje. Nic nie zmieniłeś, to nie miej pretensji do całego świata. Tak sobie czasem sam ze sobą gwarzę.

Zielone oczy Zenka



Lech Makowiecki

Tzw. postępowa (lewacka) część naszego społeczeństwa nie grzeszy logiką. Z jednej strony „nowocześni" młodzieńcy i „wyzwolone" feministki flekują tradycyjny model rodziny. Ideałem jest dziś bezdzietny singiel/singielka, traktujący aborcję na życzenie jako równoważnik środka antykoncepcyjnego. Gdy rodzimi „Europejczycy" decydują się na życie we dwoje – preferują zwykle nieformalne związki. I tu pojawia się brak konsekwencji: luzackie pary mieszane (same żyjąc w konkubinatach) – wspierają jednocześnie walkę o legalizację małżeństw homoseksualnych! Argumentem „za" jest ponoć prawo do informacji o zdrowiu homopartnera w szpitalu. Jednak pary żyjące w związkach dwupłciowych (ale na kocią łapę) jakoś sobie z tym problemem radzą.

Kolejny nonsens: heteroseksualni „moderniści" – dobrowolnie rezygnujący z posiadania potomstwa – domagają się prawa do adopcji dla lesbijek i gejów! Możliwość zaburzenia rozwoju dziecka wychowanego w homoseksualnym związku jakoś umyka uwadze postępaków.

Zdominowana przez lewackie środowiska popkultura stopniowo nas oswaja z tęczowym światem, poszerzając dewiacyjne „wolności" do granic absurdu (50 twarzy LGBT itp.). Pamiętam wzruszający film „Tajemnica Brokeback Mountain" – o wielkiej miłości dwóch kowbojów. Gorący romans zupełnie przysłonił ogromną krzywdę wyrządzoną żonom i dzieciom przystojnych kochanków. Cóż, genderowa nadreprezentacja w kulturze, sztuce, edukacji i mediach owocować może erupcją zupełnie nieoczekiwanych trendów; natura nie znosi próżni. Jeśli np. w muzyce rozrywkowej obserwujemy nadmierną tęczową ekspansję (że wspomnę tylko casus Eurowizji) – odreagowaniem dla zwykłych ludzi mogą się stać heteroseksualne do bólu „Te oczy zielone" Zenka Martyniuka...

PS Nie traćmy nadziei: „Krytyka Polityczna" okrzyknęła Piotra Bernatowicza – nowego szefa CSW Zamek Ujazdowski – „hunwejbinem prawicy"! To dobrze rokuje kierowanej przez niego placówce.

eprasa.pl fd463336a0

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Grzechy i brawa



Aleksander Nalaskowski

Łapownictwo istniało zawsze, a jak pokazują co rusz wybuchające afery, istnieć będzie jeszcze długo. Siła kary musi być bowiem większa od siły kuszenia. A to nie takie proste. Zwłaszcza że na szczytach kara kończy się na złej opinii, wykluczeniu z obozu politycznego, ujeżdżaniu przez media czy infamii. Ale tymi karami już nikt się nie przejmuje. Furda opinia i honor, kasa się liczy.

Łapówkarstwo medyków było częste. Dlatego zapewne w sprawie prof. Grodzkiego środowisko lekarskie znamiennie milczy. Proceder ten został wpisany w naszą kulturę funkcjonowania na tyle trwale, że wielu nie widzi w tym niczego zdrożnego. Jak mawiają na Podlasiu: „Bo co zrobisz? Nic nie zrobisz". Łapownictwo w swej potędze i przenikaniu do naszej codzienności przyszło w największym wymiarze z Rosji. Tam jest jak zagrycha do bimbru, jak naboje do kałacha. Bolszewicki komunizm je w Polsce podrasował do rozmiarów niespotykanych. Porzekadła „za dziękuję się nic nie kupuje", „tylko ryby nie biorą" czy „kto smaruje ten jedzie" oddają dobrze potoczną atmosferę PRL i jej bękarta – III RP. Sam też w tym poniekąd uczestniczyłem. Po skomplikowanym zabiegu wręczyłem lekarzowi swoją książkę z dedykacją. Jestem umoczony...

Łapownictwo w swej potędze i przenikaniu do naszej codzienności przyszło w największym wymiarze z Rosji

Wymuszanie w sytuacjach ostatecznych łapówek jest zwyczajnym szantażem i podłością. Zarówno w przypadku profesora medycyny, jak i miliona innych przypadków zwykłych lekarzy. Do standardów, że posłem, senatorem, politykiem zostaje osoba nieskazitelna, musimy jeszcze bardzo długo dorastać. Moje pokolenie już bez wątpienia tego nie doczeka. Co bynajmniej nie oznacza, że mamy się na to godzić.

Marszałek Tomasz Grodzki na samym początku mnie bezgranicznie śmieszył. To narcystyczne wzdęcie, udawanie męża stanu, wytrawnego i wytwornego polityka, szmirowata pseudoklasa połączona z bufonadą były jak głupawy dowcip polityczny, jak żart pod tytułem Scheuring-Wielgus. Oczywiście każda z tych osób występowała w innej kategorii wagowej mózgu. Potem pan marszałek wprawiał mnie w zdumienie. Orędzia, delegacje zagraniczne, rozmowy na szczycie. Tak bardzo ten szczeciński bonza chciał być kimś innym, niż jest, niż mu wolno, że się aż zapędził. Zupełnie tak, jakby za kilka lat chciał być prezydentem Najjaśniejszej. A teraz? Teraz jest dla mnie, może nawet nie jestem tu wyjątkiem, zwykłym kretaczem i osobą bez zdolności honorowej. A zważywszy na jego najnowsze wyczyny zagraniczne, to się po prostu nim zwyczajnie brzydzę. Jak Ponińskim. Brzydzę do womitacji włącznie...

Na chwilę przycichła nagonka na arcybiskupa Jędraszewskiego. Ale to powróci, bo hierarcha nie ustąpi. Jest przykładem purpurata, którego sutanna się nie sprała, a oleje z kapłańskich święceń wciąż zachowują świeżość. Jego droga będzie coraz bardziej usłana różami. No w tym życiu to może nie całymi różami, ale takimi bez kwiatów, tylko z kolcami. Ale za to potem...

Olbrychski na spotkaniu u Moniki Jaruzelskiej powiedział, że nie pamięta, aby telewizja komunistów była tak zła jak ta obecna. Zapomniał jednak dodać, że nawet za komunistów nie można było aż tak publicznie lżyć Kościoła i jego pasterzy. Przykład sodomity z warszawskiego ratusza pokazuje to dobitnie. Amnezja gwiazdora? Ale Olbrychski to pół biedy, to tylko aktor, który nie użyje cytatu tylko wówczas, gdy się zapomni. Ale co w salonie „towarzyszki panienki" robił Kukiz, a co Braun? To jakaś nowa odmiana syndromu sztokholmskiego czy deficyty pamięci? Z jednej strony jednoznaczny, mówiący „tak–tak, nie–nie" arcybiskup profesor, a z drugiej podejrzanie mocno pleniąca się kolonia węży. Osób, których komuna (film, wydawnictwa) wyniosła do szczytów socjalistycznej sławy albo którzy na manifestacyjnym buncie przeciw niej na tych szczytach się znaleźli. Ludzi często bez żadnych zasług.

W zeszłym tygodniu dostałem maila od czytelniczki, która prosiła, abym nie był taki pesymistyczny. Ależ proszę! Na zakończenie będzie optymistycznie. Różnie więc obchodziliśmy stulecie naszej niepodległości. Ale wśród najpiękniejszych upamiętnień tej rocznicy, a wedle mnie najpiękniejszym, jest pomnik w Chełmnie nad Wisłą. W tym historycznym, pięknym mieście na Pomorzu. Mieszkańcy i władze miasta wystawiły tam znakomity, przepięknej urody, całkowicie pozbawiony błędów (rząd, broń, mundur) posąg kawalerzysty na koniu upamiętniający 8 Pułk Strzelców Konnych autorstwa Zbigniewa Mikielewicza. Dzieło rzuciło mnie na kolana. Chociażby tylko z tego powodu warto tam pojechać. A dla adeptów sztuki ekwitacji to lekcja wręcz obowiązkowa. Brawo Chełmno! Brawo ułani! Jak mawia młodzież – szacun od starego wachmistrza.

eprasa.pl fd463336a0

PRZEZ ŚWIETLIK

Paryż niewart pały

Europoseł Ryszard Czarnecki – i nie tylko zresztą on – poskarżył się, że stara Unia grilluje nasz region Europy, a z drugiej strony sami specjaliści od grilla odrzucili wniosek o debatę na temat praworządności we Francji. Myślę, paradoksalnie, że nie jest to najgorszy sygnał. Podobnie jak to, że jednak ponad 200 europosłów nie chciało uznać Polski za potwora. Oznacza to, że już nie tylko wyborcy, ale i jedna trzecia europosłów kompletnie nie wierzy zdecydowanej większości mediów na swoim kontynencie. Jest może kwestią czasu, kiedy te potępienia będą przekonywały już tylko panią Thun i pana Timmermansa.



Co to ma do Francji, gdzie praworządność od wielu miesięcy wprowadzana przez Emmanuela Macrona i socjalistkę Anne Hidalgo za pomocą gazu, pał i aresztowań, a uliczni rebelianci, czyli kolejne grupy zawodowe, dziękują, paląc samochody? Paryż lubi się bawić i bawił się wesoło w 1968 r. i w latach 70., ale zdaje się, że tym razem skala też jest całkiem spora, a tzw. prawa człowieka wiszą od dawna tam na kołku. Nad tym, że europosłowie nie chcą zająć się Paryżem, bym nie bolał.

To z perspektywy Polski nie najgorzej, tak samo jak średnio interesowała ich zadyma w Katalonii. Wówczas komisarz komisarzy Juncker stwierdził, że to wewnętrzna sprawa Hiszpanii i nie ma co się wtrącać. Gdyby szacowne europejskie ciało zajęło się Francją, na pewno socjalistyczno-liberalna większość stwierdziłaby, że wszystko idzie zgodnie z najwyższymi standardami rodem ze Strasburga i Hagi, bo pała lewicowa mniej boli niż konserwatywna. Już nawet gdyby swojsko brzmiąca pani Nathalie Kosciusko-Morizet rządziła miastem, to ze względu na polskie nazwisko i gaullistowską przynależność byłoby z nią gorzej. Stwierdzono by, cytując klasyka, że Paryż nie jest wart pały.

Kiedy jednak elity chowają głowę w piasek, tę obrzydliwą hipokryzję widzą nie tylko ludzie u nas czy na Węgrzech, widzi ją też coraz więcej starounijnych polityków i ich elektoraty. I kto wie, jak przetrwamy. Może pewnego dnia to pan Radek i pani Rózia będą narzekali, że demokracji nie ma w Brukseli, bo przestali rządzić ci co zawsze. Czego z całego serca życzę.

Wiktor Świetlik

REKLAMA



8/0120/F

eprasa.pl fd463336a0

Norwidowska triada



Alina Czerniakowska

Wydawałoby się, że każda głupota ma swoje granice, ale niestety jej pokłady u niektórych osobników są nie do wyczerpania. Przeciwnicy rządu PiS rozpaczliwie się miotają, mając coraz głupsze pomysły w swojej rzekomej walce o demokrację. Złość, zaciętość, niemożność pogodzenia się z utratą władzy, a co za tym idzie – strach przed ujawnieniem prawdy i konsekwencjami, są silniejsze od wstydu i zdrowego rozsądku. Udają, że nie widzą swojej śmieszności, kłamią, zaprzeczają sami sobie. Codziennie „Wiadomości" TVP pokazują kolejne ich pomysły. Nie wyciszyli się nawet po przegranych wyborach.

Senat, trochę przez różne zaniedbania, nieprzeliczone głosy, dostał się pod zarząd pana doktora Grodzkiego, znanego jak dotąd tylko z niegodnego zachowania, prawdopodobnego łapówkarstwa, buty i działania na szkodę Polski. Zrobił medialne zamieszanie, sprowadził znowu do Polski jakiś kilku „sprawiedliwych" z tzw. Komisji Weneckiej – ludzi, którzy we własnych krajach nie radzą sobie z prawem, a mają nas uczyć praworządności! Senator Grodzki nawet silił się mówić po angielsku, mimo że w polskim Senacie mówi się przecież po polsku. Kolejny już raz opozycja postkomunistyczna, zamieszana w dawne ubecko-partyjne układy, broniąc własnych interesów, skarży na własny kraj i woła Zachód o pomoc, a tam trafia na podatny grunt lewicowo-liberalny, znany z historii powojennej, teraz odbudowujący się w nowych barwach.

Wszystko można byłoby zbyć ironią, pobłażaniem, gdyby nie szkodliwość takich działań dla naszego wizerunku zewnętrznego i naprawy państwa prowadzonej przez obecny rząd. Sądownictwo, cały wymiar sprawiedliwości, należało zmienić od podstaw zaraz po transformacji w 1989 r., ale wtedy sędzia Adam Strzembosz rozpowszechnił tezę, że „sądy same się oczyszczą". Bardzo było to na rękę okrągłostołowym rządom lansującym „grubą kreskę" Mazowieckiego i dzisiaj po 30 latach umacniania się tamtych elit, ludzi o skrywanych życiorysach, układach, interesach i już ich kolejnych pokoleniach – obecny rząd, premier, prezydent, Jarosław Kaczyński, stanęli przed bardzo trudnym zadaniem – naprawy, odkłamania i umocnienia gospodarczego oraz militarnego Polski.

Walka z wszechobecnym kłamstwem, na którym zbudowane są wielkie interesy, układy wewnętrzne i zewnętrzne, jest najtrudniejsza. Media opanowane przez wrogie siły, działające na znanej zasadzie „pluj, pluj, a zawsze coś się przyczepi", wpłynęły na myślenie swoich odbiorców, szczególnie tych nieznających historii, faktów, posługujących się powierzchowną wiedzą ze źródeł z założenia antypolskich.

W swoich pamiętnikach wielki reżyser Federico Fellini zapisał ważną myśl, aktualną dzisiaj w dobie mediów elektronicznych: „Kamera to jest oko duszy, przez oczy, twarz pokaże zawsze prawdę, przed nią nic nie ukryjesz". Kierując się tą myślą wielkiego artysty, znawcy oddziaływania na psychikę ludzi, warto szukać prawdy w twarzach ludzi pokazywanych na ekranach telewizorów, choćby wspomnianego marszałka Grodzkiego, Bogdana Borusewicza czy pierwszej prezes sądu Małgorzaty Gersdorf, którą pamiętamy żalącą się, jak to oni, sędziowie, są zagrożeni, zastraszani, a do tego tak mało zarabiają, bo „za 10 tys. zł miesięcznie można wyżyć tylko na wsi"! Podobnie kpiąc z nas, zwykłych Polaków, wypowiadała się przyjaciółka Donalda Tuska, wysoka urzędniczka w Polsce, a potem w Unii Europejskiej, Elżbieta Bieńkowska: „Za 6 tys. zł pracuje tylko złodziej albo idiota".

Głupota, kłamstwa, intrygi, mnóstwo wrogów rodzimych i obcych – trudno to wszystko wytłumaczyć – oskarżają nas nawet o obozy koncentracyjne, Holokaust, II wojnę światową – ale przecież nigdy w dziejach nie mieliśmy łatwo. Polska silna, niepodległa, dobrze rozwijająca się, niezależna, była i jest niewygodna dla naszych sąsiadów ze wschodu i z zachodu, ale też dla tych, którzy polskość postrzegają jako nienormalność – pamiętamy tę wypowiedź Donalda Tuska – i inne pogardliwe określenia z niedawnej przeszłości historycznej: „bękart Europy", „zapluty karzeł reakcji"...

Jednak w trudnych sytuacjach Polska zawsze zwyciężała dzięki kulturze, mówił o tym wielokrotnie Jan Paweł II. W 1991 r. na spotkaniu z twórcami kultury w warszawskim Teatrze Wielkim przytoczył słynną triadę Norwidowską „Piękno, praca, zmartwychwstanie" i dodał: „Tego Norwidowskiego zmartwychwstania życzę Tobie, Polsko, Ojczyzno moja. To życzenie składam na wasze ręce, drodzy państwo, na ręce całego narodu, a w szczególności na ręce was wszystkich tutaj obecnych, którzy jesteście w jakimś sensie tego narodu pogłębioną świadomością intelektu, twórczą perspektywą, którzy jesteście tego narodu miłośnikami".

Gdy dzisiaj patrzymy na działania i wypowiedzi różnych celebrytów, wydawałoby się ludzi kultury, to aż trudno uwierzyć, że niektórzy z nich stali wówczas w uprzywilejowanych pierwszych szeregach najbliżej Jana Pawła II, słuchali, bili brawo, cisnęli się przed kamery... Przeglądając teraz nagrania z tamtego spotkania, zastanawiam się, kiedy byli sobą – tam wtedy, stojąc obok Wielkiego Polaka Papieża, czy dzisiaj na manifestacjach razem z KOD, na spektaklu „Klątwa", czy na innych czarnych marszach? Bo przecież człowiek gdzieś musi być sobą.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl fd463336a0

Orkiestra niejedno ma imię



Jerzy Jachowicz

Jakże odmienne skutki dla różnych ludzi, w tym także sobie bliskich, ale i mało znanych, mogą mieć te same przedsięwzięcia, niewątpliwie o najbardziej szlachetnych intencjach. Oto jeden z wielu naocznych, znanych mi z niedawnej przeszłości przykładów.

– Kurczę blade! To już dziś? Nie mogłaś mi wczoraj przypomnieć – mówił Jurek do swej znanej żony Olgi, córki prezydenta miasta. – Mam w tym czasie trzech kursantów. Będzie afera, jeśli stracą drugą jazdę w tym miesiącu. Czy nie mógłby mnie zastąpić Grzesiu? Jaki Grzesiu? Sąsiad z góry. Nad nami. Kiedyś ustawiał nam internet. Mój równolatek. Przystojny. Elokwentny. Poradzi sobie. Para, która wygrała, zna ciebie, ale mnie nie. Ci ludzie, jak oni się nazywają? Pamiętasz? Zdaje się Prangerowie, Iza i Karol. Załatwisz ten spacer z Grześkiem, a oni będą zadowoleni. Chcieli wylicytować ciebie i Dorę. Nie możesz ich wystawić do wiatru, bo będą się awanturować u Owsiaka. Szarpnęli się na jakąś grubą gotówkę. Prawda?

– Na jaką grubą! Stanęło na 420 zł. Nikt nie dawał więcej. Wygrali nas jacyś pariasi z Tczewa – wyrzuciła z siebie z goryczą Olga.

– Teraz nie będziemy się kłócić o wynik licytacji. Skoczę do Grzesia, dobrze? Sprawdzę, czy jest i czy da się namówić.

Dwie godziny później w parku Oliwskim wytwórca dywaników samochodowych Karol Prangier prowadził na smyczy prześliczną jamniczkę Dorę. Suczka co kilka metrów przyjaźnie merdała ogonkiem, wprowadzając w zachwyt idącą obok małżonkę Izę. Idylliczny, skromny korowód zamykała Olga i Grzesiu zatopieni w ożywionej rozmowie o telewizyjnych serialach. Mężczyzna, słuchając emocjonalnych wrażeń swojej tymczasowej partnerki, coraz głębiej zatapiał się w jej oczach. Urocze spotkanie zakończyło się herbatką z kruchymi ciasteczkami w skromnym mieszkaniu Olgi.

Wieczorem do domu wrócił Jurek zmęczony jazdami po zatłoczonym mieście. Radośnie powitał go pies. Olgi nie było. Zauważył w jej pokoju brak laptopa. Na jego miejscu leżała koperta, a w niej kartka. „Postanowiłam przenieść się na stałe do Grzesia. Tego nad twoim mieszkaniem”.

CO MNIE PRZERAŻA

„Nadgorliwy” marszałek



Katarzyna Łaniewska

Wybrany przewagą dwóch głosów w Senacie, profesor medycyny marszałek Tomasz Grodzki rozpoczął swoje urzędowanie, a precyzyjniej bym powiedziała, swoje występy i występki. W sali senackiej zaraz po wyborze na marszałka wykonał gest naśladujący premiera Tadeusza Mazowieckiego sprzed lat, pokazując literę, której nie ma w alfabecie, jak mówiła władza w PRL, czyli V. I zaczął...

Gdzieś wyczytał, że jest trzecią najważniejszą osobą w państwie, choć nigdzie w konstytucji nie jest to zapisane. I tak w to uwierzył, że zaczął działać. Zaszczycił nas i zdumiał swoim orędziem, które zazwyczaj wygłasza prezydent RP. Co mówił, lepiej zmilczmy. Ignorując konstytucję, zaczął zapraszać do siebie ambasadorów państw, czyli wyręczać ministra spraw zagranicznych, nie mając ku temu żadnych kompetencji przynależnych jego urzędowi.

Marszałek ignorował premiera, prezydenta, ministrów. Pojechał do Belgii, by europejscy urzędnicy sprawdzili, co się dzieje w sądownictwie w Polsce. Pojechał złożyć donos na nasze państwo, którego jest urzędnikiem. Poczuł się jak pan i właściciel. Trzecia osoba pomyliła mu się chyba z Trójcą Świętą – Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. On był prezydentem, premierem i Radą Ministrów jednocześnie. A przy okazji korespondentem donosicielem, bo donosiciele korespondują, a korespondenci donoszą. Osobiście zaprosił do Polski Komisję Wenecką. Przyjechali. To bardzo „życzliwi” Polsce eksperci. Zaprosił, a potem nie było komu ich odbierać z lotniska i nie było wiadomo, czyimi są gośćmi. Poplątali się trochę, ale już właściwie wydali werdykt, że ustawa nie może zostać przyjęta, a jeszcze jej nie poznali. To jest naprawdę panopticum.

Słuchając świadków, którzy mówili o działalności profesora przed tym, gdy został marszałkiem Senatu, samo nasuwa się słowo „korupcja”, znane zresztą we współczesnej służbie zdrowia. Jak znalazł jednego człowieka, który temu zaprzeczał, to szybko ustalono, że był to konfident SB, który donosił nawet na własną żonę. Nie trudno mu więc było wykazać życzliwość wobec szefa Senatu.

Ciekawa jestem, jak długo to urzędowanie pana marszałka jeszcze potrwa i na ile będzie sobie jeszcze pozwalał? To by było bardzo śmieszne, gdyby nie było prawdziwe.

eprasa.pl fd463336a0

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Epidemia paranoi

Opozycja najadła się szaleju i kreuje nadrzeczywistość

Fizycy powinni skrupulatnie przebadać zakrzywienie naszej rodzimej czasoprzestrzeni medialnej. Wzrost entropii fejkniusowej może przekroczyć masę krytyczną bzdury. Co wtedy? Eksplozja kompletnej schizy?



Ryszard Makowski

Rozdmuchiwanie przypadkowego zderzenia pani dyrektor z Senatu z operatorem kamery TVP jest z jednej strony zabawne, a z drugiej pokazuje, że opozycja i jej wyznawcy to fanatyczna sekta żonglująca prawdą bez zahamowań. Sytuacja jest nagrana i ewidentna. Oboje wychodzili zza filaru i się nie widzieli. Zbieg okoliczności. Nagłośniono to jako megaaferę. Sam pyszałek Senatu dął w miechy, żeby pozbawić akredytacji ekipę telewizji publicznej.

Dziennikarze TVP ogólnie nie mają szczęścia. Podczas produkowania męczennika na miarę świętych Kościoła katolickiego z zamordowanego podczas finału WOŚP prezydenta Gdańska opozycja też chętnie wskazuje na nich jako winnych. Dlaczego właśnie oni? Bo wredna narracja jest znakiem firmowym antypisu. Granie tą śmiercią zupełnie poza faktami i logiką stało się kanonem. Dostajemy gotową receptę, jak z tragedii zrobić farsę. W Warszawie ma być ulica Pawła Adamowicza, chociaż imię patrona przyznaje się po pięciu latach od chwili zgonu. Tryb wyjątkowy prezydent Trzaskowski tłumaczy swoją zażyłością z Pawłem Adamowiczem. To może skleciłby sobie w ratuszu ołtarzyk wyżej wymienionego i leżał przed nim krzyżem, a nie wystawiał stolicy na pośmiewisko. Ewidentnie chcą wywołać epidemię paranoi.

Stop wariatom w polityce!

eprasa.pl fd463336a0

***Zawistowski prezentuje:* Konsylium weneckie**



Wycinki z przeszłości

Zdjęcie tej sympatycznej chłopki przy zadbanej krasuli opublikowało jedno z wydań pisma „Plon" w roku 1938. Ale redakcja narzekała, że mleka pije się za mało, choć „należy ono do najzdrowszych i najtańszych pokarmów". Niestety „w miastach jest ono drogie i często fałszowane", a na wsi, gdzie jest go dużo i jest tanie, „wzgląd na uzyskanie gotówki staje się niestety silniejszy od względu na zdrowie rodziny, a zwłaszcza dzieci". Innymi słowy – rolnik wszystko sprzedaje.

Dziś teza o zdrowotności mleka nie jest już tak bezdyskusyjna – wiele osób wybiera mleko bez laktozy, niektórzy dietetycy zalecają ostrożność w jego konsumpcji osobom dorosłym, a dzieci bywają tak rozpuszczone nadmiarem słodyczy, że zwykłe mleko wydaje się im kwaśne. My jednak mleko lubimy i cenimy. Dlatego z tego samego pisma podajemy opis, co zrobić, jak mleko się przypali: „Przede wszystkim nie należy mieszać potrawy przypalonej. Garnek zdjąć i natychmiast zanurzyć w naczyniu z zimną wodą, pozostawić, aż przestygnie. Wtedy przelać lub przełożyć potrawę w inne naczynie i po dolaniu wody, gotować dalej, jeśli trzeba. Spalenizna ulotni się niemal bez śladu".



Smacznego! W końcu dziś nasze mleczarnie należą do najlepszych w Europie, a rodzajów, smaków i typów mleka świeżego nie brakuje ani w mieście, ani na wsi.

(mk)

I kiedy zimy szły w konkury



Leszek Długosz

W tym samym 1834 r., kiedy ukazał się w Paryżu „wiadomy >>Pan Tadeusz<<", zachwyt był tak powszechny, że nie mógł pozostawić obojętnym pretendenta dobijającego się dopiero do uznania i sławy Juliusza Słowackiego. Z respektem, ale ze swego rodzaju humorem (dezynwolturą?) tworzy on interpretację oryginału, czyli swoją wersję „Pan Tadeusza". Niewielu o tym wie, a już całkiem mało kto zna te ocalałe do dziś fragmenty. A są na poziomie Słowackiego, czyli? Trudno lepiej...

Juliusz Słowacki,
fragment z poematu „Pan Tadeusz"

Z daleka ciemna wstęga sosnowego lasu
Ściemniała, widać przez las błękit bitej drogi,
Wiatr przez nię leci, sosny jak litewskie bogi
Chwieją się, jodły siedzą śniegiem przywalone,
Gdzieniegdzie drzewko ścięte jak cegły czerwone
Poukładane w stosy, inne do trójnogów
Podobne... jak ołtarze dawnych Litwy bogów.
Czerwienią się po lesie osmętnione mgłami
I sosen tak nakryte liściem – jak chmurami.
O zimo! Twoję piękność smętną, uciszenie
Lasów i rzadkie słońca złotego promienie
Czuję dziś na kształt czaru i na kształt uroku,
Bom w życiu przyszedł na tę smętną porę roku,
Która wszystko ucisza i pod śniegiem chłonie;
Z miłością bym więc ciche zamieszkał ustronie,
W okrąg którego puszcza czerni się bezbrzeżna,
A nad nią we mgłach błyszczy „Matka Boska Śnieżna"

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl fd463336a0



OD A DO ZYBERTOWICZ

Pułapka postępu

Zbyt szybki rozwój, zbyt zaskakujący postęp przynoszą niebezpieczne zachwianie równowagi w świecie społecznym

Gdy ktoś, kto nigdy w świecie bogatych – który obok luksusu funduje specyficzne troski – się nie obracał, nagle wygrywa milion na loterii, to po fazie euforii często ma poważne problemy, a nawet kończy z długami. Wiele takich historii opisano.

Dla niektórych zarządzanie bogactwem jest niepomiernie trudniejsze od radzenia sobie w niedostatku. Brakuje odpowiednich kompetencji społecznych, wiedzy o świecie biznesu, o inwestycjach. Brakuje też kompetencji niezbędnych, by odróżniać doradców uczciwych od naciągaczy...

A gdyby porównać sytuację, w której ktoś nieoczekiwanie staje się bardzo bogaty, z sytuacją współczesnego człowieka, który otrzymuje dobro zwane postępem?

DOBRO... WĄTPLIWE

Retoryka postępu jest z nami na co dzień. Postęp jest z natury dobry. Ileż chorób potrafimy leczyć, jakie „cuda" z przeszczepami organów robić i jak bardzo wydłużyło się życie ludzkie! A automatyzacja pracy dzięki postępowi technologicznemu – o ileż mniej trudu. A GPS wyręczający z czytania mapy i nawet z pilnowania drogi. I jeszcze brak tęsknoty za bliskimi, bo przecież jest stały kontakt online. Coraz więcej inteligentnych sprzętów nie tylko wykonujących żmudne czynności, ale i przypominających, co już czas zrobić.

Chociaż pojawiają się głosy sceptycyzmu, nie tylko w środowiskach konserwatywnych, to dominuje przekonanie, że postęp jest nieuchronny, jest wpisany w rozwój cywilizacyjny i nie da się go zatrzymać.

W środowiskach lewicowych i „nowoczesnych" wątpliwości wobec postępu zwykle obecne są w kontekście troski o planetę Ziemię – przy okazji dyskusji o problemach wyczerpywania zasobów, ocieplenia klimatu, zanieczyszczenia środowiska. Ale postęp to nie tylko sam postęp technologiczny. Technologia wkroczyła w tak wiele obszarów życia ludzkiego, że niektóre trudno sobie bez technologii wyobrazić.

Co przynosi wspierany przez technologie – np. aplikacje randkowe – postęp obyczajowy? Jaki postęp w rozumieniu świata przez uczniów przyniosły tablice elektroniczne w klasach?

BRAK DŹWIGNI KONTROLNEJ

To, czy zmiana wyglądająca na postępową przyniesie dobre skutki, jest kwestią proporcji i skali. Zbyt szybki rozwój, zbyt zaskakujący postęp przynoszą niebezpieczne zachwianie równowagi w świecie społecznym. Przecież nie bez powodu okres XIX-wiecznych zmian technologicznych w przemyśle nazwaliśmy „rewolucją przemysłową".

Dzisiaj rewolucja cyfrowa i globalizacja to już pułapki same w sobie. Choćby ze względu na skalę i zasięg. Nie nadążamy uczyć się nowych urządzeń, a co dopiero z wyciąganiem wniosków, czy faktycznie przeszliśmy z niższego na wyższy etap cywilizacyjny. Nie ma czasu na uczenie się na błędach, bo pracują za nas algorytmy, których już nie rozumiemy i wcale nie jest pewne, czy za chwilę będziemy w stanie je kontrolować.

Ale przede wszystkim nie mamy dźwigni, która mogłaby ten postęp rozsądnie spowolnić. Z konferencji nawet najbardziej światowych, z mądrych książek i filmów, ze strajków klimatycznych, biadolenia, histeryzowania... nic satysfakcjonującego nie wynika. Nic nie wynika nawet z tego, że za zło tego świata, w tym zło niesione przez postęp, publicznie obwinia się świat potężnej finansjery.

W POTRZASKU EMOCJI

Latamy w kosmos i ponoć umiemy zmieniać biologiczną płeć, a wciąż jesteśmy więźniami emocji i odruchów pozbawionych głębszej refleksji.

Celebryci chętnie lamentują nad szkodliwością przemysłowych hodowli zwierząt, ale już rzadziej pochylają się nad problemem modnych stylów życia i tym, do czego one prowadzą. Nie rozważają np., czy nadmiar różnorodności nie rodzi zagubienia i podatności na autorytarne pokusy. Nastawienie na indywidualny rozwój, sukces i własne szczęście przecież z natury rzeczy nie mogą być ekologiczne. Hiperindywidualizm niszczy zdolność do życia we wspólnocie, a tylko wspólnota jest w stanie wydobywać z nas człowieczeństwo.

Samemu z pułapki postępu wydostać się nie da.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl fd463336a0

Zawsze w trendzie wzrostowym

***Portal** pełen informacji i opinii o gospodarce*



Najstarszy magazyn ekonomiczny w Polsce

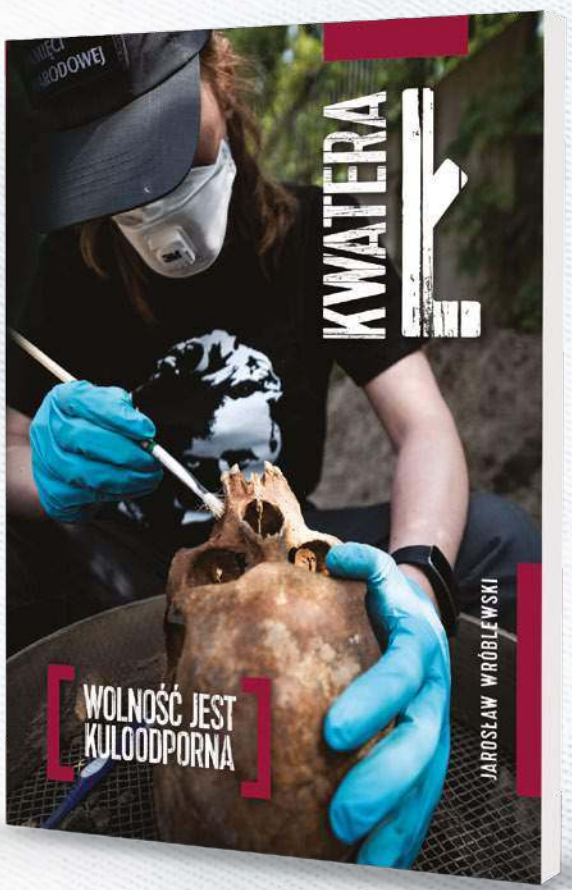
eprasa.pl fd463336a0

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

wSIECI HISTORII

100 książek w prezencie



ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:
tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę „Kwatera Ł” otrzymasz **GRATIS**!



ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70
prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Sprawdź dostępność książek na **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

eprasa.pl fd463336a0